IMIGRACJA: PRACA DLA OBCYCH, BIEDA DLA POLAKÓW
SŁUP SIEMONIAK. KOGO SŁUCHAJĄ SŁUŻBY?
FILANTROP I JEGO MOLOCH

SIECI

LUDZIE „ORDYNACKIEJ" W AKTACH SB

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
49 (679) 2025
1–7 grudnia 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KŁAMSTWA, REPRESJE, KONFLIKTY

TUSK PRÓBUJE UCIEC Z PUŁAPKI KLĘSKI WŁASNEJ POLITYKI. TO JEGO GRA O ŻYCIE – PISZE MAREK PYZA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 49
Numer w sprzedaży do 8 XII 2025 r.

eprasa.pl 0bd28120fa

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

100 książek w prezencie

Wspaniałe opowiadania, proste postaci i historie, a takie niezwykłe...

| literatura piękna | nie tylko dla wielbicieli filmów Kolskiego | 336 stron

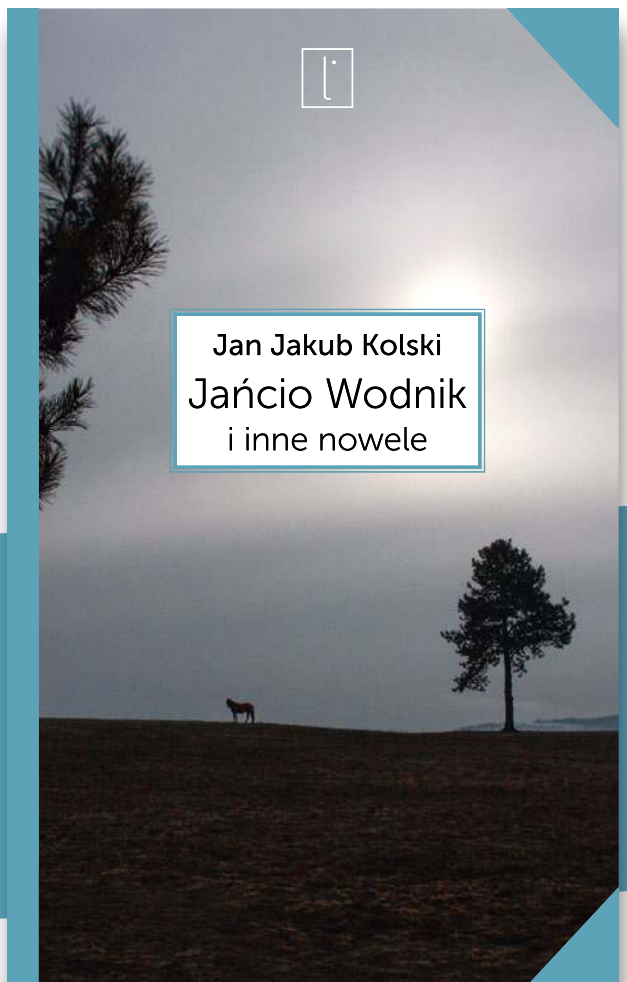

Książkę **„Jańcio Wodnik i inne nowele”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **375 zł.**

To najlepsza cena, bo płacisz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie, podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

ZAMÓW JUŻ DZIŚ NA: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Jeśli nie korzystasz z internetu, opłać prenumeratę na poczcie, podając nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290 (Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia), a w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 14-16

eprasa.pl 0bd28120fa

Kraków ma nowego metropolitę

Po blisko dziewięciu latach gorliwej i pięknej posługi metropolity krakowskiego ks. abp Marek Jędraszewski przechodzi na emeryturę. Mimo że 75 lat skończył w lipcu 2024 r. i zgodnie z Kodeksem prawa kanonicznego mógłby zakończyć swoją misję już wtedy, papież Franciszek osobiście poprosił go o kontynuację do czasu, aż wskazany zostanie jego następca. Pełnił ją z niezwykłym oddaniem i uczciwością, nie ulegając agresywnym oczekiwaniom zejścia z tej drogi. Z pewnością nie było to łatwe. Opóźniona przez Watykan decyzja zapadła. Papież Leon XIV wskazał następcę. Na czele krakowskiego Kościoła stanie teraz ks. kard. Grzegorz Ryś. „Wpierw ja, teraz on, przybyliśmy do Krakowa właśnie z Łodzi. Jest to szczególne zrządzenie Bożej opatrzności" – mówił abp Jędraszewski, ogłaszając papieską decyzję. „To wielka łaska być pasterzem Kościoła krakowskiego" – dodał, prosząc wszystkich o modlitwę za swojego następcę.

To była niezwykle wymagająca dekada. Obfitowała w sytuacje graniczne, ogromne napięcia, wielkie kryzysy i próby. Czas pandemii, wybuch wojny na Ukrainie, przyjęcie wielkiej fali uchodźców uciekających przed rosyjską agresją, a także cała kawalkada społeczno-politycznych zmian, postępującej wojny hybrydowej, agresywnej ateizacji, wulgarnej walki o aborcję, fizycznych ataków na świątynie, rozbijania tożsamości, niszczenia edukacji i destabilizacji państwa.

Kościół jako zwornik wszystkiego, co stanowi o pełni człowieczeństwa i sile narodu, jest wystawiony na ciągły atak. Szczególnie jednak atakowani są kapłani odważnie mówiący prawdę. Należy do nich ks. abp Marek Jędraszewski. Nie bacząc na ciosy, mężnie broni wiary i ojczyzny, ostrzegając przed wypaczeniami i wskazując zagrożenia. Jego jedynym wyznacznikiem jest prawda, którą niesie nawet wtedy, gdy odwracają się od niego konformistyczni biskupi czy księża.

Nie zliczę sytuacji, w których głos ks. abp. Jędraszewskiego był jednym z nielicznych, a tak bardzo wyczekiwanych i krzepiących. Bo przecież jedynym, czego potrzebują wierni w tym zalewie kłamstwa, manipulacji i niezgody, jest płynąca z prawdy jednoznaczność. Abp Jędraszewski koi tą jednoznacznością każdy duchowy dygot i demaskuje światopoglądowy fałsz. Upomina się o dobrze pojętą wolność, przeciwstawia ogłupiającym ideologiom, walczy o godność człowieka, świętość ludzkiego życia, broni rodziny, nie pozwala niszczyć polskiej i katolickiej tożsamości. Łączy uważność w postrzegania świata z głębokim zawierzeniem Panu Bogu i Maryi. Jasno wskazuje problemy, często niezwykle zawiłe, ale nigdy nie traci perspektywy miłosierdzia. „To szczególne wyzwanie, by umieć patrzeć właściwie na to, co się dzisiaj dzieje w naszej ojczyźnie i by nie zwątpić w to, że dusze, które modlą się o Boże miłosierdzie dla naszego kraju, mogą naprawdę wiele dokonać, zagłębiając się w tajemnicę Bożego miłosierdzia" – powiedział niedawno.

Patriotyzm jest integralną częścią nauczania abp. Jędraszewskiego. Bo choć próbuje się nam wmawiać, że Kościół ma być kosmopolityczny, postępowy, tolerancyjny i otwarty, wystarczy spojrzeć wstecz, by zobaczyć, kiedy Polacy byli narodem silnym i co pomagało mu kruszyć kajdany oraz skutecznie zdobywać niepodległość. Właśnie dlatego kapłani tacy jak o. Tadeusz Rydzyk czy ks. abp Marek Jędraszewski są tak brutalnie atakowani. Próbuje się ich obezwładnić i wyłączyć z działań. Na szczęście żaden z wymienionych duchownych ani ci, którzy wiernie trwają przy Panu Bogu i Polsce, nie dają się zastraszyć. Przekładają ewangelię na nasze codzienne zobowiązania społeczne, obywatelskie, patriotyczne.

W wywiadzie, którego ks. abp Jędraszewski udzielił kilka lat temu tygodnikowi „Sieci" i portalowi wPolityce.pl, padło wiele ważnych spostrzeżeń. Jedno z nich wybrzmiewa dzisiaj, w nowej rzeczywistości politycznej, jako przestroga boleśnie aktualna. „To nie jest tak, że my przegrywamy. To nam chcą wmówić. Powiedziałbym raczej, że jako Polacy jesteśmy postrzegani w tej części Europy jako naturalny lider. Natomiast jeżeli zwątpimy w naszą moc i jeśli będziemy mówili tylko »danke Deutschland«, to tym liderem nie będziemy. Będziemy karłem, za którym nikt nie pójdzie. Ale wtedy będzie to klęska nie tylko Polski, lecz także całej Europy". Oby głos napomnienia ks. abp. Marka Jędraszewskiego zawracał nas z błędnych dróg jak najdłużej.

Marzena Nykiel

Autopromocja

eprasa.pl 0bd28120fa

SIECI spis treści

23 PiS jest niedoszacowane
Piotr Gursztyn

32 Gotowanie polskiej żaby
Maciej Walaszczyk

52 Wszyscy mówią o pokoju, ale nie każdy go chce
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 **ZNACZENIE „ZWIĄZKÓW PARTNERSKICH”**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SZCZYT NA SZCZEBLU**
Krzysztof Feusette

9 **GROŹNA BRAMA DO IDEOLOGICZNEJ REWOLUCJI**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **KONGRES MŁODYCH ECR W LUBLINIE, CZYLI JAK ROZBIĆ BRUKSELSKI BETON**
Daniel Obajtek

13 **WIELE WEKTORÓW AZJI ŚRODKOWEJ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA WOJCIECHA KOSIERADZKIEGO**
Michał Korsun

16 **WŚCIEKŁE GĘBY MAMELUKÓW**
Jan Pietrzak

16 **ROZKROK, KTÓRY WYWOŁUJE CHAOS**
Samuel Pereira

18 **KĄCIK MODOWY**
Ryszard Makowski

19 **DYPLOMACJA W KLAPKACH**
Arkadiusz Mularczyk

TEMAT TYGODNIA

20 **FRONTY TUSKA**
Marek Pyza

KRAJ

23 **PiS JEST NIEDOSZACOWANE**
Piotr Gursztyn

26 **RZECZPOSPOLITA IMIGRANTÓW**
Konrad Kołodziejski

30 **SŁUP SIEMONIAK**
Stanisław Janecki

32 **GOTOWANIE POLSKIEJ ŻABY**
Maciej Walaszczyk

35 **FILANTROP I JEGO MOLOCH**
Łukasz Wróblewski

OPINIE

42 **POWRÓT KOMUNY NAJGORSZEGO SORTU**
Piotr Gontarczyk

46 **PRASKI ODCZYT PREZYDENTA: TRAFNA DIAGNOZA, KIEPSKI PLAN**
Jan Rokita

50 **ANTYPOLONIZM CZY NIEZRĘCZNOŚĆ?**
Jerzy Szmit

ŚWIAT

52 **WSZYSCY MÓWIĄ O POKOJU, ALE NIE KAŻDY GO CHCE**
Marek Budzisz

56 **KTO TU NAPRAWDĘ PISZE**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

58 **BUNTY ZA KRATAMI**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **BYĆ JAK BRAT**
Jolanta Gajda-Zadworna

63 **WSPÓŁCZEŚNI MALUJĄ NARODZENIE PAŃSKIE**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

66 **ADWENT W ŚWIECIE CHAOSU**
Robert Tekieli

KUCHNIA I PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI I SMAKI: MAREK KRAJEWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **CZARZASTY ANTE PORTAS**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **CHCIWOŚĆ ELIT**
Aleksander Nalaskowski

73 **SPORTOWCY, SZPIEDZY, HANDLARZE BRONIĄ**
Ryszard Czarnecki

74 **SUBSTANCJE CZY SMARTFONY?**
Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 0bd28120fa

BRONISŁAW WILDSTEIN

Znaczenie „związków partnerskich”

Koalicja 13 grudnia wprowadziła znowu w obieg publiczny projekt ustawy o związkach partnerskich. Jej przeciwnicy zbywają go zwykle jako „temat zastępczy”. To poważny błąd. Nieprzypadkowo lewica nie odstępuje od niego i konsekwentnie czyni elementem swojego programu. Przy okazji sprawy odsłaniają się problemy tradycyjnej prawicy i przewaga nad nią współczesnej lewicy.

Po co takie prawo? Osoby żyjące ze sobą bez formalnej sankcji to zachodnia codzienność. Nikt nie jest z tego powodu szykanowany. Rzecznicy owego rozwiązania mniej zajmują się zatem „prawem wyboru”, które wcześniej było jego uzasadnieniem, a bardziej praktyką i ułatwieniami życiowymi, które ma ono nieść dla partnerów takich związków.

Obecnie projekt ten nosi nazwę „ustawy o statusie osoby najbliższej”. Obok „ministry” Katarzyny Kotuli z Lewicy jego drugą autorką jest Urszula Pasławska z PSL, co pokazuje, że partia ta z konserwatyzmem nie ma już nic wspólnego. Ustawa ma nieść cały zestaw udogodnień dla partnerów, np. możliwość udostępnienia im dokumentacji medycznej, założenie wspólnego konta czy wzięcie kredytu. Tyle tylko, że wszystko to jest możliwe na gruncie obowiązującego prawa. Jednak nazwa i uzasadnienie trafiają do sentymentalizmu mentalności współczesnej i odwołują się do jej schematu: czemu mamy zabronić takiego modelu życia, jakie ludzie wybierają dla siebie? Przecież nie szkodzą innym!

Czy na pewno?

Społeczeństwo istnieje dzięki zasadom, które je spajają i ideałom, do których się odwołuje. Nuklearna rodzina, czyli małżeństwo i potomstwo to fundament, bez którego nie może ono przetrwać. Dlatego rodzina obok praw posiada przywileje. Są one przyznawane za najważniejsze zobowiązanie, jakie biorą na siebie małżonkowie: opieka i wychowanie dzieci. Ten podstawowy wymiar wspólnotowej egzystencji wymaga trwałości związku i lojalności jego uczestników. Dlatego tradycyjnie zawierane było ono przed Bogiem, a nawet jego świecki ersatz uwarunkowany jest przysięgą wobec władzy, która reprezentuje wspólnotę. Z tego powodu w tradycyjnym społeczeństwie rozwód był trudny, a presja wspólnoty wymagała od współmałżonków dotrzymania zobowiązań.

To wszystko w dużej mierze należy już do przeszłości. Nietrwałości współczesnych małżeństw towarzyszy ich stopniowe zanikanie. Wszystko to przekłada się na zachodnią katastrofę demograficzną i problemy dzieci z rozbitych rodzin. Ich patchworkowe warianty dobrze wyglądają wyłącznie w hollywoodzkich produkcyjniakach. Kobiety zagrożone nietrwałością związków i kwestionowaniem wartości macierzyństwa coraz rzadziej się na nie decydują. Z przyczyny naturalnych więzi matki z dzieckiem to na nią spada zwykle ciężar zajmowania się nim w przypadku rozpadu małżeństwa. Jak zwykle feminizm, który jest rodzajem resentymentu, obraca się przeciw kobietom.

W przypadku formalizacji „związków partnerskich” kto będzie miał ochotę obiecywać urzędnikowi trwałość pożycia małżeńskiego? I po co to miałby robić?

Nie ma żadnego uzasadnienia, aby związki partnerskie łączyły wyłącznie kobietę i mężczyznę czy tylko dwie osoby. I nie ma powodu, aby nie cieszyły się tymi samymi prawami, np. do adopcji dzieci. W ten sposób dokonujemy kolejnego eksperymentu na najsłabszych przedstawicielach gatunku ludzkiego.

Wprowadzenie „związków partnerskich” to istotny krok do likwidacji małżeństwa. To, że liberalna lewica tak wytrwale dąży w tym kierunku, pokazuje, że żar jej ideologicznego projektu nie zagasł. Człowiek ma wyzwolić się z wszystkich tradycyjnych form istnienia, które jakoby stoją na drodze do jego pełnej emancypacji. Samotni i zagubieni egoiści, którzy rozpaczliwie usiłują zatrzymać młodość, to realność tego stanu rzeczy. Starzejące się „single” szczęśliwe są tylko w publikacjach „Newsweeka” czy Onetu.

Ideologiczna pasja lewicowców nie znaczy, że rozumieją oni konsekwencje swoich poczynań. Refleksja nie należy do ich mocnych stron, zastępuje ją namiętność wyzwalania człowieka. Prawicowi politycy natomiast, którzy z zasady odrzucają ideologiczne myślenie, uznają, że polityka to sztuka możliwego i zaczynają sprowadzać ją do doraźnych zmagań o przetrwanie. Zapominają o elementarnym sensie, dla którego jest ona prowadzona. Ponieważ żyją w dominacji lewicowego idiomu specyficznie pojętej wolności, poddani presji sondaży, nie mają zwykle czasu na przemyślenie efektów rozwiązań w rodzaju „związków partnerskich”. To dla nich przeważnie mało znaczące ustępstwo, które – sądzą – pozwoli im zachować władzę, aby właściwie dbać o sprawy wspólnoty. W ten sposób klasyczna prawica europejska zgadzała się na liberalizację aborcji, przywileje dla homoseksualistów, ideologizację kultury oraz oświaty i krok po kroku kolonizowana była przez liberalną lewicę, aby obecnie stać się od niej nie do odróżnienia.

Miejmy nadzieję, że proces ten nie będzie rozwijał się w Polsce.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bd28120fa

Sygnalista nadaje

Donald na Czarnym Lądzie! I nie jest to Zanzibar, Wyspy Zielonego Przylądka ani żaden inny modny kierunek. Poleciał do Angoli. Jest taki kraj, zaznaczony nawet na globusie. Nasz premier Donald Franciszek pojechał tam ratować świat i pokój zagrożony przez pisowców, Trumpa i chyba też jakiegoś Putina. Zadanie tak ważne, że premier wyskoczył, tak jak stał. Nie miał czasu złapać marynarki ani krawata. Wybiegł w trampkach – tych ulubionych, w których można czasem poharatać w gałę.

Prawacy widzą skandal w tym, że nie pojechał w smokingu czy innym fraku. A my widzimy w tym prawdziwą wielkość. Człowieka, który aby ratować świat, nie wstydzi się jechać nawet w drugim wagonie. Dla dobra naszej planety nasz premier wyskoczy nawet w samych kalesonach. Zresztą Angola nie Angela, nie trzeba się dla niej wbijać w garnitur. Ani nie jest to też zbieranie grzybów pod cisem, gdzie obowiązuje inny dress code niż w czasie spotkań z Murzynami. Szach mat, prawacy!

Prawacy zapewne się wściekną, gdy się dowiedzą, że Ryżenkow chwali Ryżego. To znaczy Rudego, a właściwie premiera Donalda Franciszka Tuska. Chodzi o to, że Maksim Ryżenkow – białoruski kolega ministra Sikorskiego – pochwalił politykę naszego demokratycznego rządu. Za otwarcie dwóch przejść granicznych z Białorusią. „To bardzo pragmatyczni ludzie" – powiedział o władzach Polski Uśmiechniętej minister Ryżenkow. Całkowicie słusznie. Wydaje się dzisiaj, że rusofobia jest jednak przereklamowana, bo przecież rosyjski gaz nie pali się gorzej niż trumpowski. A na zielonej granicy nikt nie powinien być nielegalny. Także głowa państwa białoruskiego Aleksander Grigorjewicz Łukaszenka.

W tym kontekście spójrzmy na kolejne doniesienia. Chłopaki ***Tomka Siemoniaka*** złapali jakichś ruskich agentów, a chłopaki Waldka Żurka wypuścili tych domniemanych szpionów na wolność. Bo domniemani agenci powiedzieli, że nie są żadnymi agentami, tylko przypadkowymi ludźmi. A skoro tak mówią, musi to być prawda. No i chłopaki od Siemoniaka ze specsłużb są wkurzeni i sfrustrowani tym, co robią praworządni chłopcy z prokuratury. „Nasi ludzie pracują dzień i noc, prowadzą działania operacyjne, w wyniku których zostają zatrzymane osoby ewidentnie związane z dywersantami, a na koniec okazuje się, że to wszystko na nic" – narzekał jeden z łapaczy ruskich szpiegów. Nie ma się co wściekać. Złość piękności szkodzi. Po co ci gamonie pracują nad tym dzień i noc? Przecież nie o to chodzi w ich pracy, a także w zadaniach prokuratury. Nie chodzi o łapanie jakichś ruskich szpiegów, tylko pisiorów. Zbrodniarzy z czasów pisowskiej okupacji (copyright by Donald Tusk).

Zresztą czy wszystkie prawaki są złe? Ci z PiS to bez żadnej wątpliwości. Ale ***Sławek Mentzen*** i ***Grzesiek Braun***? Chyba niekoniecznie. Ukazał się sondaż zaufania i niezaufania. Pierwsze trzy miejsca (od końca) zajmują Grzesiek, Sławek i premier Tusk. Na pierwszym miejscu niezaufania jest Grzesiek – nie ufa mu 64 proc. tego roszczenio-

eprasa.pl 0bd28120fa

wego narodu, który nie dorósł do demokracji. Sławkowi nie ufa 58 proc. A premierowi Donaldowi Franciszkowi – 59 proc. (czyli lepszy od Mentzena). A może to jest – kochani demokraci – dream team, o którym marzymy? Wszystko, byle nie kaczyzm!

Dobra wiadomość z Warszawy. Stołeczni radni otarli łzy z oczu Rafała – prezydenta naszych serc (przeliczanie głosów trwa). Dostał podwyżkę. Zaledwie 5 tys. zł. Ledwie starczy na waciki dla Małgośki, ale dobre i to. Jest też zła wiadomość. Radni podnieśli wynagrodzenie Rafała do kwoty maksymalnej, jaką może dostać, będąc włodarzem stolicy Ten Kraju. Teraz będzie to 23 tys. miesięcznie brutto. Sławek Nowak zemdlał, gdy usłyszał, że są ludzie, którzy muszą przeżyć za takie pieniądze cały miesiąc. Od pierwszego do pierwszego. Jak żyć, panie premierze?

Pisowski deep state nie daje o sobie zapomnieć. No bo kto jest winny, że pracownicy „Gazety Wyborczej" żyją w skrajnej biedzie i niektórzy z nich muszą uciekać do pracy w ambasadzie w Bułgarii? Przecież nie jest temu winna Polska Uśmiechnięta. A ci mediaworkerzy „GW", którym nie udało się załapać na saksy w żadnej ambasadzie, muszą dorabiać w innych miejscach. Po godzinach zasuwają w McDonald's (wiedzieliśmy, że to nie jest zdrowe jedzenie, ale że aż tak?). Inni dorabiają w Uberze (teraz rozumiemy, dlaczego tak trudno dogadać się z tymi kierowcami).

Jak widać, żadna praca nie hańbi. Może tylko w „Wyborczej", ale doceńmy tę wolę przetrwania. Np. nasz ukochany ***Wojtek Czuchnowski*** ogłosił, że dostanie stypendium od premiera Tuska i jakiegoś światowego żydostwa. Pisał o dużej kasie – 147 tys. zł i kilkadziesiąt tysięcy euro. Fajna rzecz. Niestety po tym, jak Wojtek wytrzeźwiał i przestało radośnie szumieć w głowie, okazało się, że nikt nie chce dać żadnego stypendium. „5 rano, puste miasto w oczach drży!". Wstawaj Wojtku, znów trzeba iść do roboty.

No dobrze, nie wszystko się udaje, ale nie traćmy optymizmu. W 10 polskich miastach powstanie metro. To znaczy kolej podziemna. Taka najprawdziwsza, z wagonami, przeciskającym się tłumem i remontowanymi schodami ruchomymi. Obiecał to ***Władek Kosiniak-Kamysz***, a u niego obietnice droższe od pieniędzy. Szkoda, że premier Tusk nie dopisał tej obietnicy do 100 konkretów, bo wtedy gwarancja ich zbudowania byłaby jeszcze mocniejsza. To znaczy najpierw rozliczenie PiS, a potem realizacja obietnicy. Wpisujcie miasta. Tam, gdzie chcecie, żeby było metro. Nie dopisujcie Sopotu, bo to oczywiste, że tam będzie. My wpisujemy Końskie, bo wiadomo, że tam się wygrywa wybory.

Pasza González (dla przyjaciółek i przyjaciół Pablo Rubcow) nie stawił się w sądzie. Bardzo uprzejmie wezwał go do stawiennictwa Sąd Okręgowy w Warszawie. Niezawodna Poczta Polska dostarczyła zawiadomienie, a Pasza nie przyjechał. Szkoda, bo nawet tłumacz czekał. Jednak nie róbmy z tego zagadnienia. Pablo to nie Ziobro – skoro nie przyjechał, to znaczy, że mu nie pasowało. A tego Ziobrę to słynni łowcy cieni Waldka Żurka przywiozą w bagażniku. To pewne jak 100 konkretów w 100 dni!

Niesłychane! Czesi nazwali najważniejszą uczelnię swojego kraju Uniwersytetem Karola. I na dodatek zaprosili tam tego Nawrockiego z Gdańska. Tę nieodpowiedzialną prowokację potępił szef dyplomacji Ten Kraju Jego Ekscelencja Radek Sikorski. Minister użył swojej najgroźniejszej broni – tej, przed którą drży Putin i cała Rosja. Czyli ostro sformułowanego wpisu na platformie X! To już 255 ostateczne ostrzeżenie Radosława Sikorskiego pod adresem Nawrockiego w tym tygodniu!

Dwie nieskazitelne figury polskiej polityki – Krzysiek Kwiatkowski ze Zgierza i Janek Bury spod Przeworska – zostali skazani. Krzysiek dostał kilka miesięcy w zawiasach, no bo on jest z Koalicji Obywatelskiej. A Janek pójdzie do pudła na sześć miesięcy, bo jest tylko z PSL. „To dowód, że sądownictwo jest niezawisłe" – skomentowała Kaśka Pełczyńska-Nałęcz. Szok! I dziwicie się, że premier Tusk uważa ją za głupią babę? To była zbrodnia sądowa! Po pierwsze, głupi zarzut, że ustawiali konkursy na stanowiska dyrektorskie. A co? Mieli pozwolić, aby wygrały jakieś przypadkowe osoby? Po drugie, Krzyśkowi i innym praworządnym demokratom nie podoba się sędzia. To znaczy z wyglądu jest ładna. Wysoka blondyna o imieniu Iza. Ale ma męża, a ten mąż – adwokat – bronił pewnego ziobrystowskiego wiceministra. Takich rzeczy się nie robi w praworządnym kraju. A pewnie jak pogrzebać dalej w rodzinie, to pewnie się okaże, że ktoś z krewnych sędzi Izabeli głosował na PiS.

W każdym razie senatorowi Krzyśkowi Kwiatkowskiemu składamy szczere gratulacje! Dołączył do grona tak zacnych postaci, jak Stasiek Gawłowski (też senator), Tomasz „Trzecia Osoba w Państwie" Grodzki, Romek Giertych, Włodek Karpiński i last but not least Sławek Nowak. Czyli męczenników praworządności tak jak my ją rozumiemy.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, M. Czutko, Shutterstock

eprasa.pl 0bd28120fa

Szczyt na szczeblu

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Halo? O co chodzi?
Kierwiński: Przepraszam, że dzwonię, bo pora jak na grzyby, ale trzeba się zbierać.
Tusk: Ja już nie zbieram żadnych grzybów. Zdjęcia porobione. Dobranoc.
Kierwiński: Ale nie chodzi o grzyby, to była przenośnia. Premier zapomniał, że leci?
Tusk: Ale gdzie?
Kierwiński: Na szczyt.
Tusk: Jaki, kierwa, szczyt? Rysy?
Kierwiński: Nie, no gdzie w góry, żeby obrzucali ciupagami?! Szczyt międzynarodowy. Np. w kwestii Ukrainy. To znaczy także.
Tusk: To mówcie od razu, że Ukrainy. Kiedy odlot?
Kierwiński: Odlot to jest praktycznie cały czas. Bo były perturbacje, to znaczy turbulencje, znaczy, pertraktacje. No, ale...
Tusk: Czyli dokąd?
Kierwiński: Zaraz sprawdzę, bo też mi wypadło z głowy...
Tusk: Ale w kwestii Ukrainy, tak?
Kierwiński: Oczywiście! Teraz wszystko dotyczy Ukrainy. Nawet Chiny. Pan premier ogólnie się orientuje, o co chodzi, prawda?
Tusk: Mniej więcej. Trump dał 28 pkt. i one są nie do przyjęcia.
Kierwiński: Właśnie. Widzę, że premier rozmawiał z Sikorskim, bo on to się najlepiej orientuje.
Tusk: Zwłaszcza na moje stanowisko.
Kierwiński: A ja?
Tusk: Co ty?
Kierwiński: No kim mam być w tej układance premiera? Przypominam, że Sikorski był pisiorem.
Tusk: I w pewnym sensie to się nie zmieniło. Co Radziu radzi?
Kierwiński: Leci radzić. To znaczy radzi lecieć.
Tusk: Ale gdzie?
Kierwiński: No tam, gdzie będą... te, no, rozmowy na najwyższym szczycie.
Tusk: Szczeblu.
Kierwiński: Czemu „szpadlu"? Tam będą najważniejsi ludzie dla regionu.
Tusk: Jakiego regionu?
Kierwiński: Jakby, no, tego, gdzie premier leci...
Tusk: Dobra, to lecimy. To znaczy ja lecę, bo mam samolot. Kto będzie?
Kierwiński: Ale gdzie?
Tusk: Na szczycie w sprawie Ukrainy.
Kierwiński: Aha. No więc tam to akurat będą Mera, Macron, Starter, Melloni, Zełenski i ludzie Trumpa. Tyle że nas tam...
Tusk: Czyli grubo. To ja muszę zabrać jakąś elegancką marynarkę. Najlepiej, jak byście nadali ją już teraz.
Kierwiński: Ale...
Tusk: Żadnego „ale". To wam w niczym nie uwłacza. Albo nie – sam nadam, żeby czekała wyprana. Byłem w niej na grzybach i trochę się mchem ufajdała...
Kierwiński: Chodzi o to, że...
Tusk: Ty lepiej ustal, gdzie ja konkretnie lecę.
Kierwiński: O, właśnie szef gabinetu mi pisze, że zaraz prześle bilety.
Tusk: Berek?
Kierwiński: Wolałbym kiedy indziej, bo po jestem obiedzie... Aha, nie załapałem... Ha ha, Berek... Berek wysyła... Sekundę, wezmę okulary, bo bez pogłosu widzę podwójnie. Wszystko jasne. Premier leci do Angoli.
Tusk: Słucham?!
Kierwiński: Do Angoli.
Tusk: O, kierwa jego szczyt...
Kierwiński: A czemu?
Tusk: Angole mnie nienawidzą. Pisali o mnie: „Protekcjonalny pajac". Za brexit.
Kierwiński: A premier był za?
Tusk: Osobiście przeciw, ale Berlin dzwonił, że nie można ulegać, to co ja mogłem?
Kierwiński: Ale marynarkę to premier nie byle komu zakładał...
Tusk: Mówisz o jakimś błahym epizodzie.
Kierwiński: Mnie to każda uciska w pasie. A premier nie leci do Anglii, tylko...
Tusk: Wiem, że do Londynu. Byłem wiele razy, mój pocieszny Sancho Panso. Czy to jest szczyt Unii?
Kierwiński: No ten tego... jakby tu...
Tusk: Do brzegu...
Kierwiński: A nie wiem, czy przy brzegu, czy na pustyni, ale to spotkanie akurat jest, w pewnym sensie, szczytem Unii... przy czym, jest to Unia... Unia...
Tusk:...Europejska.
Kierwiński: No niby tak...
Tusk: Co znaczy „niby"? Ty mnie nie chcesz wkręcić w polexit? Tak czy siak wypad, bo muszę się spakować, a na lotnisko zawiezie mnie ochrona. Najpierw nadam na Londyn marynarki...
Kierwiński: Ale tam nie ma takiego miasta jak Londyn...
Tusk: Ha ha, znam to. Bareja. Jest Lądek, Lądek-Zdrój... No, ale tu chodzi o Anglię.
Kierwiński: Angolę!
Tusk: Angole to mnie mogą w kiss my ass pocałować. Nigdy ich nie lubiłem. Ale z Merzem i Macronem tak się ostatnio zabawiliśmy, że pół drogi siedziałem w kiblu. I to w przeciwnym kierunku. Podchodzę potem do Mera, a on pyta, czy to ja nie spuściłem wody. Dobra, wypad, bo się rozgadałem. No wypad, powiedziałem!
Kierwiński: Oczywiście. Jak premier życzy...
Tusk: Sobie!
Kierwiński: Sobie. Ładnej pogody w tej Angoli.
Tusk: Nie „w", a „u tych Angoli", głąbie.
Kierwiński: Ale...
Tusk: Ale wypad już, bo zapomnę spakować smoking! Chcesz, żebym reprezentował kraj w jednej koszuli? Jak jakiś dziki człowiek? Dobrze Radziu mówił, że niektórym u nas włącza się murzyńskość...

eprasa.pl 0bd28120fa

Groźna brama do ideologicznej rewolucji

Prezydenckie weto może być jedyną tamą, która powstrzyma tę reformę oświatową

Przyjęta przez Sejm nowelizacja ustawy Prawo oświatowe otwiera drzwi do niebezpiecznych zmian w polskiej edukacji. Pod pozorem „unowocześnienia" i „dostosowania szkoły do wyzwań przyszłości" rząd forsuje rozwiązania, które – jak alarmuje Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły – mogą doprowadzić do systemowej przebudowy wartości, celów i fundamentów polskiego kształcenia.

Choć sama nowelizacja jest przedstawiana jako neutralna technicznie, jej konstrukcja celowo przygotowuje grunt pod projekt UD1857, tzw. Reformę 26. Kompas Jutra – rewolucję programową, która może trwale zmienić polską szkołę w ośrodek wdrażania globalnych ideologii, obcych kulturowo i niepodlegających demokratycznej kontroli.

Podstawą projektowanej reformy ma być Profil absolwenta i absolwentki – dokument bazujący na zewnętrznych założeniach i trendach ideologicznych, które traktują szkołę nie jako miejsce przekazywania wiedzy i dziedzictwa kulturowego, lecz jako narzędzie „formatowania postaw". Zastrzeżenia prawne KROPS są jednoznaczne: państwo rezygnuje z suwerenności edukacyjnej, przenosząc fundamenty polskiej szkoły w obszar dokumentu niepodlegającego demokratycznej kontroli ani społecznej debacie.

Najpoważniejsze zarzuty odnośnie do przyjętej ustawy dotyczą naruszenia konstytucyjnych praw rodziców (art. 48 i 53). Nowelizacja otwiera furtkę do obejścia rodzicielskiej kontroli poprzez wprowadzenie domniemanej zgody na zajęcia fakultatywne czy braku obowiązku przedstawiania rodzicom pełnej informacji o treści tych zajęć. W praktyce oznacza to, że rodzic przestaje być pierwszym wychowawcą, a jego prawo do nadzoru wychowawczego zostaje sprowadzone do iluzorycznej formalności. Wystarczy brak reakcji w ustawowym terminie, aby dziecko zostało objęte programem, o którego treści rodzic mógł nawet nie zostać rzetelnie poinformowany. To milczące odwrócenie relacji państwo–rodzina jest nie tylko nieuczciwe, lecz także sprzeczne z konstytucyjną zasadą pierwszeństwa rodziców w wychowaniu. KROPS ostrzega również przed efektem ideologicznym proponowanej reformy: po wdrożeniu Kompasu Jutra szkoła ma kształcić zgodnie z abstrakcyjnymi, globalnymi kryteriami kompetencyjnymi, które marginalizują polską historię, kulturę narodową, tradycyjny model wychowania, kształcenie klasyczne, hierarchię wiedzy i przedmiotów.

Narracja kompetencyjna oderwana od treści grozi powstaniem pokolenia, które będzie mieć wprawdzie „umiejętności miękkie", ale nie będzie zakorzenione w kulturze, historii i wspólnocie. To nie jest reforma – to przebudowa tożsamościowa. Kompas zakłada odchodzenie od edukacji przedmiotowej i faktograficznej, zastępując ją modułami, projektami, szerokimi „obszarami kompetencji" oraz doświadczeniami edukacyjnymi, które mają być wpisane do podstaw programowych w miejsce wyrzucanych z nich treści edukacyjnych. Brzmi nowocześnie, ale nie ma to nic wspólnego z realnym podnoszeniem jakości nauczania.

W praktyce oznacza to erozję podstawy programowej, niemożność rzetelnego i wymiernego zweryfikowania wiedzy, chaos organizacyjny, nierówności edukacyjne, obniżenie wspólnego poziomu wiedzy. Szkoła ma uczyć „postaw" i „kompetencji globalnych", a nie matematyki, historii czy języka polskiego na wysokim poziomie. Rodzi się pytanie: czy o to naprawdę chodzi?

Dlatego KROPS zwraca się do prezydenta Karola Nawrockiego z apelem o weto, jeśli ustawa wprowadzająca Kompas Jutra trafi na jego biurko. Słusznie, bo to nie jest drobna korekta systemu, lecz systemowa dekonstrukcja polskiej szkoły, przeprowadzana po cichu i w cieniu innych sporów politycznych. Jeżeli państwo odbierze rodzicom nadzór nad wychowaniem, jeśli edukację podporządkuje zewnętrznym ideologiom, jeśli przerobi szkołę na laboratorium społecznych eksperymentów, powrót do normalności może być niemożliwy przez pokolenia. Prezydenckie weto może być jedyną tamą, która powstrzyma tę rewolucję.

Dorota Łosiewicz

Więzienne męki byłego prezydenta

Francja

Kłopoty prawne byłego prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego zdają się nie mieć końca, a on sam stylizuje się na ofiarę upolitycznionego wymiaru sprawiedliwości. Wkrótce ukaże się zapis jego dzienników z więzienia, w którym spędził raptem 20 dni.

W grudniu ub.r. sąd kasacyjny podtrzymał wyrok sądu apelacyjnego w tzw. aferze Bismuth, gdzie zarzucano Sarkozy'emu, że za pośrednictwem swojego adwokata próbował przekupić sędziego sądu kasacyjnego Gilberta Aziberta, aby ten przekazywał mu informacje o postępowaniach prowadzonych przeciwko niemu. Były prezydent otrzymał za to wyrok 3 lat więzienia, z tego 2 lata w zawieszeniu, a resztę w formie dozoru elektronicznego. W tej sprawie pozostał mu już tylko Europejski Trybunał Praw Człowieka, do którego zwrócił się ze skargą.

W minionym tygodniu Sarkozy przegrał inną sprawę. Sąd kasacyjny utrzymał wyrok skazujący w tzw. aferze Bygmaliona, dotyczącej finansowania (przegranej) kampanii wyborczej w 2012 r. Aby ukryć dwukrotnie wyższe od dozwolonych wydatki na kampanię Sarkozy'ego, partia UMP (dziś: Les Républicains) wprowadziła system podwójnych faktur, w czym pomagała jej agencja public relations Bygmalion. W zeszłym roku Sarkozy został za to skazany na 1 rok więzienia, z czego 6 miesięcy w zawieszeniu. Tym samym w tych sprawach były prezydent przeszedł już przez wszelkie instancje. Pozostaje jeszcze sprawa nielegalnego finansowania jego kampanii prezydenckiej w 2007 r. pieniędzmi przyjętymi od nieżyjącego już libijskiego dyktatora Mu'ammara al-Kaddafiego. We wrześniu Sarkozy został w tym przypadku skazany na 5 lat więzienia za „przestępczą zmowę", ale w słynnym więzieniu La Santé spędził zaledwie 20 dni.

Polityk konsekwentnie zaprzecza zarzutom, nazywając siebie ofiarą zemsty i stara się medialnie wykorzystać swój nadzwyczaj krótki pobyt za kratami.

Sarkozy pozujący na pustelnika wydaje się śmieszny. Ciągle ma jednak zwolenników, a dziennik „Le Figaro" przyrównuje jego zmagania sądowe do „drogi krzyżowej".

Były prezydent opisał swój pobyt za kratami w „Dzienniku więziennym", który ukaże się 10 grudnia. Być może książka doczeka się kolejnych części, bo Sarkozy'ego czeka jeszcze kilka innych postępowań sądowych, choćby w sprawie RESO-Garantia, w której zarzuca mu się handel wpływami (w zamian za 3 mln euro wynagrodzenia pobranego od rosyjsko-ormiańskich właścicieli agencji ubezpieczeniowej).

Aleksandra Rybińska

RPA

Tajemnicze deportacje Palestyńczyków

Republika Południowej Afryki prowadzi śledztwo w sprawie samolotów z uchodźcami ze Strefy Gazy, które już dwa razy lądowały w Johannesburgu. W październiku na pokładzie pierwszego z nich znajdowało się 176 osób, a w listopadzie w drugim – 153 pasażerów.

Władze RPA postanowiły przyznać przybyszom status uchodźców, co jednak nie wyjaśnia, kto zorganizował ich podróż. Wiadomo jedynie, że drugi samolot z Palestyńczykami miał międzylądowanie w Kenii, ale to, skąd wystartował i w jaki sposób na jego pokładzie znaleźli się mieszkańcy Strefy Gazy, pozostaje tajemnicą. W ich paszportach brakowało pieczęci wyjazdowych, a za podróż mieli zapłacić – jak sami relacjonowali – po 2 tys. dol.

„Wyruszyliśmy z Gazy, nie zabierając niczego poza ubraniami, które mieliśmy na sobie" – powiedział telewizji Al Jazeera jeden z pasażerów tajemniczego lotu. 153 osoby siedziały w samolocie przez 12 godzin po lądowaniu, nie wiedząc nawet, gdzie się znajdują. Pasażerowie utrzymywali, że przed podróżą kontaktowali się z niemiecką organizacją Al-Majd, założoną podobno przez arabskich uchodźców z Bliskiego Wschodu. Jednak tego rodzaju stowarzyszenie nie figuruje w oficjalnych rejestrach i eksperci mówią, że albo mamy do czynienia z procederem handlu ludźmi, albo z operacją izraelskiego wywiadu. W świetle tej ostatniej interpretacji może chodzić o czystkę etniczną, jak i o doprowadzenie do zmiany propalestyńskiej polityki rządu RPA.

Zdaniem izraelskiego dziennika „Haaretz" tajemnicza organizacja Al-Majd została założona przez obywatela Estonii, mającego również izraelski paszport, a jej działalność jest „nadzorowana i koordynowana" przez resort obrony. Według Deutsche Welle aktywność Al-Majd zbiegła się w czasie z wypowiedziami Donalda Trumpa o planach utworzenia w Strefie Gazy „luksusowej riwiery".

Marek Budzisz

eprasa.pl 0bd28120fa

Islandia

Globalne ochłodzenie

Nadchodzi nowa epoka lodowa – twierdzą klimatolodzy. Jak to możliwe, skoro do tej pory straszono nas raczej „płonącą planetą"? Otóż jedno ma być ściśle powiązane z drugim – ocieplenie klimatu prowadzi do zaniku ciepłego Prądu Zatokowego, który działa niczym kaloryfer dla całej Europy. Gdy przestanie grzać, zrobi się bardzo zimno.

Apokaliptyczne przepowiednie pojawiły się w czasopiśmie „Communications Earth & Environment" i są wynikiem badań naukowców z Instytutu Oceanologii Chińskiej Akademii Nauk oraz Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego. Ich zdaniem cyrkulacja atlantycka (AMOC), która jest czymś w rodzaju pasa transmisyjnego kierującego ciepłą wodę z tropików w stronę półkuli północnej, jest dziś bliska załamania. Chodzi o prąd morski płynący z Zatoki Meksykańskiej do wschodniego wybrzeża USA i dalej przez Atlantyk do Europy.

Przyczyną zanikania Prądu Zatokowego mają być masy słodkiej wody spływające do oceanu z roztopionych lodowców Grenlandii. Zimna słodka woda blokuje ciepły słony nurt prądu, co ostatecznie prowadzi do jego zaniku. W rezultacie do Skandynawii dociera mniej ciepłej wody i w Europie robi się coraz chłodniej. Jeśli Prąd Zatokowy całkiem zaniknie, zimowe temperatury mogą u nas spaść nawet do minus 50 st. Celsjusza.

Są też inne wytłumaczenia tego fenomenu. Zdaniem niektórych ekspertów zanik Prądu Zatokowego wcale nie wynika z topnienia lodowców, lecz ma związek z dużym falowaniem powietrznego Prądu Strumieniowego i – co za tym idzie – ze zwiększoną liczbą opadów. W ten sposób masy słodkiej wody opadowej zalewają Atlantyk, powodując stopniowe wygaszanie ciepłego Prądu Zatokowego. Niezależnie od tego, która z tych teorii jest bliższa prawdzie, obie przewidują ten sam rezultat – nadejście nowej epoki lodowej, która może potrwać nawet kilka stuleci.

Islandia uznała już potencjalne załamanie się cyrkulacji atlantyckiej za zagrożenie egzystencjalne i rozpoczęła planowanie działań na wypadek najgorszych scenariuszy. „To bezpośrednie zagrożenie dla naszej odporności i bezpieczeństwa narodowego" – stwierdził islandzki minister klimatu Jóhann Páll Jóhannsson. „Zlodowacenie może wpłynąć na transport morski, a ekstremalne zjawiska pogodowe mogą zachwiać rolnictwem i rybołówstwem, które są kluczowe dla naszej gospodarki i systemów żywnościowych" – powiedział.

Niepokojącym zmianom przyglądają się również władze Irlandii, Wielkiej Brytanii oraz państw skandynawskich. Wygląda na to, że odejście od energetyki węglowej w Europie i postawienie na panele słoneczne było nieco lekkomyślne.

Konrad Kołodziejski

Mali

Klęska Rosjan, triumf dżihadystów

Mali to kolejne państwo w Afryce, które wpada w szpony dżihadystów. Jeszcze do niedawna ich napór powstrzymywało 5 tys. francuskich żołnierzy wspomaganych przez misję wojskową UE. W 2021 r. doszło jednak do zamachu stanu i władzę przejęli generałowie, którzy rok później wyprosili z kraju siły europejskie. Wkrótce potem podziękowano również żołnierzom misji pokojowej ONZ, których obecność stabilizowała sytuację w regionie.

Wojskowa junta ogłosiła, że znacznie lepiej poradzi sobie z islamistami, korzystając z pomocy zaprzyjaźnionych Rosjan. W 2021 r. zatrudniono więc najemników z Grupy Wagnera, którzy potem zostali zastąpieni towarzyszami z Korpusu Afrykańskiego – innej prywatnej firmy wojskowej, podlegającej bezpośrednio ministerstwu obrony w Moskwie.

Okazało się jednak, że Rosjanie zawiedli na całej linii. Mieli powstrzymać marsz dżihadystów, a efekt jest taki, że islamiści nigdy wcześniej nie kontrolowali tak dużych połaci kraju jak obecnie. Związana z Al-Kaidą organizacja JNIM (Dżama'at Nusrat al-Islam wal-Muslimin) od kilku tygodni oblega stolicę państwa – Bamako. Na razie agresorzy nie zamierzają szturmować miasta, lecz utrzymują blokadę, odcinając je od zaopatrzenia i przejmując transporty, m.in. z paliwem i żywnością.

W najgorszej sytuacji znajdują się chrześcijanie. W 22-mln Mali jest ich zaledwie 500 tys. Padają ofiarą zaplanowanych czystek religijnych. Dżihadyści terroryzują ich, paląc kościoły, grożąc śmiercią i zmuszając do ucieczki. Pozbawiają też „niewiernych" dostępu do wody i gruntów ornych, sprawiając, że widmo głodu popycha całe wioski do opuszczania rodzinnych stron i szukania ratunku z dala od domu. Sytuacja jest na tyle poważna, że episkopat Mali podjął decyzję o odwołaniu corocznej narodowej pielgrzymki do sanktuarium maryjnego w Kicie. Malijscy katolicy pielgrzymowali tam nieprzerwanie od 1966 r. Teraz tradycja została przerwana – nie wiadomo, na jak długo. Islamiści chcieliby na zawsze.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 0bd28120fa

Kongres Młodych ECR w Lublinie, czyli jak rozbić brukselski beton

Lublin, ta perła Wschodu, gdzie tradycja miesza się z ambicjami, właśnie stał się centrum konserwatywnego młodzieńczego entuzjazmu. Kongres Młodych ECR, który odbył się 27–29 listopada w Lubelskim Centrum Konferencyjnym, przyciągnął tłumy młodych z Polski i Europy. To nie była jakaś senna konferencja – choć pewnie nie brakowało kawy na długie noce dyskusji – ale dynamiczny wir idei, gdzie młodzi konserwatyści planowali, jak rozbić brukselski beton i zbudować silną, suwerenną Polskę

Panele dyskusyjne? Pełna paleta! Tematyka gospodarcza i polityczna biła rekordy frekwencji. Szczególnie energetyka rozgrzała debatę do czerwoności – rozmowy o zarządzaniu zasobami energetycznymi, uniezależnieniu od rosyjskiego gazu, transformacji energetycznej w konserwatywnym stylu – bez lewicowych utopii, ale z naciskiem na bezpieczeństwo i innowacje. Paneliści dyskutowali, jak Polska może stać się energetycznym tygrysem Europy, inwestując w atom, gaz, węgiel i stabilne odnawialne źródła, takie jak biogaz, by nie dać się szantażować z Moskwy czy Berlina. Do tego CPK jako gospodarczy gamechanger. Marcin Horała i eksperci przedstawiali wizję Polski jako hubu transportowego, gdzie samoloty lądują, a gospodarka startuje.

Politycznie? Kryzys migracyjny z humorystycznym akcentem, czyli „Budujemy zaporę, by chaos nie wjechał bez biletu". Przyszłość UE bez federalizmu, polityka zagraniczna z sojusznikami z Węgier czy Włoch, rola młodzieży w samorządach, edukacja patriotyczna przeciw hedonizmowi – liczni paneliści podkreślali, jak młodzi mogą kształtować Europę. Sport jako promocja Polski? Też był, bo konserwatyzm to nie tylko polityka, lecz także zdrowy duch w zdrowym ciele.

Goście? Znamienici. Prezydent Karol Nawrocki objął wydarzenie patronatem, dodając mu najwyższej rangi. Wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego pierwszego dnia to hit, podczas którego lider PiS zapowiedział dalszą walkę o pełną suwerenność, motywując młodych do działania. Mateusz Morawiecki dzielił się wizją gospodarczego boomu, Piotr Gliński mówił o kulturze jako bastionie konserwatyzmu, Paweł Szefernaker i Karol Rabenda – o strategicznej polityce płynącej z pałacu prezydenckiego. Do tego prosto z europarlamentu Adam Bielan, Dominik Tarczyński, Piotr Müller, Michał Dworczyk... Krajowych polityków największego formatu można by wymieniać długo – Przemysław Czarnek, Jacek Sasin, Mariusz Błaszczak, Anna Krupka...

Dlaczego to przełom? Młodzi to serce konserwatyzmu! W dobie lewicowych eksperymentów i brukselskiego centralizmu, oni – z pasją, humorem i optymizmem – są kluczem do przyszłości. Dla PiS to nowa energia: świeże pomysły na gospodarkę, energetykę (gdzie Polska może eksportować prąd, nie importować problemy) i politykę. Oni nie czekają – działają, scrollując nie TikToka, a strategie na silną Polskę.

Humor? Jeden ekspert zażartował: „Energetyka? To my ładujemy baterie konserwatyzmu, by UE nie wyłączyła nam prądu suwerenności". Kongres pokazał, że młody konserwatyzm jest witalny, zabawny i nie do zatrzymania. Lublin dał przykład – beton lewicowej pseudopoprawności pęka, a przyszłość świeci jasno. Było ciekawie, zabawnie, inspirująco i optymistycznie – zaszczytem było uczestniczyć w tym wydarzeniu.

Daniel Obajtek

eprasa.pl 0bd28120fa

Wiele wektorów Azji Środkowej

Marta Kaczyńska-Zielińska

W XIX w. Rosja najechała i zaanektowała obszary dzisiejszego Kazachstanu, Kirgistanu, Tadżykistanu, Turkmenistanu i Uzbekistanu. Kraje te uzyskały niepodległość na początku lat 90. XX w., jednak Rosja zdaje się przeświadczona, że narody te muszą pozostać częścią jej strefy wpływów.

Azja Środkowa ma strategiczne znaczenie zarówno dla Rosji, jak i Chin – ze względu na bezpieczeństwo, stabilność gospodarczą i wpływy geopolityczne. Rosja utrzymuje w wymienionym regionie tradycyjne wpływy poprzez sojusze bezpieczeństwa i powiązania gospodarcze, a znaczenie Chin bardzo wzrosło w ostatnich dekadach ze względu na ogromne inwestycje gospodarcze, zwłaszcza w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku. Jak również obawy o bezpieczeństwo strategicznie położonej prowincji Sinciang, zajętej przez ChRL w 1949 r. i zamieszkiwanej przez 12 mln Ujgurów – prześladowanych i oskarżanych przez władzę o separatyzm oraz podobnie traktowanych Kazachów. Oba państwa współpracują w kwestiach bezpieczeństwa regionalnego, ale jednocześnie rywalizują, ponieważ kraje Azji Środkowej równoważą relacje z Moskwą i Pekinem.

W związku z nałożeniem przez Chiny ograniczeń na eksport pierwiastków ziem rzadkich i utrzymaniem dominującej roli w przetwórstwie minerałów Azja Środkowa stanowi alternatywne źródło zarówno surowców, może również stabilizować łańcuchy dostaw. W ostatnich tygodniach nastąpiło znaczące ożywienie relacji pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a państwami Azji Środkowej. Warto także przypomnieć o zaangażowaniu USA w innym regionie Azji. Jesienią br. Waszyngton pośredniczył w osiągnięciu porozumienia pokojowego pomiędzy Azerbejdżanem a Armenią, przejmując rolę mediatora, którą od dekad odgrywała Rosja. USA zawarły dwustronne porozumienia z Armenią i z Azerbejdżanem dotyczące energetyki, handlu i nowych technologii. W planach jest także budowa szlaku komunikacyjnego, który może przeciąć oś prowadzącą z Iranu przez Armenię i Gruzję aż do Rosji. Ameryka zniosła sankcje, które dotychczas ograniczały możliwość współpracy obronnej z Azerbejdżanem.

W trakcie szczytu, który odbył się na początku listopada w Waszyngtonie, sekretarz handlu Howard Lutnick ogłosił kilkanaście porozumień między państwami Azji Środkowej a amerykańskimi przedsiębiorstwami. Szczyt zakończył się kolacją w Białym Domu, której gospodarzami byli prezydent USA Donald Trump i wiceprezydent J.D. Vance. Osiągnięcia szczytu wykraczały poza umowy biznesowe. Dodatkowe zobowiązania obejmowały deklarację wiceprezydenta o wizytach we wszystkich pięciu krajach Azji Środkowej w 2026 r. oraz gotowość do rozważenia zniesienia „przestarzałych, sowieckich ograniczeń handlowych". Z kolei sekretarz stanu Marco Rubio oświadczył, że USA zamierzają traktować ten region jako strategiczny priorytet.

Jesteśmy świadkami pierwszej znaczącej inwestycji USA w sektorze górnictwa pozaenergetycznego w Azji Środkowej – regionie historycznie kontrolowanym przez ChRL i Rosję. Amerykańska spółka zawarła umowę z kazachską państwową spółką górniczą na uruchomienie zakładu wydobywczo-przetwórczego wolframu o wartości 1,1 mld dol. W Uzbekistanie przedstawiono potencjalne umowy dotyczące projektów związanych z pierwiastkami ziem rzadkich. USA uzyskały prawo pierwokupu wspólnie eksploatowanych złóż mineralnych i będą współpracować przy mapowaniu minerałów krytycznych.

W połowie listopada w Taszkencie prezydenci państw Azji Środkowej podpisali porozumienia mające na celu wzmocnienie współpracy regionalnej i przyjęcie Azerbejdżanu jako oficjalnego członka Spotkań Konsultacyjnych Azji Środkowej. To historycznie nowy etap rozwoju regionalnego, w którym państwa wspomnianego regionu dążą do większego upodmiotowienia.

REKLAMA

63/1125/F

eprasa.pl 0bd28120fa

Walizka Wojciecha Kosieradzkiego

stolarza, właściciela firmy Pracownia Meblowa oraz Oh My Lord

Na wybór drogi życiowej wpłynął mój Tata, który zaszczepił we mnie żyłkę do rzemiosła. Jest typową „złotą rączką", choć nie znam nikogo równie precyzyjnego i pomysłowego jak on. Gdy coś się zepsuło, zamiast szukać specjalistów, naprawiał wszystko sam. Łączył przy tym wiedzę i umiejętności z różnych dziedzin – od elektryki i ślusarki po stolarkę i naprawę maszyn. Jak Jezus podpatrywał św. Józefa, tak ja bacznie obserwowałem czynności mojego Ojca. Później studiowałem historię sztuki i wtedy pojawiła się miłość do antyków. Połączenie pasji do twórczego rzemiosła, szlachetnych materiałów oraz pięknych przedmiotów dały początek temu, czym zajmuję się do dzisiaj – renowacji mebli. Na studiach poznałem również Żonę, która przez jakiś czas pracowała ze mną w warsztacie. Jej kobiece oko, precyzja i intuicja miały wkład w funkcjonowanie firmy. Pracownia Meblowa działa od 10 lat. Z kolei Oh My Lord to moja druga marka, która powstała z potrzeby serca. Jej celem jest tworzenie estetycznych, minimalistycznych dewocjonaliów. Moje dzieci często zaglądają do pracowni i tak jak ja kiedyś podpatrują tatę, ucząc się wartości pracy.

BIBLIA I RÓŻANIEC

Codziennie czytam Słowo Boże i modlę się na różańcu. Ciekawostką jest to, że mój ulubiony znalazłem na śmietniku. Widocznie ktoś opróżniał mieszkanie po starszej osobie. Był trochę niekompletny, ale dorobiłem brakujące paciorki, wymieniłem sznurek i służy do dziś.

KSIĄŻKI O DUCHOWOŚCI

Staram się nie tracić czasu na lekką lekturę, dlatego czytam książki o duchowości katolickiej, poszerzające nie tylko wiedzę, lecz także rozwijające wiarę. Św. Maksymilian Kolbe powiedział: „Co chwila bądź lepszy" i staram się stosować tę maksymę.

eprasa.pl 0bd28120fa

NARZĘDZIA

Zawsze noszę przy sobie drobne narzędzia – na wypadek, gdyby niespodziewanie trzeba było coś zmierzyć, dociąć, przykręcić lub oświetlić. Latarka jest prezentem od szwagra.

T-SHIRT PRO LIFE

Koszulka własnego projektu z ilustracją bobasa chronionego przez ręce dorosłej osoby. Ochrona tych, którzy nie mają głosu, jest naszą powinnością. Dla mnie i mojej Żony te wartości są bardzo ważne.

NOŻE DO RZEŹBIENIA

Podczas dłuższych wyjazdów z rodziną, gdy jest chwila oddechu, lubię rzeźbić w drewnie. Z niewielkich kawałków powstają wtedy np. figurki ptaków, którymi chętnie bawią się moje dzieci.

KRZYŻE

Na stronie OH MY LORD mamy w ofercie kilka krzyży. Często się zastanawiam, gdzie i do kogo trafią, z jakimi modlitwami ludzie będą się przez nie zwracali do Jezusa.

ZATYCZKI DO USZU

Te drobne akcesoria bardzo pomagają w codziennym funkcjonowaniu. Sięgam po nie zawsze, gdy potrzebuję wyciszenia przy lekturze Biblii, różańcu w komunikacji miejskiej czy pracy z elektronarzędziami.

ZEGARY

Jestem dumny z efektu renowacji zegarów z markieterią Boulle'a. Najstarszy wykonano ok. 1720 r. Do ich zdobień używano m.in. szylkretu, mosiądzu czy hebanu – luksusowych materiałów, które często gościły na dworach królów francuskich.

SŁUCHAWKI Z PRZEWODZENIEM KOSTNYM

Pozwalają prowadzić rozmowy telefoniczne, słuchać podcastów (m.in. Katarzyny Supeł-Zaboklickiej na SalveNET, Ani Pawelec na PRZEkanale, Odbudowanych Karola Gnata), a jednocześnie słyszeć dźwięki z zewnątrz. Dzięki nim nie odcinam się od tego, co mnie otacza.

KREDENS

Włoski zabytkowy kredens z nadstawką inkrustowany kością z II poł. XIX w. z pracowni Ferdinanda Poglianiego.

Fot. xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx

KAWA

Dzień rozpoczęty bez kawy jest dla mnie „szorstki". Zaopatruję się w charytatywnym sklepie Amakuru przy al. Solidarności w Warszawie prowadzonym przez pallotyńską Fundację Salvatti. Wszystkie kawy, które tam oferują, są wyśmienite.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

eprasa.pl 0bd28120fa

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wściekłe gęby mameluków

Jan Pietrzak

Tak się złożyło, że po Koncercie Niepodległości Towarzystwa Patriotycznego, podczas którego wręczano nagrody „Żeby Polska była Polską", ktoś mi powiedział o profanacji tej pieśni w Teatrze Narodowym. Odbyła się tam premiera dramatu „Termopile polskie" Tadeusza Micińskiego. Nowym dyrektorem narodowej sceny został uznawany za skandalistę Jan Klata. Nie sądzę, bym zdobył się na odwagę i dotarł na to przedstawienie. Kocham teatr, dlatego coraz rzadziej chodzę. Zwłaszcza powszechna moda demolowania klasycznych, tradycyjnych tekstów jest zabiegiem głęboko nieuczciwym – wobec bezbronnych historycznych autorów, a także ważnej kulturowo pamięci narodowej i ogólnoludzkiej. Sofoklesa i Szekspira również „poprawiają" barbarzyńcy. Nie tylko Micińskiego i Mickiewicza.

W szczęśliwie minionych czasach PRL akurat pod tym względem cenzura odgrywała „pozytywną" rolę, pilnując starych tekstów. Najważniejsze, że mieliśmy wręcz nadmiar wybitnych aktorów, całe zespoły aktorskie na najwyższym poziomie. W tym pasjonujące, nowatorskie grupy Grotowskiego, Kantora, Szajny. Ale głównie chodziło się na podziwianych, świetnych aktorów grających w dobrze skrojonych sztukach. Tych głębokich, wzniosłych, a także mniej ambitnych literacko, lecz rozgrzewających widownię wybitnymi kreacjami.

W Warszawie oblegane były teatry Holoubka, Hubnera, Axera... Świetnie radziły sobie sceny komediowe: Syrena, Kwadrat, STS... Wspominam tu lata 60. i 70., kiedy z zapałem neofity po młodości spędzonej w koszarach chłonąłem rzeczywistość kreowaną, zdecydowanie ciekawszą od rzeczywistości realnej, obskurnej, przygnębiającej.

Niestety w III RP od początku trwa wymiana kultury wysokiej na tandetę, bylejakość. Pod naporem ogłupiającego wpływu mediów życie publiczne coraz częściej przypomina parodię. Co rusz z ust różnych person słychać okrzyki, że to, co proponuje partia ABC, jest istnym kabaretem, a to, co wygaduje z mównicy posłanka XYZ, to jakieś wygłupy. Tendencja jest wyraźna i narastająca. Trudno się dziwić, że niektórzy twórcy teatralni sięgają po tego rodzaju ekspresję. Groza polega na tym, że czynią to sposobem pasożytów. Podczepiają się pod cudze utwory, by je deformować.

Owszem, istnieje uprawniona, ugruntowana tradycją tzw. szopka satyryczna. Nawet niewielkie przekręcenie tekstu daje efekt komiczny. W Piwnicy pod Baranami zmieniono słowo „miłość" na słowo „partia" i śpiewano: „Partia ci wszystko wybaczy, smutek zamieni ci w śmiech, partia tak pięknie tłumaczy zdradę i kłamstwo i grzech"... itd. Śmiechu było co niemiara. W początkach III RP najpopularniejsza była wieloodcinkowa szopka Marcina Wolskiego „Polskie zoo". Została skasowana bodajże w 1994 r. Rozbawione buźki kukiełek zastąpiono wiecznie wściekłymi gębami mameluków. Oni tu rządzą. I to jest profanacja w dużo większej skali niż Klata ogarnia.

Rozkrok, który wywołuje chaos

Samuel Pereira

Już sam początek ostatniego posiedzenia rządu był symboliczny: premier, znany z politycznych wolt, mocował się z teczką z dokumentami, zanim zaczął mówić. To właśnie wtedy Donald Tusk wygłosił swoje stanowisko w sprawie wyroku TSUE, sprowadzające się do tego, że instytucje unijne nie mogą narzucać Polsce prawa, ale on musi się na to zgodzić. Co tak naprawdę kryje się za werdyktem Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, wzywającym nas do uznawania zagranicznych małżeństw jednopłciowych? Ten wyrok odsłonił problem znacznie głębszy niż kolejny spór polityczny: to, jak polskie państwo radzi sobie z kolizją dwóch porządków prawnych – unijnego i krajowego. Mimo że już w 2021 r. polski Trybunał Konstytucyjny rozstrzygnął ten spór na korzyść naszej konstytucji, rządzący nie respektują tego wyroku, bo wola Berlina czy Brukseli jest ważniejsza od polskiego porządku ustrojowego i krajowych instytucji.

Ta cała sprawa jest nie tylko o symbolach, lecz także o realnych konsekwencjach dla ludzi. Rząd – deklarując jednocześnie, że wyrok „niczego nie zmienia", a zaraz potem, że „trzeba go wdrożyć" – dla poklasku i posłuchu jednej i drugiej strony politycznego sporu w Polsce tworzy wrażenie chaosu. Obywatele mają prawo wiedzieć, jakie przepisy ich dotyczą, urzędnicy – według jakich zasad mają działać, a państwo – jakie normy uważa za nadrzędne wobec innych. UE rzeczywiście bazuje na zasadzie swobodnego przemieszczania i ochronie praw podstawowych, ale Polska bazuje na konstytucji, która jasno reguluje instytucję małżeństwa i brak małżeństw jednopłciowych nie prowadzi do żadnej dyskryminacji oraz nie utrudnia nikomu podróżowania po kraju.

Problem w tym, że zamiast merytorycznej analizy skutków orzeczenia – choćby wskazania, dlaczego i na jakiej podstawie jakiekolwiek elementy tego werdyktu miałyby się w Polsce zmieniać w obowiązujące prawo – rząd ogranicza się do deklaracji i ślepego pędu za „trendami". Oczywiście wydumanymi, bo ostatnio pozytywny stosunek do wartości rodzinnych staje się w Europie bardziej popularny niż jeszcze np. dwie dekady temu (szkoda, że kryzys demograficzny mimo to trwa, ale to temat na inną dyskusję).

eprasa.pl 0bd28120fa

Polska nie może umrzeć

Senator Grzegorz Bierecki laureatem nagrody Towarzystwa Patriotycznego Jana Pietrzaka

Senator Grzegorz Bierecki, prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński oraz sędzia Trybunału Stanu Piotr Łukasz Andrzejewski zostali laureatami tegorocznej edycji nagrody „Żeby Polska była Polską" Towarzystwa Patriotycznego Jana Pietrzaka. Parlamentarzysta PiS otrzymał wyróżnienie za przedstawiany szeroko m.in. na naszych łamach projekt wielkiej ustawy repatriacyjnej, dzięki której do Polski mogłyby wrócić setki tysięcy naszych rodaków, przede wszystkim mieszkających w krajach dawnego Związku Sowieckiego.

Nagroda „Żeby Polska była Polską" jest przyznawana od 2012 r. W przeszłości otrzymywali ją, m.in. prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, ówczesny premier Mateusz Morawiecki czy minister edukacji narodowej Przemysław Czarnek. Wśród laureatów były najwybitniejsze postacie polskiej nauki, jak historycy prof. Andrzej Nowak i prof. Wojciech Roszkowski, pedagog prof. Aleksander Nalaskowski i socjolog dr Barbara Fedyszak-Radziejowska, a także kultury, jak aktorzy Ewa Dałkowska i Jerzy Zelnik, pisarze Marek Nowakowski i Bohdan Urbankowski czy muzycy, m.in. Leszek Czajkowski, Lech Makowiecki, Marek Piekarczyk i Andrzej Kołakowski. Towarzystwo Patriotyczne honorowało również duchownych (ks. infułat Ireneusz Skubiś) i bohaterów walki z komunizmem z Andrzejem Gwiazdą i Janem Krzysztofem Kelusem na czele.

„Tak wielu wspaniałych ludzi otrzymało tę nagrodę... Jestem zaszczycony, że dołączam do tego grona. Zwłaszcza że jesteśmy w pobliżu grobu bł. ks. Jerzego Popiełuszki, który jest dla mnie miejscem bardzo ważnym, szczególnym" – mówił podczas uroczystości senator Grzegorz Bierecki.

„Moja żona mówi, że zawsze znajdę sobie jakąś kolejną górę do zdobycia. Takie zadanie jest teraz przede mną" – zaznaczył parlamentarzysta z południowego Podlasia, nawiązując do przygotowanej przez siebie ustawy repatriacyjnej.

„Nagroda »Żeby Polska była Polską« jest niezwykle inspirująca, to znakomite motto dla przedsięwzięcia, wokół którego wszyscy powinniśmy się zjednoczyć. Bo żeby Polska była Polską, to w Polsce muszą być Polacy, muszą być tutaj polskie rodziny, polskie domy" – podkreślał Grzegorz Bierecki.

Jego ustawa ma być odpowiedzią na bezprecedensowy kryzys demograficzny, z którym od początku lat 90. XX w. zmaga się Polska. Obecnie co roku ubywa nawet 180 tys. Polaków.

„Polska nie może umrzeć. Powinniśmy do tego naszego organizmu dokonać transfuzji z własnej krwi" – apelował senator PiS.

Tę „transfuzję" ma zapewnić proponowane przez Grzegorza Biereckiego połączenie systemu repatriacji i osadnictwa w taki sposób, by skokowo usprawnić proces ściągania naszych rodaków do kraju. Wśród kluczowych założeń ustawy jest rozszerzenie uprawnienia do repatriacji na Polaków z europejskiej części byłego Związku Sowieckiego, możliwość uzyskania promesy wizy krajowej online oraz jej weryfikacja na granicy przez Straż Graniczną czy wprowadzenie nowej wizy krajowej dla osób polskiego pochodzenia wracających z emigracji bez polskiego obywatelstwa. Element osadniczy zakłada umożliwienie województwom zagrożonym wyludnieniem wykupu pustostanów i udostępnianie ich repatriantom oraz powracającym z emigracji, możliwość wykupu mieszkań przez osadników po określonym czasie i poluzowanie warunków osiedlenia w województwach o niskim bezrobociu.

Wdrożenie ustawy Biereckiego ma przynieść nie tylko zatrzymanie demograficznej katastrofy, lecz także wymierne, wyliczone przez autora projektu korzyści budżetowe. Mowa o co najmniej 100 mld zł, jakie wypracują dla Polski jej nowi obywatele.

„Ustawa wraz z pełnym uzasadnieniem i wyliczeniami jest gotowa" – mówił w rozmowie z telewizją wPolsce24 senator Grzegorz Bierecki. Jego projekt został przekazany Kancelarii Prezydenta RP. „Można by go było wnieść jako projekt senacki. W Polsce zgodnie z konstytucją za kwestie Polaków za granicą odpowiadają i Senat, i prezydent. Ale myślę, że za tak ważny projekt, który mówi o sprowadzeniu 800 tys. rodzin do Polski, może odpowiadać tylko głowa państwa. Projekt został przekazany panu prezydentowi, trwają prace w kancelarii, więc od kalendarza pana prezydenta zależy, kiedy zostanie on uruchomiony" – stwierdził Bierecki.

ŁW

eprasa.pl 0bd28120fa

TRENDY I OWĘDY

Kącik modowy

Ośmiogwiazdkowa „elita” nie może przeboleć przegranych wyborów prezydenckich. Zamiast wbrew obowiązującej doktrynie być uśmiechniętą częścią społeczeństwa, wiją się, skręcają ze złości, podważają wynik wyborów, a przede wszystkim z lubością powielają pomówienia i oszczerstwa z wiosennej kampanii. Najbardziej jednak nie mogą ścierpieć, że para prezydencka prezentuje się jak hollywoodzkie gwiazdy na czerwonym dywanie.

Ryszard Makowski

Eksperci od mody punktują najmniejszy element stroju Marty Nawrockiej. Popełniła faux pas ubierając się dwa razy z rzędu w ten sam sposób. Sukienki ma złej długości. Salonowa stylistka pokusiła się o bardziej wnikliwą analizę. „Garnitur daje wrażenie lekkości i świeżości, ale w dress code obowiązuje żelazna zasada: odcień musi być dopasowany do karnacji. Źle dobrany sprawia, że twarz wygląda na zmęczoną, a detale stroju tracą ostrość. Przy tak jasnej tonacji wszystkie niedociągnięcia w kroju i brak proporcji widać jak na dłoni”. Zwykłe czepialstwo, unicestwiające obraz rzeczywisty. Stylizacje żony prezydenta są bez zarzutu. Tym bardziej że internet nie zna litości i rozpowszechniono podobiznę pani stylistki... Nie wypada powtarzać opinii.

Na szczęście nasz premier tak wyśrubował poziom garderobianego obciachu, że nikt go nie przebije. Przyniósł nam wstyd, paradując na lotnisku w Luandzie, stolicy obchodzącej 50-lecie niepodległości Angoli, w wymiętej koszuli, sportowych spodniach i butach przed kompanią honorową. Przyjmujący go prezydent Angoli był w garniturze. Krajowych stylistów chyba zamurowało. Kompletna cisza. Nie komentują.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAP/MARCIN OBARA, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, LIUDMYLA KAZAKOVA, ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK/LIO PUTRA, KUMASORA

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Fot. Monolithfilms

eprasa.pl 0bd28120fa

Dyplomacja w klapkach

W ubiegłym tygodniu internet zagotował się z powodu wizyty Tuska w Afryce. Podczas oficjalnej ceremonii powitania premier Polski postanowił wystąpić w stroju, który z powagą sytuacji nie miał nic wspólnego. Bez marynarki, bez garnituru, za to z nonszalancją godną turysty, a nie przedstawiciela państwa. Można to nazwać luzem. Można też – i to jest bliższe prawdy – odczytać jako lekceważenie. Bo dyplomacja to nie bal maskowy, a symbolika ma znaczenie – zwłaszcza gdy staje się wizytówką kraju.

Afryka to nie dekoracja dla europejskich wycieczek, lecz potężny kontynent liczący ponad 1,4 mld mieszkańców i ponad 50 państw, z których każde buduje własną przyszłość w tempie, którego Europa już dawno się oduczyła. To dziś jedno z najważniejszych pól globalnego rozwoju: energetycznego, technologicznego, infrastrukturalnego. W listopadzie byłem na posiedzeniu Parlamentu Panafrykańskiego i z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć jedno – dawno nie widziałem takiej determinacji, takiej świadomości i takiej dynamiki. Afryka nie prosi o jałmużnę. Afryka negocjuje partnerstwo.

I właśnie dlatego gest Tuska nie jest błahostką. To sygnał: „Nie traktujemy was serio". Sygnał, który natychmiast zostanie odczytany nie tylko w Luandzie, Addis Abebie czy Pretorii, lecz także w Pekinie i Moskwie. Bo Chiny i Rosja nie ignorują Afryki. One już tam są, inwestują, budują wpływy, przejmują rynki i lojalności. Jeśli Polska – i szerzej Europa – uzna, że może sobie pozwolić na arogancję, przegra kolejny wyścig. A Stary Kontynent już od dawna przegrywa te wyścigi, jeden po drugim.

Oczywiście z mojej perspektywy kluczowy jest wymiar sprawiedliwości historycznej. Państwa afrykańskie oraz Polska wciąż nie otrzymały należnych reparacji od Niemiec za zbrodnie kolonialne i wojenne. Namibia, Tanzania, Togo czy Kamerun podobnie jak my nadal czekają na realne zadośćuczynienie za lata przemocy, eksploatacji i zniszczeń.

Właśnie tu kryje się jedno z najważniejszych pól współpracy – wspólny głos państw domagających się sprawiedliwości. To mógłby być fundament autentycznego partnerstwa Polski z Afryką, bazującego nie na gestach i pozorach, lecz na solidarności i odpowiedzialności. Tymczasem zamiast budować taki sojusz, oferujemy politykę na skróty i symboliczne lekceważenie, które osłabia naszą pozycję.

Arkadiusz Mularczyk

A więc rozmawiajmy

Z aktorką Agnieszką Grochowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Nie pierwszy raz gra pani matkę, ale rola w filmie „Brat" Macieja Sobieszczańskiego jest pełna zarówno emocji, jak i wielowymiarowych relacji z dwoma silnymi charakterologicznie młodymi bohaterami. Jak pani się w tym odnajdywała?

Agnieszka Grochowska: Chłopcy byli wspaniałymi partnerami. Nawet trudno sobie wyobrazić, że można grać z kimś, kto ma taką obecność przed kamerą. Reżyser dał im (wtedy 13- i 10-latkowi) dużo przestrzeni i uwagi. Mieli do niego zaufanie, mogli liczyć na zrozumienie. Czyli coś niezwykle ważnego dla każdego z nas, niezależnie od wieku. Poza tym byli to (i są nadal, starsi o dwa lata) wyjątkowi młodzi ludzie. Nie tylko utalentowani, lecz także mający własne zdanie oraz wyobraźnię, która pozwalała im współkreować ekranowy świat. Z ważnym sportowym zapleczem.

Obaj są dżudokami, systematycznie trenują. To pomagało na planie?

Są twardzi, mają hart ducha. Od nich naprawdę można się uczyć podejścia do zadań, pokonywania swoich ograniczeń, przekraczania granic, wytrzymałości. To jest wyjątkowe, nie tylko dla dzieci. To jest wyjątkowe dla ludzi w ogóle.

„Brat", który znalazł się w konkursie głównym jubileuszowego 50. FPFF w Gdyni, to nie tylko zagmatwane rodzinne relacje i sportowa rywalizacja, lecz także nierozstrzygnięte dylematy, które prowadzą nawet do... samobójczej próby dziecka.

Myślę, że ten film trzeba obejrzeć, bo dotyka wielu bardzo ważnych spraw. A opowiada o tym – jak sądzę – w niestandardowy sposób. W z pozoru prostej historii jest wiele nieoczywistych sytuacji i niejednoznacznie budowanych postaci. To daje dużo punktów wyjścia do pogłębionej rozmowy, więc rozmawiajmy.

eprasa.pl 0bd28120fa

Fronty Tuska

Z jednej strony ogłoszenie zawieszenia broni i deklaracja wyciągniętej ręki do przeciwników, z drugiej – coraz ostrzejsze represje wobec opozycji i skierowana do prezydenta iście wojenna retoryka. Paradoks? Tylko pozornie. Prawica Tuska doskonale wie, co czyni jego lewica. W tym dysonansie nie ma żadnego przypadku. To precyzyjnie zaplanowana strategia, która na razie się sprawdza. Byłoby błędem sprowadzanie jej do czystej hipokryzji

MAREK PYZA

To fakt, że ze swojej obłudy premier czerpie wręcz perwersyjną satysfakcję. Jest mistrzem miksowania hejtu z pojednawczymi apelami, przypisywania innym własnych grzechów, zaprzeczania oczywistościom, nawet jeśli dotyczą jego własnych słów. Sięga po to narzędzie, bo przynosi ono efekty. Pytanie, jak długo.

PASMO KLĘSK

Jesteśmy na półmetku rządów Donalda Tuska. Ich dotychczasowy bilans jest fatalny i nic nie wróży poprawy. Dlatego tak wyraźnie można dostrzec, jaki plan obmyślił na drugą połówkę.

Co dziś wiemy? Że kolejne wybory prawie na pewno odbędą się w konstytucyjnym terminie. Każdy inny scenariusz byłby ryzykiem potężnej katastrofy dla premiera i niemal pewną katastrofą dla jego koalicjantów.

„Wiele wskazuje na to, że bój o przyszłość Polski rozegra się między Koalicją a Braunem i Konfederacją" – skomentował szef rządu ostatni sondaż OGB (KO ma w nim 38 proc. poparcia, PiS – 28 proc., Konfederacja – 14 proc., a KKP – 9 proc.). W rzeczywistości nic na to nie wskazuje, bo wszyscy jego koalicjanci są pod progiem i nawet jedna lista może ich nie utrzymać u władzy, a po drugiej stronie rysuje się triumf prawicy. Pytanie tylko, w jakich proporcjach.

I choć obóz Tuska mógłby się pocieszać tymi złudnymi partyjnymi notowaniami, bankructwo polityki jego koalicji wyziera na każdym kroku. Deficyt budżetowy pęcznieje. Rośnie bezrobocie wśród młodych, a to zwiastun

Fot. Andrzej Iwanczuk/REPORTER

czyhających poważniejszych kłopotów. Ceny energii nie przestają rosnąć, perspektywa jest dramatyczna, co oznacza widmo upadku dla wielu polskich zakładów (ot, choćby hut, które dodatkowo dobije import taniej stali z Ukrainy).

Dawno nie było tak źle w systemie ochrony zdrowia. 20-miliardowa dziura powoduje, że nawet pacjenci onkologiczni nie są przyjmowani do szpitali. Przepchnięta przez Sejm ustawa o Funduszu Medycznym to nawet nie tyle kiepski plaster na pustkę w kasie NFZ (3,6 mld zł to mniej niż 20 proc. potrzeb), ile próba zalegalizowania działań Izabeli Leszczyny, gdy ta już wiosną sięgnęła po pieniądze z FM.

Rolnicy szykują się do wielkich manifestacji w Warszawie (13 grudnia) i Brukseli (18 grudnia), bo nadciągająca umowa z państwami Mercosur oznaczać będzie wyrok dla wielu z nich.

Klęskę premiera najdobitniej widać w polityce międzynarodowej, w której Tusk znalazł się na upokarzającym marginesie. Do Kijowa jechał w drugim wagonie, do Genewy nie zaproszono go wcale, a ten się jeszcze tłumaczył, że wszystko zrelacjonuje mu kanclerz Friedrich Merz.

Gdy najważniejsi politycy na Starym Kontynencie siadali w Szwajcarii do rozmów o pokoju na Ukrainie, Tusk wysiadał z samolotu w Luandzie, gdzie przynosił nam wstyd swoim nieadekwatnym strojem. Okazało się, że polski premier bardziej elegancko ubiera się na grzyby niż na oficjalne powitanie przez wojskową kompanię w Angoli.

Po kilku miesiącach przepychanek z prezydentem Tusk wreszcie przyznał, że w relacjach z Waszyngtonem Polska może liczyć wyłącznie na Karola Nawrockiego. Premier nie zamierza bowiem schodzić ze ścieżki konfliktu z amerykańskim przywódcą. A niech się Trump wali – trwa w swoim szale Tusk. To nic, że przy okazji pozwala, by waliła się Polska.

Listopad przyniósł też rekordowy Marsz Niepodległości, który pokazał, jak silna jest prawa strona, jak nie daje się zepchnąć do narożnika, jak jest impregnowana na zamordystyczne zapędy koalicji 13 grudnia. Groteskowy zakaz ministra Kierwińskiego używania na Marszu rac został totalnie zignorowany.

Za Tuska leżą nawet kwestie fundamentalne. Co prawda minister obrony ogłasza kolejne programy zbrojeniowe i robi dobrą minę, ale sytuację w obszarze bezpieczeństwa chyba lepiej niż jego zapewnienia ilustruje defilada, którą Władysław Kosiniak-Kamysz odbierał w minionym tygodniu w Kielcach. Maszerujące przed szefem MON klasy mundurowe, oględnie mówiąc, nie popracowały nad synchronizacją...

Czepialstwo? Być może. Ale z pewnością nie jest nim zachowanie polskich służb przed i po akcie dywersji na Lubelszczyźnie. To był alarm dla nas wszystkich, pokazujący, iż rządzą nami nieudacznicy.

ZGODNIE Z ŻYCZENIEM

Co można zrobić, będąc w tak głębokiej defensywie? Uciekać do przodu przez gęstą mgłę. Czyli kłamać, manipulować, zaprzeczać samemu sobie, dostarczać kolejnych igrzysk, nie odklejając przy tym fałszywego uśmiechu z własnego oblicza.

Aby zrozumieć, dlaczego Tusk tak gra, wystarczy zerknąć na ostatni sondaż CBOS, który przynosi odpowiedzi na pytanie o wybraną przez premiera drogę. Dowiadujemy się z niego, czym powinien zajmować się rząd według elektoratów różnych partii.

Okazuje się, że wyborcy KO na liście priorytetów obok poprawy bezpieczeństwa państwa, poprawy w dostępie do świadczeń zdrowotnych, usprawnienia działań sądów i prokuratury (zapewne w formule przejęcia pełnej nad nimi kontroli przez rząd), wzmacnianiu międzynarodowej pozycji Polski równie wysoko stawiają rozliczenie rządów Prawa i Sprawiedliwości. Wszystkie te postulaty mają ponad 6 pkt. w 7-punktowej skali. Dalej na liście życzeń sympatyków KO są kwestie takie jak złagodzenie prawa aborcyjnego, wspieranie przedsiębiorców, walka z inflacją, lepsza dostępność mieszkań, przeciwdziałanie nielegalnej imigracji, przeciwdziałanie zmianom klimatu i odejście od węgla w energetyce czy ochrona interesów polskich rolników.

Ten elektorat gardzi rolnikami, mieszkania pewnie już ma, imigrantów się nie boi zza płotów strzeżonych osiedli i podziemnych parkingów, ale że ważniejsza jest dlań pisowska krew niż rozwiązania dla biznesu czy obniżanie cen w sklepach? To nie masochizm, lecz efekt wieloletniej tresury.

A skoro Tuskowy lud chce zemsty, to będzie ją miał. Nie będzie żadnego paktu o nieagresji. Wręcz przeciwnie – pisowcy będą ścigani z maksymalną bezwzględnością, bez zważania na drobiazgi, takie jak zdrowy rozsądek, fakty czy prawo.

Ogłoszone przez Tuska pięć zasad w ramach rzekomego „zawieszenia broni" to tylko zestaw pomalowanych na różowo haseł. Napisanych zresztą tak, by nie było wątpliwości, w kogo są wymierzone. Czymże jest bowiem skierowane do Karola Nawrockiego stwierdzenie: „Koniec z wetami i sabotażem legislacyjnym"? Czy Tusk zamierza unieważnić konstytucję, która daje prezydentowi prawo do wetowania ustaw? Jak ten pozujący na apostoła pokoju prestidigitator godzi swoje deklarowane intencje z zarzutem nieprzypadkowo określonym mianem sabotażu skierowanym do głowy państwa akurat w czasie, gdy dowodzone przez Tuska służby skompromitowały się w przypadku sabotażu realnego?

Wojna z głową państwa dopiero wejdzie w decydującą fazę i „mały pałac" (czyli KPRM) nie będzie przebierał w środkach. Nie bez powodu szef KO dał tlen postkomunistom i wprowadził Włodzimierza Czarzastego na drugie stanowisko w państwie. Przy jego bezwzględności, wzmocnionej tow. Siwcem na stanowisku szefa Kancelarii Sejmu, może liczyć na mocny ostrzał Nawrockiego przez oddział czerwonych. Nowy marszałek już zresztą zapowiedział, że też będzie „wetował" prezydenckie inicjatywy ustawodawcze.

PREMIER Z AMNEZJĄ

Dochodzimy wreszcie do tego, co najbardziej perfidne, a wręcz obrzydliwe w strategii Tuska. „Nie powtarzaj rosyjskiej propagandy" – wzywa premier w swym najbardziej faryzejskim postulacie, bo przecież w ostatnich latach nie znajdziemy wśród europejskich przywódców polityka bardziej zasłużonego dla Putina niż Tusk.

Dziś poszukuje w opozycji zdrajców, choć sam dopuścił się zdrady, i to na rzecz Rosji. Za taką należy uznać

eprasa.pl 0bd28120fa

spiskowanie z Putinem przeciwko Lechowi Kaczyńskiemu i doprowadzenie do rozdzielenia wizyt w Katyniu. Efekt widzieliśmy 10 kwietnia 2010 r.

Polityka polskiego rządu w latach 2007–2014 była jawnym parciem do resetu w stosunkach z Moskwą. Nie zaburzyła tego nawet katastrofa smoleńska. Być może właśnie dlatego Tusk próbował wyciszać hipotezy o zamachu (choć były najbardziej oczywiste) – by zdjąć jakiekolwiek podejrzenia z Putina, z którym właśnie tak intensywnie się bratał. Tusk doskonale wiedział, jak bardzo Rosja mataczy w śledztwie, które oddał jej lekką ręką. Wiedział o niszczeniu dowodów, nieprzekazywaniu dokumentów, prostackich matactwach, bezczeszczeniu zwłok i wielu innych skandalach. Nie przeszkadzało mu to dopinać korzystnych dla Moskwy umów energetycznych. Nie przeszkadzał już przede wszystkim Lech Kaczyński.

Gdy w tymże 2010 r. Jarosław Kaczyński pisał do europejskich liderów list ostrzegający przed Rosją, otoczenie Tuska pytało, czy prezes PiS wziął proszki. Gdy w 2014 r. Putin zaatakował Donbas i zajął Krym, premier zapewniał, że mały ruch graniczny na granicy z obwodem królewieckim nie zostanie wstrzymany, bo „należy oddzielić działania podejmowane przez Federację Rosyjską na arenie międzynarodowej od utrzymywania dobrosąsiedzkich relacji pomiędzy obywatelami Polski i Rosji" (sic!).

Gdy szykował się do powrotu do władzy w Polsce, ogłaszał kłamstwa o zwerbowaniu Trumpa przez rosyjskie służby. Gdy powstawała zapora na granicy w czasach rządów PiS, domagał się wpuszczenia nielegalnych migrantów nasłanych przez Putina i Łukaszenkę. To wszystko były działania antyrosyjskie czy jednak w interesie Moskwy? A to przecież ledwie początek długiej listy kroków, którymi Tusk potwierdzał tytuły w rosyjskich mediach z 2008 r.: „Nasz człowiek w Warszawie".

NA OSTRO

Dziś szef rządu chce to wszystko unieważnić niczym referendum z 2023 r. Uznał, że większość ludzi ma kiepską pamięć, wielu młodych w ogóle nie kojarzy tych wydarzeń, a jego żelazny elektorat i tak wszystko wybaczy.

Dlatego zmienił kierunek o 180 stopni i rozpętuje wojenną histerię nieadekwatnie do sytuacji. Straszy ruskim, próbując jednoczyć ludzi wokół flagi. To karkołomne zadanie, bo wielu Polaków ma wątpliwości, czy Tuskowi bliższa jest biało-czerwona, czy ta, na której biel jest zastąpiona złotem i czernią. Na to drugie wskazywałoby wiele projektów ustaw przyjętych przez parlament w ostatnich dwóch latach albo pobłażliwe traktowanie impertynencji ze strony niemieckiego ambasadora.

„Najpoważniejsza sytuacja od początku wojny" – mówił premier o próbie sabotażu na Lubelszczyźnie. Dlaczego więc dowodzone przez niego państwo nie poradziło sobie z tą najpoważniejszą sytuacją?

Paradoksalnie w interesie Tuska jest trwanie konfliktu na Ukrainie. Można wtedy prężyć muskuły, chronić granicę (werbalnie), brać *de facto* na zakładników swojej władzy Polaków zatrwożonych kolejnymi aktami sabotażu i wmawiać im, że alternatywą jest prorosyjska opozycja. Na niektórych to zadziała.

> Ziobrze zajmą konta, do o. Rydzyka wyślą CBA, będą bajać o Trybunale Stanu dla Nawrockiego. Fatalnych ocen rządu zapewne to nie poprawi, ale odwróci uwagę od nieróbstwa, a może wprowadzi także trochę zamętu w szeregach przeciwników. I o to chodzi. Ma być konflikt, chaos, ekstremalnie rozkręcone emocje

Daje to też pole do wprowadzania cenzury pod płaszczykiem walki z rosyjską dezinformacją i mową nienawiści. Odpowiednia ustawa już trafiła do prezydenta. Pech chciał, że akurat w czasie, gdy zdemaskowano kolejnego hejtera z mediów społecznościowych działającego na usługach Koalicji Obywatelskiej. Po SokuzBuraka, fabryce trolli w Inowrocławiu czy Pablu Moralesie okazało się, że w orbicie KO funkcjonuje niejaki Morgenstern, jeden z najbardziej agresywnych hejterów w polskiej sieci. Ten akurat wyskoczył nam jako szef fundacji założonej przez udającego budowniczego CPK Macieja Laska.

To jedne z kluczowych zasobów Tuska – szwadron ślepo oddanych wodzowi macherów od siania nienawiści w społecznościówkach. Wydaje im się, że walczą z PiS, a w rzeczywistości wykonują świetną robotę dla Kremla. Takie zasoby są w planie premiera bezcenne. Dlatego minister sprawiedliwości naradza się (w siedzibie prokuratury!) z ulicznikami w gronie: przestępca Kijowski, zawodowi chuligani Lempart, Augustynek i Szczurek czy agent wpływu w rękach postsowieckich oligarchów Kramek. Będą ich pieścić i paść, licząc na kolejne zadymy.

Ziobrze zajmą konta, do o. Rydzyka wyślą CBA, będą bajać o Trybunale Stanu dla Nawrockiego. Fatalnych ocen rządu zapewne to nie poprawi, ale odwróci uwagę od nieróbstwa, a może wprowadzi także trochę zamętu w szeregach przeciwników.

I o to chodzi. Ma być konflikt, chaos, ekstremalnie rozkręcone emocje. Wówczas dużo lepiej się prezentuje uśmiechnięty, wyluzowany premier na fotelu u barbera czy przed telewizorem z wnukami.

Dla Tuska zaczyna się gra o życie. Aby uchronić siebie i swoje otoczenie od odpowiedzialności karnej za dwa lata bezprawia, sfauluje w każdy sposób. By nie stracić władzy, zrobi naprawdę wszystko. Niezależnie od interesu Polski.

eprasa.pl 0bd28120fa

PiS jest niedoszacowane

Sondaże zaniżają poparcie dla głównej partii opozycyjnej. To nie tylko manipulacja badaniami opinii publicznej, lecz także skutek od dawna znanej zasady, że wyborcy prawicy często ukrywają swoje preferencje polityczne. Stąd bierze się stałe zjawisko, że prawica i jej kandydaci stoją niżej w badaniach opinii publicznej, a potem osiągają dużo lepsze wyniki wyborcze

PIOTR GURSZTYN

Fot. Andrzej Wiktor

Spektakularnym przykładem tej reguły jest wygrana Karola Nawrockiego. A przecież był to – według słów licznych komentatorów – kandydat słaby, który miał mieć kłopot nawet z wejściem do drugiej tury. Przecież takie były sondaże. Mimo że od 1 czerwca minęło niewiele czasu, znów wróciła ślepa wiara w niezawodność ich wyników. Dotyczy oczywiście tego, że słabo wypada w nich Prawo i Sprawiedliwość. Sondaże innego typu, czyli dotyczące oceny rządu i premiera, nie są już przedmiotem podobnie drobiazgowych rozważań.

Słychać częste komentarze, że po wygranej Karola Nawrockiego prawicy skończył się miesiąc miodowy. A Donald Tusk się pozbierał i znów prowadzi Koalicję Obywatelską do zwycięstwa w przyszłych wyborach parlamentarnych. „Zdecydowanie skończył się czas smuty" – mówił niedawno „Gazecie Wyborczej" rozmówca przedstawiony jako „jeden z ważniejszych polityków od Tuska". „Czyż Tusk nie jest genialny?" – pytał inny polityk KO cytowany przez tę samą gazetę, gdy w końcu października pracownia OGB ogłosiła sondaż, w którym jego partia miała prawie 11 proc. przewagi nad PiS (39 proc. do 28,07 proc.).

PiS – KONFEDERACJA – PARTIA BRAUNA

Czy PiS obumiera, a KO ma już w kieszeni wygraną w następnych wyborach? Utrzymujące się powyżej 30 proc. poparcie dla Koalicji Obywatelskiej to wynik pożerania dwóch stronnictw sojuszniczych – PSL i Polski 2050. Lewica utrzymuje bowiem swój elektorat. Według wyliczeń politologa Marcina Paladego średnia z czterech sondaży dawała w listopadzie następujące wyniki: 33,5 proc. – KO, 29 proc. – PiS, 14 proc. – Konfederacja, 7 proc. – Lewica, 6,5 proc. – partia Grzegorza Brauna, 4 proc. – Razem, 3 proc. – PSL i 2,5 proc. – Polska 2050. Wyliczenie dotyczy tylko wyborców zdecydowanych, więc od razu można powiedzieć, że nie jest to precyzyjny obraz preferencji Polaków.

Żeby było jasne – obraz dzisiejszej kondycji PiS nie jest różowy. Ostatnie doniesienia medialne dotyczą niesnasek wewnątrz tego ugrupowania. Kłóci się to z przedstawionym niedawno ambitnym celem, czyli próbą ponownego – trzeciego już – zdobycia samodzielnej większości parlamentarnej. Tymczasem widać, że partia popadła w stan, który można nazwać stagnacją. Wprawdzie nie traci tak, jak marzą o tym jej przeciwnicy, ale nie ma też objawów zauważalnego wzrostu. Przy czym są okoliczności, które można uznać za optymistyczne dla PiS. Wynikają one z pewnych strukturalnych, a nie doraźnych powodów. Pierwszy to kwestia łącząca się z główną tezą niniejszego

eprasa.pl 0bd28120fa

tekstu – że realne poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości jest wyższe niż nominalne z sondaży. Drugi – nie ma teraz żadnych wyborów na bliskim horyzoncie, więc także wyborcy nie odczuwają potrzeby aktywnego angażowania się w politykę.

Sporym problemem dla PiS – choć jednocześnie wyolbrzymionym przez stronę liberalną – jest fakt aktywnej obecności dwóch innych partii prawicowych – Konfederacji i ugrupowania Brauna, czyli Konfederacji Korony Polskiej. Popularna teza głosi, że obie są przyszłością i pożerają stare PiS. To jednak tak daleko idące uproszczenie, że mało zgodne z faktami.

Problem PiS z większą z tych partii, czyli Konfederacją, przestał już istnieć. Głównie za sprawą licznych błędów Sławomira Mentzena, który atakując partię Jarosława Kaczyńskiego, przekroczył zbyt wiele granic. Zraził do siebie ideowy prawicowy elektorat, z którego jakaś część wcześniej zerkała na Konfederację. Tak więc dzisiaj Konfederacja też może mówić o sondażowej stagnacji. Lub ich urealnieniu – jak określił to politolog prof. Rafał Chwedoruk. Rzeczywiście od dawna średnia sondażowa Konfederacji to jakieś 14 proc., podczas gdy w marcu tego roku oscylowała wokół 20 proc.

Pewna grupa wyborców PiS „uciekła" do Brauna (także z Konfederacji). Widać to po mapie głosów oddanych w wyborach prezydenckich. W kilku badaniach KKP otarła się o 10 proc., a pośród polityków prawicy słychać przypuszczenia, że ugrupowanie Brauna może być niedoszacowane. To bardzo możliwe, bo Braun prezentuje bardzo skrajne poglądy. Radykalizm przyciąga, ale jak wielu wyborców? Według narracji KKP problemem dla Polski są Ukraińcy, Żydzi i Anglosasi (używając terminologii Brauna), ale nie Niemcy i Rosja. Teza o tym, że Braun rośnie kosztem PiS, bazuje na przypuszczeniu, że wielu niedawnych wyborców partii Kaczyńskiego oczekuje wyrazistego radykalizmu. Zapewne istnieje taka grupa, ale jak wielu jest w Polsce ludzi, którzy bardziej przejmują się zagrożeniem żydowskim niż rosyjskim? Dla jak wielu wyborców ważne jest, aby „udowodnić" światu, że w Auschwitz nie było komór gazowych?

TUSK ZNACZY AWANTURA

„Rozliczenia wchodzą w decydującą fazę" – obwieścił groźnie premier Tusk. Kolejny raz potwierdził, że jego jedynym pomysłem na prowadzenie polityki jest polaryzacja i PR. To działało w pierwszych latach obecnego stulecia, ale już w 2014 r. przestało być skuteczne, bo właśnie wtedy Tusk zdecydował się na ewakuację do Brukseli. Tym bardziej dzisiaj to anachronizm, co zresztą udowodnił przebieg niedawnej, bardzo brudnej kampanii prezydenckiej. Także wynik wyborów z 15 października 2023 r. był efektem tego, że spora część obywateli pozostawała zmęczona intensywnością sporu politycznego. W ich oczach winną kłótni była wtedy prawica. Przyjście Tuska i jego koalicji miało zatem oznaczać spokojniejszą, bardziej merytoryczną politykę. Tak się nie stało i dzisiaj Tusk – znaczy awantura. Jedyne, o czym mówi „gwiazda" jego obozu – Waldemar Żurek – to rozliczanie opozycji i prezydenta. Zwykłe problemy przeciętnych obywateli dla niego nie istnieją. Zapowiedzi rozliczeń podobają się przekonanym zwolennikom rządu, ale oni są mniejszością. 45 proc. zapytanych przez IBRIS Polaków negatywnie oceniło tę działalność ministra. Poparło ją 32,4 proc. Jest też 22 proc., które zadeklarowało, że „nie ma zdania", ale w tej grupie – o czym dalej – są ukryci przeciwnicy rozliczeń. Zwolenników raczej na pewno tam nie ma.

Dołącza do tego nowy marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, zapowiadając konfrontacyjną postawę. Spór będzie jeszcze bardziej brutalny. A prawica przecież nie rządzi. „Rząd powinien być od rozwiązywania konfliktów, a opozycja od ich podgrzewania. Gdy rząd się zajmuje podgrzewaniem konfliktów, to kończy w ławach opozycji" – zauważył niedawno politolog prof. Jarosław Flis. Potwierdzeniem jego uwagi jest sondaż, w którym zapytano Polaków, czy rząd powinien konsultować projekty ustaw z prezydentem. Tylko 30 proc. odpowiedziało, że nie. A dwa razy tyle – 60 proc. – uważa, że premier powinien to robić.

SPIRALA MILCZENIA

Oparcie całej polityki na PR znaczy, że w przekazie najważniejsza jest propaganda. Często kłamliwa, zawsze przesadzona i przerysowana. Polscy liberałowie mają przy tym taki problem, że głosząc jej tezy, są pierwszymi, którzy zaczynają w nią wierzyć. Tak jak uwierzyli w to, że Nawrocki jest słabym kandydatem. Znów mają zatem łatwość wiary w „koniec PiS".

„Nie znam nikogo, kto by głosował na PiS, Dudę, Nawrockiego" – było słychać głosy ze strony liberalnej. A z drugiej, prawicowej strony nie słychać głosów, że ktoś nie zna osoby głosującego na KO czy Trzaskowskiego. Jednocześnie chyba każdy zwolennik prawicy zetknął się z sytuacją, gdy w zupełnie prywatnych okolicznościach przedstawiciele strony liberalnej wyrażali swe zdziwienie lub niezadowolenie z tego, że ów człowiek popiera coś tak „okropnego" jak PiS lub głosuje na Nawrockiego. W drugą stronę chyba to tak nie działa. Przynajmniej nie w takim misjonarskim natężeniu.

Widać tu zjawisko zwane spiralą milczenia. Ukuła je zachodnioniemiecka badaczka opinii publicznej Elisabeth Noelle-Neumann. Jeśli ludzie mają poglądy uważane za mainstreamowe, chętniej je wyrażają. Gdy czują, że wyznają idee potępione, wybierają milczenie. Zjawisko nasila się w przypadku osób o mniejszym poczuciu pewności. Badacze wskazują tu osoby uboższe, gorzej wykształcone, także kobiety (widać to po tym, że częściej niż mężczyźni wybierają one w ankietach odpowiedź „nie mam zdania"). Noelle-Neumann pisała o swoich badaniach: „Mężczyźni bardziej niż kobiety są skłonni do wypowiadania się na kontrowersyjny temat. Podobnie ludzie młodzi wypowiadają się chętniej niż starsi, a należący do wyższych warstw społecznych chętniej niż ludzie z niższych sfer".

W głośnym badaniu CBOS z początku listopada poziom poparcia dla PiS spadł do 20,7 proc. Media zagrzmiały, że to najgorszy wynik tej partii od 13 lat. Jednak mało kto zauważył, że w tym samym sondażu znacząco wzrosła liczba osób wybierających odpowiedź „trudno powiedzieć" na pytanie,

eprasa.pl 0bd28120fa

na kogo by zagłosowały. Był to wzrost do 16,1 proc. z poprzednich 10,2 proc. Wątpliwe, aby byli to kamuflujący się zwolennicy obecnego rządu.

W istocie to czysty przykład „spirali milczenia". Był to moment szumu wokół działki powiązanej z CPK. CBOS zna dane osobowe swych ankietowanych. Metoda ma tę zaletę, że pozwala bardziej precyzyjnie znaleźć ankietowanych o określonym profilu społecznym. Ale ma bardzo poważną wadę – nie zachęca do szczerości. Prywatne sondażownie ankietują bardziej na ślepo, ale anonimowo. Jednak to też jest kontakt twarzą w twarz. Oprócz obawy przed wyjawieniem „niepopularnych" preferencji dochodzi rozpoznany już czynnik – każdy człowiek chce dobrze wypaść w oczach tego drugiego. Ankietowany też odruchowo stara się zatem być dobrze oceniony przez ankietera. To znów nakręca spiralę milczenia. Ona jednak nie działa przy urnie wyborczej.

Tam dzieje się coś zupełnie innego, o czym można było przeczytać w reportażu, który ukazał się na portalu radia TOK FM: „Mimo że Joanna brzydzi się polityką, to 1 czerwca poszła na wybory prezydenckie, żeby zagłosować na Karola Nawrockiego. Przekonały ją do tego... elity. Zalicza do nich nie tylko swojego szefa, ale również tłumy zwolenników Rafała Trzaskowskiego, które m.in. w internecie hejtowały kandydata PiS i jego wyborców". Była to historia młodej samotnej matki sprzątającej u równie młodych, ale bardzo bogatych przedstawicieli elit społecznych. Historia przede wszystkim upokarzającego traktowania, w tym m.in. nazywania darmozjadami osób pobierających 800+. Kobieta podkreślała, że czuła wielką satysfakcję, gdy zobaczyła zły humor swojego szefa po wygranej Nawrockiego. To nie jest tylko anegdotyczna opowieść. W sferach prawicowych krążyło ich dużo więcej.

Słychać opinię, że prawica „rządzi w internecie". To ujęcie stereotypowe, mało podparte dowodami. Prawica jest widoczna w internecie, ale to odbicie jej realnego poparcia w społeczeństwie. Liberałowie ukuli tezę o prawicowej dominacji w sieci z powodu swego zaskoczenia jej widocznością. Przez lata byli przyzwyczajeni do jej marginalizacji w mediach tradycyjnych czy popkulturze (nadzwyczaj ważnym miejscu dystrybucji prestiżu społecznego i politycznego). Padli ofiarą tego błędu poznawczego, który sprawiał, że ludzie dziwili się, iż nie znają nikogo, kto głosuje na prawicę. O tym, że wyborczy sukces Nawrockiego nie był wynikiem bezwarunkowej dominacji prawicy, świadczy też to, że chwilę wcześniej ten sam internet nie wykrzesał z siebie współczucia dla autentycznie schorowanego Zbigniewa Ziobry w czasie głosowań nad odebraniem mu immunitetu i zgodą na areszt.

> Przestają wybrzmiewać tematy, które powodowały odpływ wyborców z PiS do obu konfederacji. Imigracja nie jest już tematem numer jeden

CHLEB ZAMIAST IGRZYSK

Bo Nawrocki nie jest tym samym, co Ziobro czy PiS – ktoś może polemizować z powyższym opisem. To prawda. Ziobro płaci za długie lata stałej obecności w polityce. A Nawrocki to znak zmiany pokoleniowej. Nowa twarz. Czy jednak Ziobro i jego polityczna generacja są skazani na los dinozaurów? Niekoniecznie. Inne uosobienie „grzechów" PiS, były premier Mateusz Morawiecki, też cały czas jest wskazywany jako obciążenie dla partii Kaczyńskiego. A ostatnie sondaże zaufania wskazują, że z wolna zaczął pozbywać się tego negatywnego wizerunku. Dzieje się to za sprawą jego wzmożonej aktywności. Głównie punktowania tych słabości obecnej władzy, które skutkują pogorszeniem poziomu życia Polaków.

Skoro udaje się Morawieckiemu, dlaczego nie może się udać innym politykom Zjednoczonej Prawicy? Przestają wybrzmiewać tematy, które powodowały odpływ wyborców z PiS do obu konfederacji. Imigracja nie jest już tematem numer jeden. Antyukraińskie emocje gasną w każdym momencie, w którym Rosja daje znać o sobie. Tak jak wtedy, gdy był wybuch na torach. Ekscesy w postaci głupiego wpisu posła Berkowicza o odpowiedzialności ukraińskiej szkodzą jego partii. Ponad 90 proc. Polaków ma negatywny stosunek do Rosji, obawia się jej i pamięta o naszych tragicznych doświadczeniach historycznych.

Sprawą przykuwającą uwagę większości społeczeństwa stają się problemy służby zdrowia. Kogo będą mogli posłuchać niezadowoleni? Grzegorz Braun i jego ludzie nie mają tu nic ciekawego do powiedzenia, a Konfederacja kojarzy się z prywatyzacją służby zdrowia. Rządowy przekaz o rozliczeniach politycznych, a nie rozwiązywaniu problemów, to zaś igrzyska zamiast chleba.

Jeszcze bardziej ważnym tematem będzie gospodarka. Donald Tusk chlubi się sukcesami na tym polu, przywołując różne abstrakcyjne dane. To jednak styl Władysława Gomułki, który chwalił się tym, że taniały lokomotywy, gdy tymczasem drożała żywność. Ludzie z Końskich – czyli z miasta, w którym wygrywa się wybory – nie kupią narracji Tuska, bo widzą w swoich portfelach coś zupełne przeciwnego. Gigantyczny deficyt budżetowy zapowiada politykę „austerity", a nie hojność. Na czym więc Tusk i jego partia opiera swoją dzisiejszą euforię?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bd28120fa

W ostatnim dniu października br. w Polsce pracowało 1,3 mln obcokrajowców. Liczba cudzoziemców rośnie od kilku lat. Zmiana władzy w 2023 r. niczego tu nie zmieniła, przeciwnie – trend wzrostowy cały czas się utrzymuje

Rzeczpospolita

KONRAD KOŁODZIEJSKI

20 listopada w zakładach francuskiego koncernu Valeo w Chrzanowie wybuchł strajk. Kilkuset pracowników odeszło od taśm produkcyjnych, aby zaprotestować przeciwko głodowym płacom i niewolniczemu – jak twierdzą – traktowaniu robotników przez kadrę menedżerską.

Protest ten ujawnił nie tylko rosnącą skalę wyzysku w Polsce, lecz także rzucił światło na jeszcze jeden – ciągle niedostrzegany – element naszej rzeczywistości. Gdy w referendum większość załogi Valeo opowiedziała się za rozpoczęciem strajku, ich szef dał im do zrozumienia, że jeśli zastrajkują, to zostaną zastąpieni pracownikami z Azji i Afryki. „Usłyszeliśmy, że oni chętnie będą pracować za minimalną krajową, bo to dla nich dużo pieniędzy" – opowiadała jedna z pracownic chrzanowskiego zakładu.

BAT NA PRACOWNIKÓW

Rosnąca imigracja w Polsce niesie ze sobą nie tylko zagrożenia cywilizacyjno-kulturowe i utratę poczucia bezpieczeństwa na ulicach, lecz także ma bardzo istotny wymiar ekonomiczny. Cudzoziemcy są bowiem kimś w rodzaju bata na polskich pracowników. Ich wprowadzenie na rynek – początkowo nie bez pewnej racji uzasadniane jako konieczność wynikająca z demografii – stopniowo staje się metodą na obniżenie kosztów pracy. „Nie chcesz pracować za miskę ryżu? To się wynoś! Na twoje miejsce zatrudnimy Murzyna lub Bengalczyka". W ten sposób działa coraz więcej firm.

Imigracja odbiera wielu Polakom szansę na dobrą pracę i godną płacę. Bo to nieprawda, że naszym rodakom nie chce się pracować. Oni jedynie nie chcą pracować za półdarmo, na zyski kilku tłustych akcjonariuszy. Nie chcą nikomu fundować kolejnych jachtów ani luksusowych posiadłości. Mówiąc krótko, nie chcą być frajerami, których można brutalnie wykorzystywać. Zwłaszcza że koszty życia w Polsce stale rosną, a nasze zarobki ciągle znacząco odbiegają od standardów Europy Zachodniej.

Ściąganie cudzoziemskich pracowników jest więc uderzeniem w interesy ekonomiczne przeciętnego Polaka. Służy przede wszystkim obcemu kapitałowi oraz wąskiej grupie zamożnych elit, które traktują resztę społeczeństwa w kategoriach pozbawionej głosu siły roboczej. Być może właśnie dlatego sprowadzanie imigrantów do Polski – mimo towarzyszącej temu od czasu do czasu wrzawy – trwa w najlepsze. I wbrew temu, co twierdzą propagandyści obecnej władzy, tych imigrantów jest coraz więcej.

Imigracja ma sprowadzić polskie społeczeństwo do parteru. Mamy się wyzbyć ambicji oraz nadziei na lepsze życie i zamiast tego rywalizować z przyjezdnymi o ochłapy spadające z pańskiego stołu. To właśnie tę perspektywę ujrzeliśmy podczas strajku w Valeo. Przy czym już wkrótce może ona dotyczyć każdego z nas.

FALA EGZOTYKI

W krajach Europy Zachodniej imigracja stała się tak poważnym problemem, że mówi się już o realnym ryzyku wymiany populacji – cudzoziemcy są tam tak liczni, że za kilkadziesiąt lat będzie ich więcej niż miejscowej ludności. Szcze-

Fot. Kristi Blokhin/Shutterstock.com

eprasa.pl 0bd28120fa

imigrantów

gólnie widoczne jest to w Niemczech – co czwarty mieszkaniec tego kraju ma pochodzenie imigranckie – czy w Wielkiej Brytanii, gdzie liczba takich osób zbliża się do 20 proc. ogółu populacji.

Na razie taki ponury scenariusz Polsce jeszcze nie grozi, ale weszliśmy już na drogę, na której państwa zachodnie znajdowały się pół wieku temu. Przy czym teraz, gdy nasz kraj jest członkiem Unii Europejskiej, procesy migracyjne zachodzą znacznie szybciej niż kiedyś i nie trzeba aż 50 lat, aby zalała nas fala imigracji porównywalna z tą, z którą zmagają się dzisiaj kraje Europy Zachodniej. Będzie tak, jeżeli nie zdołamy zapewnić sobie kontroli nad napływem cudzoziemców.

Dane dotyczące legalnej imigracji są informacją publiczną i łatwo do nich dotrzeć. Według Urzędu ds. Cudzoziemców w 2024 r. pozwolenie na pobyt (stały lub czasowy) otrzymało 330 tys. osób. Dynamika w tym roku może być nawet wyższa, bo do tej pory (druga połowa listopada) takie zezwolenia dostało już 327 tys. obcokrajowców, z czego zdecydowana większość – 300 tys. – ubiegała się o pobyt czasowy.

Pobyt czasowy (do trzech lat) jest w naszych statystykach najistotniejszy – najczęściej dotyczy on osób podejmujących w Polsce pracę zarobkową. Liczba wniosków o pobyt czasowy rośnie mniej więcej od 10 lat, przy czym zdecydowany skok miał miejsce w 2022 r., gdy wydano 303 tys. pozwoleń wobec 197 tys. rok wcześniej. Wzrost ten jest zresztą przedstawiany jako koronny dowód na hipokryzję ówczesnego rządu PiS, który miał jedynie werbalnie walczyć z imigracją, podczas gdy w rzeczywistości do Polski przybywały tłumy imigrantów.

Rzeczywiście, były to tłumy. Ale warto jeszcze raz spojrzeć na moment tego wzrostu. To 2022 r., a więc początek wojny na Ukrainie. Trudno uwierzyć, że ktoś może mieć aż tak krótką pamięć, aby zapomnieć już o dziesiątkach tysięcy ludzi uciekających wówczas do Polski przed wojną.

Ukraińcy do dzisiaj stanowią główną grupę wnioskodawców, ale ich liczba stopniowo maleje. W ostatnich latach rośnie za to grupa przyjezdnych z bardziej egzotycznych rejonów świata. W 2025 r. w pierwszej piątce ubiegających się o pobyt czasowy znaleźli się (obok Ukraińców, Białorusinów i Gruzinów) przybysze z Indii oraz – tu nowość – Kolumbii. Nie są to jeszcze wielkie liczby – 21,5 tys. przyjętych wniosków z Kolumbii i 20,7 tys. z Indii – ale tendencja jest wyraźnie rosnąca. W 2022 r. było to odpowiednio 800 wniosków z Kolumbii i 11,6 tys. z Indii.

Jeśli więc mówimy o wzroście liczby imigrantów zarobkowych z odległych zakątków świata, jest to kwestia ostatnich dwóch lat czy wręcz tego roku. Tak się złożyło, że w tym czasie rządy w Polsce sprawował i nadal sprawuje Donald Tusk. I to jego urzędników należałoby zapytać, dlaczego do naszego kraju sprowadza się coraz więcej imigrantów z Azji i Ameryki Łacińskiej.

PONAD MILION ZATRUDNIONYCH

Liczba wydanych wniosków o pozwolenie na pobyt pokazuje dynamikę imigracji, ale nie mówi, ilu cudzoziemców faktycznie przebywa dziś w Polsce. Pewną podpowiedzią mogą być dane ZUS o osobach odprowadzających składki na ubezpieczenie społeczne. Dzięki nim dowiadujemy się, ilu cudzoziemców jest w Polsce legalnie zatrudnionych na podstawie umowy o pracę lub zlecenie.

Ze statystyk ZUS wynika, że w ostatnim dniu października br. w Polsce pracowało 1286 tys. obcokrajowców, z czego 854 tys. stanowili Ukraińcy. Według tych danych liczba cudzoziemców cały czas rośnie.

eprasa.pl 0bd28120fa

W 2020 r. było ich 725 tys., w 2022 r. – 1063 tys., w 2023 r. – 1128 tys., a w 2024 r. – 1193 tys. Zmiana władzy w 2023 r. niczego tu nie zmieniła, przeciwnie – trend wzrostowy cały czas się utrzymuje.

Stały wzrost liczby zatrudnionych w Polsce cudzoziemców potwierdzają też informacje GUS. Z danych za marzec 2025 r. wynika, że liczba pracujących obcokrajowców była wyższa o 5,6 proc. niż w analogicznym okresie poprzedniego roku. Oprócz Ukraińców najczęściej zatrudniano Białorusinów, Gruzinów, Hindusów, Filipińczyków i Kolumbijczyków.

Najwięcej cudzoziemców pracuje w dużych aglomeracjach: warszawskiej, wrocławskiej, poznańskiej, śląsko-dąbrowskiej i krakowskiej, najmniej zaś w województwach świętokrzyskim i warmińsko-mazurskim. Z kolei najpopularniejsze branże wśród imigrantów zarobkowych to – według ZUS – przetwórstwo przemysłowe (pracuje w nim 42 proc. spośród wszystkich ubezpieczonych cudzoziemców), transport i gospodarka magazynowa (25 proc.), usługi (12 proc.) oraz budownictwo (11 proc.).

KWALIFIKACJE NIEPOTRZEBNE

O ile znalezienie pracy w Polsce przez Ukraińców czy Białorusinów nie powinno stanowić dla nich wielkiego problemu, o tyle przybysze z dalekiej Azji muszą się zderzyć z różnicami kulturowymi i językowymi. Owszem, wielu włada angielskim na poziomie podstawowym, ale trudno jest im samodzielnie znaleźć zatrudnienie. Na tym właśnie zarabiają liczne agencje pośrednictwa, ściągające do Polski wielokolorowy tłumek. Większość tych firm to niewielkie przedsięwzięcia – wśród nich można nawet znaleźć firmy należące do Ukraińców, którzy dotąd specjalizowali się w ściąganiu do Polski swoich rodaków, ale teraz najwyraźniej zwietrzyli nowy interes w odległych zakątkach świata.

Firmy te wysyłają swoje oferty przez internet, kusząc chętnych, że załatwią im „wymarzone papiery", a ich agenci oddzwonią do zainteresowanych w ciągu 60 sekund. Na pytanie, jaką pracę mogą załatwić np. pracownikowi z Nepalu, jest już znacznie trudniej odpowiedzieć. Wśród dostępnych ofert można znaleźć pracę w szwalni, magazynie, firmie produkującej przyprawy (jako pakowacz). Miesięczne zarobki kształtują się w okolicach najniższej krajowej, a więc 4,5 tys. zł brutto.

Pracownikami z Azji i Ameryki Łacińskiej są zainteresowane zarówno niewielkie polskie przedsiębiorstwa, jak i duże zagraniczne koncerny. W ich ofertach dwa elementy są wspólne: niska płaca oraz praca niewymagająca większych kwalifikacji. Tak jak w przypadku kurierów rozwożących klientom jedzenie i towary, kierowców taksówek na aplikacje czy pracowników sieciowych fast foodów. Niektórzy zresztą twierdzą, że rynek na usługi kurierskie został sztucznie wykreowany przez międzynarodowe koncerny, aby przejąć marże sklepów stacjonarnych, a potem rękami cudzoziemców zatrudnionych za głodowe stawki zarżnąć polski handel i usługi.

> W 2024 r. wydano 323 tys. zezwoleń na pracę (wzrost o 3 tys. względem roku poprzedniego), z czego po ok. 38 tys. Kolumbijczykom i Filipińczykom, a 33 tys. – Hindusom

Oparcie gospodarki na niskich kosztach pracy ma więcej złych konsekwencji. Taka strategia utrwala pozycję Polski jako kraju peryferyjnego, wiecznego poddostawcy lub podwykonawcy zasobniejszych kapitałowo gospodarek zachodnich. Skutkiem dumpingu cenowego (i w efekcie płacowego) jest także – wraz ze wzrastającymi aspiracjami społeczeństwa – ucieczka polskich pracowników z mniej płatnych lub mniej „prestiżowych" branż i konieczność szukania na ich miejsce chętnych za granicą. Potwierdzają to dane wskazujące, że wśród pozwoleń na pracę dominują kategorie, takie jak „pracownicy wykonujący proste prace", „robotnicy przemysłowi i rzemieślnicy" oraz „operatorzy i monterzy maszyn i urządzeń".

To w tym deficycie tanich rąk do najprostszej pracy należy m.in. szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego na ulicach polskich miast nagle zaczęli się pojawiać imigranci z odległych zakątków świata. Potwierdzają to dane Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Wynika z nich, że w 2024 r. wydano 323 tys. zezwoleń na pracę (wzrost o 3 tys. względem roku poprzedniego), z czego po ok. 38 tys. Kolumbijczykom i Filipińczykom, a 33 tys. – Hindusom.

Warto zauważyć, że otrzymanie zezwolenia na pracę (o które zwraca się pracodawca) nie oznacza automatycznie przyjazdu imigranta do Polski. Taka osoba musi jeszcze otrzymać wizę pracowniczą. MSZ twierdzi, że w 2024 r. liczba wydawanych wiz (typu D) spadła do poziomu 297 tys. w porównaniu z 438 tys., które wydano rok wcześniej. Oznacza to, że nie wszyscy posiadacze zezwoleń wjechali w 2024 r. do Polski.

CISZA PRZED BURZĄ

Deklaracja MSZ o zaostrzeniu reżimu wizowego ma oczywiście charakter polityczny i jest odpowiedzią na silne nastroje antyimigranckie panujące w społeczeństwie. Tusk zapewne pamięta, że zbyt łatwe ustępstwo Ewy Kopacz w sprawie przyjmowania imigrantów kosztowało Platformę utratę władzy w 2015 r. Reżim znajduje się jednak pod presją rodzimych pracodawców oraz zagranicznego kapitału, nalegających na import taniej siły roboczej z dalekiego świata.

„Zaostrzenie procedur migracyjnych uderza rykoszetem w legalnie działające firmy" – alarmowała na początku listopada „Rzeczpospolita". Nic więc dziwnego, że liczba wydawanych pozwoleń na pracę znowu rośnie – na razie w bardzo niewielkim stopniu, ale jednak. W tej sytuacji każdy, kto choć trochę zna wiarygodność Donalda Tuska i jego ekipy, może być raczej pewien, że zaostrzony reżim wizowy to jedynie krótki epizod, który ma uśpić opinię publiczną. Jeśli tylko formacji Tuska uda się wygrać kolejne wybory do Sejmu, to już za dwa

eprasa.pl 0bd28120fa

lata fala imigrantów będzie mogła bez przeszkód wlać się do Polski.

Podobnie jest z paktem migracyjnym, który ma wejść w życie w czerwcu 2026 r. Niedawno Tusk ogłosił triumfalnie, że udało mu się wywalczyć zwolnienie Polski z przyjmowania imigrantów. W rzeczywistości chodzi jedynie o zwolnienie naszego kraju z przymusowej relokacji na rok. Wszystko po to, aby pomóc obecnej ekipie w uzyskaniu dobrego wyniku podczas wyborów w 2027 r.

W tej chwili zapadła u nas cisza przed burzą. Tusk próbuje odgrywać rolę szeryfa broniącego Polski przed imigracją, ale nawet sprzyjające mu media mają wątpliwości co do jego prawdziwych intencji. „Wynegocjowany przez poprzedników pakt migracyjny nie odpowiada polskim interesom i oczekiwaniom. Rząd intensywnie pracuje nad innymi rozwiązaniami, jak huby powrotowe czy koncepcja bezpiecznych państw trzecich" – czytamy w odpowiedzi MSWiA na pytania liberalnego portalu OKO.press. „Polska nie wdroży żadnych przepisów paktu, które zagrażałyby bezpieczeństwu państwa. Trwają prace nad dostosowaniem prawa w zakresie, które jest zgodne z polską Strategią Migracyjną" – twierdzi ministerstwo.

Deklaracje rządu brzmią bardzo buńczucznie, ale tylko dla niewprawionego odbiorcy. OKO.press zauważa, że zarówno przyjęcie Strategii Migracyjnej, jak i huby powrotowe oraz koncepcja państw trzecich to wymogi paktu migracyjnego. „Rząd chce więc sprawiać wrażenie, że pracuje nad modyfikacją przepisów paktu tak, by bardziej odpowiadały one interesowi Polski. Ale jednocześnie jako przykład tych działań wymienia takie, które są elementem zwykłego wdrażania paktu migracyjnego" – podsumowuje portal.

Mamy zatem do czynienia z kolejną zasłoną dymną. Przy czym wygląda na to, że wszystko odbywa się w ścisłym porozumieniu z Komisją Europejską. Polska jako jedyna obok Węgier nie implementowała dotąd paktu migracyjnego. Jednak Komisja nie ma o to pretensji, bo mimo braku implementacji wdrażamy każdą wymaganą regulację. Tak więc na użytek wewnętrzny Tusk buntuje się przeciwko paktowi, podczas gdy w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Nie powinniśmy mieć zatem żadnych wątpliwości co do tego, że ewentualna wygrana Koalicji Obywatelskiej w 2027 r. będzie oznaczać wejście paktu migracyjnego w życie.

O jakich liczbach imigrantów jest mowa? Wstępne szacunki mówią o relokacji kilkudziesięciu tysięcy ludzi rocznie, choć – biorąc pod uwagę skalę imigracji w Europie (1,3 mln wniosków azylowych w 2023 r.) – liczba ta może wzrosnąć nawet do ponad 100 tysięcy osób rocznie. Tak gigantyczny napływ obcokrajowców z całego świata może w ciągu kilku lat zmienić krajobraz społeczny Polski.

Pracownicy z Azji i Afryki będą chętnie pracować za minimalną krajową – usłyszała od szefa załoga Valeo, gdy opowiedziała się za rozpoczęciem strajku

Fot. Aliaksandr Valodzin/East News

> Imigracja ma sprowadzić polskie społeczeństwo do parteru. Mamy wyzbyć się ambicji oraz nadziei na lepsze życie i zamiast tego rywalizować z przyjezdnymi o ochłapy spadające z pańskiego stołu

PRECZ DO POLSKI!

Do ponad miliona imigrantów zarobkowych oraz dziesiątek, a może nawet setek tysięcy cudzoziemców relokowanych w przyszłości w ramach paktu migracyjnego trzeba jeszcze doliczyć tych, którzy trafiają do nas wskutek readmisji oraz pushbacków na granicy z Niemcami.

Readmisje, czyli odsyłanie nielegalnych imigrantów do państwa, z którego przybyli, są ostatnio coraz rzadsze. Ich liczba wzrastała stopniowo od 2021 r., gdy odnotowano 576 takich przypadków, do 2023 r. (1567 readmisji), aby w 2024 r. zmniejszyć się do 1251.

Nie oznacza to jednak, że Niemcy podsyłają nam mniej imigrantów. Wręcz przeciwnie. Po prostu nasi zachodni sąsiedzi zaczęli stosować na szeroką skalę pushbacki (czyli zawrócenia). Zawrócenie na granicy – w przeciwieństwie do readmisji – nie wymaga przedstawienia dokumentacji o pochodzeniu imigranta. Polega to na tym, że niemiecka policja zwyczajnie przerzuca nieszczęśnika na polską stronę, utrzymując, że przed chwilą przekroczył on nielegalnie granicę, choć – jak się niejednokrotnie zdarzało – trafiali do nas ludzie, którzy wcześniej przez długi czas przebywali na terytorium Niemiec i nie było żadnego dowodu na to, że trafili tam przez Polskę.

Według danych niemieckiej policji w 2024 r. w ten sposób zawrócono do nas 9,4 tys. osób, a więc pięciokrotnie więcej niż w roku poprzednim (1,7 tys. osób). Warto podkreślić, że ten gwałtowny wzrost nastąpił po objęciu rządów przez Tuska, co oznacza, że obecna ekipa dała Niemcom zielone światło na stosowanie tego rodzaju praktyk. Polska stała się więc krajem, do którego można bezkarnie wrzucać niechcianych gości.

Dlatego żadne antyimigranckie pozy przyjmowane przez Tuska w obawie przed wyborcami nie są w stanie przysłonić faktu, że jest on politykiem, który nie będzie miał żadnych skrupułów przed otwarciem polskich granic dla imigrantów, gdy tylko będzie to dla niego politycznie wykonalne. Zrobi to bez najmniejszego wahania.

eprasa.pl 0bd28120fa

Słup Siemoniak

Minister koordynator służb specjalnych tak nimi kieruje, że przestały go traktować poważnie

Dla tajnych służb, które formalnie koordynuje i kontroluje, Tomasz Siemoniak praktycznie nie istnieje. Szefowie specsłużb nie zdążyli jeszcze zapytać swego niby zwierzchnika, czy mogą spełnić życzenie prezydenta Karola Nawrockiego, by osobiście przedstawić mu zagrożenia, gdy poprzez Jana Grabca, szefa kancelarii premiera, dowiedzieli się, że Donald Tusk już im tego zakazał. A pójść chcieli. W ten sposób po raz kolejny dowiedzieli się, że Siemoniak to ich dekoracyjny szef.

Kojarzą go właściwie tylko z utrudniania im służby. Bo to Siemoniak doprowadził do takich zmian, że składając wnioski do sądów o kontrolę operacyjną, będą mieli więcej pracy. W grudniu 2024 r. Siemoniak wnioskował, a premier Tusk podpisał nowe rozporządzenia rozszerzające zakres informacji przekazywanych przez służby we wnioskach do prokuratury oraz sądu o kontrolę operacyjną. Służby muszą wskazywać rodzaj narzędzia, możliwości użytych środków technicznych, opisać, jakie dane mogą zostać pozyskane w wyniku stosowania kontroli operacyjnej. Gdy będą to konkretne programy (takie jak Pegasus), trzeba podać we wniosku, jakie funkcje ma takie oprogramowanie, czy za jego pomocą można się włamać na urządzenie elektroniczne, pobierać z niego dane, czy program może przełamywać kody dostępu do aplikacji, nagrywać rozmowy, przechwytywać loginy i hasła do kont osoby inwigilowanej.

Funkcjonariusze służb kpią, że niedługo będą musieli informować podejrzanych o zastosowanych wobec nich środkach operacyjnych. A sądy będą uzasadniać zarówno decyzje pozytywne, jak i negatywne. Gdy nie wydadzą zgody na kontrolę operacyjną, będą mieli nawet więcej pracy, niż gdy się na taką kontrolę zgodzą.

16 grudnia 2024 r. Siemoniak oświadczył, że wstrzymane zostają prace nad tzw. kodeksem pracy operacyjnej, opisującym metody tej pracy (jest ich 26), w tym te, które wymagają zgody prokuratury i sądu. Kodeks zastąpiły rozporządzenia premiera. Minister koordynator skupił się za to na likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego – 20 listopada 2025 r. przedstawił w Sejmie rządowy projekt ustawy w tej sprawie. Twierdził, że CBA musi przestać istnieć, gdyż jego kierownictwo „było skazywane za nadużycia władzy, a w latach 2015–2023 CBA kojarzyło się przede wszystkim z nadużywaniem kontroli operacyjnej wobec osób niewygodnych dla władzy". Może kojarzyło się Siemoniakowi, bo Polakom wręcz przeciwnie. I nie godzą się, by Włodzimierz Karpiński wprost z aresztu trafił do Parlamentu Europejskiego. By sprawy Romana Giertycha i Tomasza Grodzkiego zostały umorzone, a Stanisław Gawłowski ogrywał ofiarę CBA. Przy tym Siemoniak nie wyciągnął żadnych wniosków z kompromitacji komisji śledczej ds. Pegasusa i opowiada bajki o wykorzystywaniu przez poprzednią władzę narzędzi operacyjnych do walki z przeciwnikami politycznymi.

STANISŁAW JANECKI

OJ, NAIWNY, NAIWNY

Tomasz Siemoniak był wprawdzie ministrem obrony w dwóch rządach Donalda Tuska, w rządzie Ewy Kopacz oraz szefem MSWiA w trzecim rządzie Tuska w latach 2024–2025, a obecnie jest ministrem członkiem Rady Ministrów i koordynatorem służb specjalnych, ale tylko formalnie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bd28120fa

„Lipne" sprawowanie funkcji koordynatora służb przez Siemoniaka jest m.in. przyczyną jego blamażu, gdy chodzi o wysadzenie torów w miejscowości Mika. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" (21 listopada 2025 r.) stwierdził odkrywczo o Rosji: „To nie jest normalne, że w innym kraju organizuje się akty dywersji", choć właśnie na tym polega dywersja. I chwalił się, że „w związku z aktami dywersji przez ostatnie półtora roku zatrzymaliśmy 55 osób. W tym jednego z koordynatorów tych aktów dywersji za granicą, dzięki ekstradycji z Bośni i Hercegowiny". Tylko niewiele z tego wynika, a np. cztery osoby zatrzymane w związku z wysadzeniem torów sąd wypuścił na wolność z braku dowodów. Gdy Siemoniak się puszy, że po zamachu na tory „potwierdziliśmy tożsamość dwóch podejrzanych i bez wątpienia są powiązani z rosyjskimi służbami", nie ma żadnej pewności, że nazwiska Jewhenij Iwanow i Ołeksandr Kononow są prawdziwe, a nie są to operacyjne przykrywki. Nadzorca służb nie może być tak naiwny i prostolinijny. Siemoniak stwierdził, że „wydarzenia na torach oznaczają przejście na nowy, wyższy poziom dywersji, bo zachodnie służby i my zaczęliśmy sobie radzić z agentami »jednorazowymi«, werbowanymi przez komunikatory internetowe" – tyle że z tymi jednorazowymi, zwanymi „śmieciową agenturą", polskie służby akurat sobie nie radzą. Choćby dlatego, że nie dysponują takim narzędziem, jakim był Pegasus.

Siemoniak narzeka, że nazwisk podejrzanych o zamach „nie było w żadnej bazie – poszukiwanych, europejskich nakazów, czerwonych not i tak dalej – której się używa w takich przypadkach". Jeśli byli legendowani, mieli status nielegałów lub byli „śmieciową agenturą", to jest oczywiste, że ich nie ma w bazach. I koordynator służb powinien to wiedzieć. Siemoniak nieudolnie tłumaczył „amatorskie" działania służb: „Obywatelka zgłosiła, że słyszała huk. Trzy patrole policyjne wieczorem krążyły z tą osobą po powiecie, sprawdzając różne miejsca, tylko że ta pani usłyszała huk z zupełnie innej strony niż wzdłuż torów. Następnie trzy patrole przeprowadziły czynności. A potem pierwszy maszynista, który odczuł, że coś jest nie tak z torem, natychmiast to zgłosił dyżurnemu ruchu, który polecił następnemu maszyniście ocenę wzrokową, co się dzieje na torach. Na tym polega wyjaśnienie zagadki, dlaczego funkcjonariusze niczego nie zauważyli". Nie zauważyli m.in. dlatego, że na początku nie zwrócili się o pomoc do Służby Ochrony Kolei, a świadków traktowali jak ludzi zawracających głowę i żądnych sensacji. Minister koordynator zapewnił, że „po tym pojawiły się tam wszelkie służby we właściwej sekwencji – policja, Służba Ochrony Kolei, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, pirotechnicy, laboranci, technicy – to wszystko w niedzielę zadziałało". Tylko było to o kilkanaście godzin za późno.

> Faktycznym koordynatorem służb jest Donald Tusk i robi to poprzez swojego zaufanego przybocznego Pawła Grasia. Tylko to wbrew ustawom i procedurom, bo rodzi się podwójna lojalność

APLIKACJA DLA ROSJAN

Siemoniak czaruje opinię publiczną, że „sprawą [dywersji na torach] zajmują się specjaliści od kontrwywiadu i działań antyterrorystycznych, doświadczeni w tego typu przypadkach, którzy dostrzegają prawidłowości, mechanizmy, obudzeni w nocy dokładnie wyrecytują wszystkie akty terrorystyczne na świecie z ostatnich lat". Ale specjaliści przede wszystkim nie dopuszczają do aktów terroru, a nie tylko po omacku szukają ich sprawców po fakcie i próbują określić, co w ogóle zaszło. Minister „doraźnie wysyła 10 tys. żołnierzy na patrole, drony, śmigłowce", a zapobieganie polega na stworzeniu odpowiednich systemów ostrzegania i wykorzystania narzędzi elektronicznych oraz cyfrowych. Wprawdzie o tym się już mówi, ale nie ma żadnego konkretnego planu. A znając kłopoty budżetu, można się spodziewać, że gdy sprawa przestanie być gorąca, pieniądze na odpowiednią infrastrukturę się nie znajdą. „Nie ma takiego państwa, które byłoby w stanie postawić kogoś co 50 m. Dlatego podkreślam rolę obywateli" – stwierdził minister koordynator. Tyle że państwo nie może bazować na telefonach pod nr 112, choć to też jest ważne. Siemoniak jest wyjątkowo naiwny i niekompetentny, gdy mówi, że „ministrowie Kosiniak-Kamysz i Kierwiński opowiedzieli o [specjalnej] aplikacji – właśnie po to, żeby obywatele mogli zgłaszać różne podejrzane sytuacje". Koordynator służb powinien wiedzieć, że taką aplikację wykorzystają przede wszystkim Rosjanie, żeby wszczynać fałszywe alarmy i kierować służby na manowce, a w tym czasie atakować w innych miejscach.

Tomasz Siemoniak jest słupem, a nie faktycznym koordynatorem służb, gdyż tę rolę odgrywa Donald Tusk i robi to poprzez swojego zaufanego przybocznego Pawła Grasia. Tylko to wbrew ustawom i procedurom, bo rodzi się podwójna lojalność. W dodatku dochodzą alarmistyczne informacje, że szefowie służb: płk Rafał Syrysko z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, gen. Jarosław Stróżyk ze Służby Kontrwywiadu Wojskowego, płk Paweł Szota z Agencji Wywiadu i płk Dorota Kawecka ze Służby Wywiadu Wojskowego czują się lojalni wyłącznie wobec premiera Dlatego Siemoniaka często po prostu ignorują i omijają, a nawet mają donosić do Tuska i Grasia na swojego zwierzchnika. W kierownictwach służb Siemoniak ma bardzo słabą pozycję. Szefowie służb nie stawili się u prezydenta Nawrockiego, bo decyzję podjął premier Tusk, a minister nie miał tu nic do gadania. Siemoniak kpi sobie, gdy mówi, że „sekretariat prezydenta zadzwonił do sekretariatu szefów służb, oni zapytali mnie, ja zapytałem premiera". Nie są sprawne służby, które nie uznają swego szefa, a nawet knują przeciw niemu i donoszą do premiera.

eprasa.pl 0bd28120fa

Gotowanie polskiej żaby

MACIEJ WALASZCZYK

We Wrocławiu nie po raz pierwszy chcą upamiętniać pruskiego zaborcę. Samorządy od lat nawiązują do niemieckiej ciągłości historycznej. Stopniowo, pod płaszczykiem europeizacji, dzieje się to kosztem polskiej narracji historycznej

Polityka historyczna jest ważnym elementem współczesnej „technologii władzy", w ramach której trzeba zarządzać wszystkim, więc także pamięcią historyczną. Polska musi pilnować, by forsowana narracja o przeszłości nie uderzała w jej prestiż i interesy. Jednak na poziomie samorządów sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Od 1990 r. – szczególnie na dawnych terytoriach niemieckich, dziś słusznie zwanych Ziemiami Odzyskanymi – starano się przywrócić pamięć o byłych mieszkańcach, pochodzących stamtąd ważnych osobistościach i związanych z nimi wydarzeniach. By w warunkach demokracji i nowej rzeczywistości politycznej uporządkować pewne sprawy. Dziś wiemy, że działo się to kosztem polskiej narracji historycznej.

POWRÓT KAISERBRÜCKE

Do rangi symbolu urasta sprawa Mostu Grunwaldzkiego we Wrocławiu. Okazało się bowiem, że podczas planowanego remontu po jego obu stronach nad jezdniami powróci niemiecki napis: Kaiserbrücke – Most Cesarski. Zaraz po I wojnie światowej nazwa ta została z rozmysłem porzucona przez samych Niemców, choć chcą ją przywrócić właśnie polskie władze samorządowe.

– Dziś właściwie nie wiemy, kto stoi za decyzją, która została osierocona i dla obecnych władz miasta jest kłopotliwa. Ale najdziwniejsze jest to, że we współczesnych Niemczech niekoniecznie odwołują się do spuścizny cesarza Wilhelma II – mówi Łukasz Kasztelowicz, przewodniczący klubu radnych PiS w Radzie Miejskiej Wrocławia. Jak dodaje, rekonstrukcja tych inskrypcji będzie kosztowała dodatkowe ok. 10 mln.

Fot. Biblioteka Narodowa, Shutterstock

eprasa.pl 0bd28120fa

Wiadomo tyle, że decyzję – według filozofii „przywracamy dawną formę" – podjęli miejscy urzędnicy, a zaakceptował ją konserwator zabytków. W ubiegłym tygodniu Rada Miejska przygniatającą większością głosów odrzuciła protest, pod którym podpisało się ok. 1,5 tys. wrocławian. Chodzi o 22 radnych zarówno z Koalicji Obywatelskiej i Lewicy, jak i tych opozycyjnych – z klubu Naprawmy Przyszłość i niezrzeszonych. Protest popierało tylko PiS. Jak podkreśla Kasztelowicz, choć jemu samemu pozwolono na wygłoszenie uzasadnienia, to Rada wstydliwie bała się podjąć dyskusję, blokując debatę. Radny przypomniał tylko, że nazwa Most Cesarski, który po upadku cesarstwa w wyniku I wojny światowej w 1919 r. został przez samych Niemców nazwany Mostem Wolności (Freiheitsbrücke), została przywrócona w 1933 r., po przejęciu władzy przez Hitlera. W 1947 r. most został odbudowany i otrzymał nazwę Most Grunwaldzki. – Hitler wiedział, dlaczego przywraca nazwę Kaiserbrücke, a czy radni, którzy głosowali przeciwko petycji, mają jakieś uzasadnienie swojej decyzji? – zastanawia się Kasztelowicz.

Dla Polski i Polaków – również tych żyjących niegdyś we Wrocławiu – Hohenzollernowie jako władcy Prus, a potem zjednoczonych Niemiec, są odpowiedzialni za podbój Śląska, w końcu także za zainicjowanie I rozbioru, a potem za systematyczną germanizację Polaków na Śląsku, w Wielkopolsce, Gdańsku, na Kujawach, Pomorzu, Warmii i Mazurach. Dziś radni Koalicji Obywatelskiej i jej różnych mutacji są odpowiedzialni za oddawanie im honorów. I właśnie w taki sposób Wrocław, który zgodnie z tamtejszą wizją ma być europejskim „miastem spotkań", kieruje swoją polityką tożsamości. Pławi się w nieustannej adoracji wydumanej wielokulturowości, różnego rodzaju mniejszości, w tym w szczególności ukraińskiej i białoruskiej, co jest przykrywką do rozwadniania polskiego charakteru stolicy Dolnego Śląska.

– Moim zdaniem to przywracanie historii imperialnej, która czyni z nas pośmiewisko. Podstawianie imienia zaborcy w miejscu wielkiej polskiej wiktorii militarnej. I chyba nawet prezydent Jacek Sutryk zaczął się w tym orientować, tylko pewnie by wolał, aby ktoś z zewnątrz narzucił mu decyzję w sprawie nazwy mostu, niż miałby się ugiąć pod naszą presją – mówi radny Kasztelowicz.

NIC SIĘ NIE DZIEJE PRZYPADKOWO

Ci, którzy dziś mówią o wspólnym polsko-niemieckim dziedzictwie, europejskiej tożsamości i historii (ale nie tylko oni), często sięgają również do antykomunistycznego sztafażu. Często najgłupszego z możliwych.

Przykładem takiej bezmyślności była decyzja związanego z Solidarną Polską burmistrza Niemczy o zamalowaniu w Urzędzie Miasta pięknego fresku z lat 60. XX w. Upamiętniał on obronę Niemczy w 1017 r., dzięki której została zatrzymana nawałnica wojsk niemieckich i czeskich nadciągająca na państwo króla Bolesława Chrobrego. Warto więc dziś przypominać, że po 1945 r. nikt nie kwestionował ewidentnych korzyści wypływających z powrotu Polski na dawne ziemie piastowskie. Nikt nie miał wątpliwości, że jest to wynik sprawiedliwości dziejowej. Odmiennie do swej poprzedniczki KPP także PPR nieszczęśliwie wzięła tę sprawę na swoje sztandary, choć przecież to nie ona była autorką tej koncepcji terytorialnej. Bo długo przed wybuchem II wojny światowej ideę granicy na Odrze propagowali przedstawiciele polskiej myśli zachodniej oraz politycy Stronnictwa Narodowego. Pracowali nad nią polscy historycy, etnografowie i archeolodzy, którzy w latach 20. i 30. XX w. stworzyli historyczne fundamenty uzasadniające postulat powrotu Polski nad Odrę i Bałtyk. Wśród nich byli m.in. Józef Kostrzewski, Kazimierz Tymieniecki, Zygmunt Wojciechowski, Karol Górski, Józef Widajewicz, Tadeusz Lehr-Spławiński, Kazimierz Piwarski. Szczególne zasługi miały w tym instytucje, takie jak Polski Związek Zachodni, Uniwersytet Poznański, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Instytut Bałtycki.

Zygmunt Wojciechowski już w latach 30. XX w. wysunął koncepcję „macierzystych ziem Polski", obejmujących obszar od Odry do Bugu oraz od Bałtyku po Sudety, a jego współpracownicy starali się nadać im silny rys polskości. Chodziło bowiem o polskie nazwy miejscowości i rzek, a także nawiązania historyczne, co miało pomóc w dziele przejmowania i zagospodarowania tych terytoriów. Jednak po 1989 r. wysiłek ten był konsekwentnie minimalizowany, a termin „Ziemie Odzyskane" – wypierany jako sformułowanie wywodzące się z arsenału „komunistycznej propagandy". Choć – jak wskazywali historycy – posługiwały się nim także środowiska niekomunistyczne, w tym emigracyjne.

Dziś zbieramy tego gorzkie owoce i nie ma wątpliwości, że od końca lat 80. XX w. cały obszar Ziem Zachodnich był poddany szczególnej infiltracji niemieckich kół naukowych i ekonomicznych. Działo się to pod pretekstem wymiany doświadczeń, współpracy samorządów, konferencji naukowych, sowitych dotacji i grantów. Najgłębszego przeorientowania swej tożsamości doświadczają główne ośrodki metropolitalne. W nich również nastąpiła radykalna reorientacja polityczna. Strategia wszędzie jest taka sama: pod płaszczykiem konserwacji zabytków odnawia się symboliczne detale architektoniczne, potem – ze względu na dawne tradycje – przywraca dawne lokalne nazwy, odbudowuje historyczną tożsamość regionu, w końcu pojawi się dwujęzyczność, a na pewno próba pisania wspólnej, kompromisowej wersji historii. Badający ten problem prof. Grzegorz Kucharczyk wielokrotnie zwracał uwagę, że to mechanizm niemieckiej polityki symbolicznej i soft power Berlina. Co ciekawe, to, co kiedyś było ukrytą strategią niemieckiej chadecji czy lewicy, dziś już otwarcie głoszą politycy AfD.

eprasa.pl 0bd28120fa

STARA HISTORIA NA NOWE CZASY

Kilka miesięcy temu nagłośniono też zmiany w wystroju Auli Leopoldyńskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Ich celem było – a jakże – „przywrócenie pierwotnego charakteru wystroju z XVIII w.". W czasie remontu usunięto więc umieszczone tam „we wczesnych latach 50." ub.w. polskie godło, a pozostawiono obraz króla Fryderyka II Wielkiego. Jak tłumaczyły władze uczelni, portret pruskiego władcy wisi po prostu na należnym mu miejscu w galerii obok władców i dostojników, którzy przyczynili się do powstania i rozwoju uniwersytetu. W pełnym historycznych łamańców oświadczeniu zaznaczono nawet, że inicjator rozbiorów jako władca „przesiąknięty ideami oświecenia" wspierał polską mniejszość na Dolnym Śląsku, czego wcześniej nie robiły władze katolickiej Austrii.

Podobnie było z Halą Ludową, która w 1913 r. pierwotnie powstała jako Jahrhunderthalle. Dziś – także za sprawą wrocławskiego samorządu – znowu jest to Hala Stulecia. Dlaczego? Bo celebrowała 100-lecie zwycięstwa Prus nad Napoleonem w bitwie pod Lipskiem, którego wielka koalicja państw zaborczych pokonała, gdy cofał się spod Moskwy wraz z wiernymi mu polskimi sojusznikami. Wtedy też cesarz Fryderyk Wilhelm III wydał do Niemców odezwę wzywającą do oporu przeciwko Francuzom, a w konsekwencji Prusy wyrosły na mocarstwo, rozpoczynając proces zjednoczenia. Jak wiemy, Śląsk to utracona w wyniku historycznych zawiei perła w koronie Rzeczypospolitej, a Polacy – choć w mniejszości – przez wieki byli częścią dziejów stolicy ziem śląskich. Więc także język polski można było usłyszeć na ulicach Wrocławia i w jego okolicach. I rozbrzmiewał on tam właśnie mniej więcej do czasów wojen napoleońskich.

KŁOPOTLIWA ROCZNICA

Jakiś czas temu w Wałbrzychu pojawiły się wielkie billboardy z hasłem: „Tu jest Polska". Właściwie nikt nie wiedział, kto je rozmieścił, a mieszkańcy byli pewni, że to jakiś element kampanii politycznej partii Grzegorza Brauna. Okazało się jednak, że wywiesiły go obecne władze Wałbrzycha, z którymi nikt wcześniej by ich nie łączył. Nieoczekiwanie podczas tegorocznych obchodów Święta Niepodległości prezydent miasta Roman Szełemej oświadczył, że jako Polacy powinniśmy pamiętać, że nasi przodkowie byli na tych ziemiach już w czasach piastowskich, zapowiadając, że w grudniu w Wałbrzychu pojawi się premier Donald Tusk. Okazuje się, że jego rząd zdecydował, iż tegoroczne, centralne obchody 80. rocznicy włączenia Ziem Zachodnich i Północnych do Rzeczypospolitej Polskiej zostaną zorganizowane właśnie w tym miejscu. Z niewiadomych powodów zaplanowano je dopiero na połowę grudnia.

Tymczasem miasto pod wodzą Szełemeja od dawna sięga do niemieckich tradycji, postaci, historii i wzorem Wrocławia czy Gdańska prowadzi bliźniaczą politykę „europejskiej" tożsamości. Jest ona zogniskowana głównie wokół postaci księżnej Daisy von Pless i rodu Hochbergów. Np. mijający już 2025 r. ogłoszono Rokiem wałbrzyskiej porcelany, zwracając uwagę, że będzie to czas na edukację na temat „dziedzictwa fabryk Carla Kristera, Carla Tielscha, Hermanna Ohmego czy Franza Prausego". Jest to kłopotliwe, gdyż właśnie w ostatnich dekadach popadły one w ruinę i są najwyżej zabytkiem, którego czas świetności przypada na epokę niemiecką.

Radny Piotr Sosiński z PiS mówi, że wiele miesięcy temu zwracał się z pytaniem, czy władze Wałbrzycha planują jakieś wydarzenia związane z uczczeniem 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego i 80-lecia powrotu Ziem Zachodnich. W odpowiedzi dostał jedynie wymijające informacje o planowanych z tej okazji szkolnych akademiach. – Dlatego jestem zaskoczony informacją o organizacji centralnych obchodów w Wałbrzychu, tym bardziej że ich głównym wydarzeniem ma być okolicznościowy wykład wygłoszony przez Olgę Tokarczuk. Nie wiem, co będzie chciała przekazać tym razem, ale gdyby miała się jakoś identyfikować z piastowską tożsamością Ziem Zachodnich, musiałaby zaprzeczyć wszystkiemu, co dotychczas na ten temat mówiła – dodaje radny Sosiński. Zresztą równolegle prezydent Szełemej nieoczekiwanie zaproponował, by 2026 r. ogłosić Rokiem 600-lecia Wałbrzycha, choć miasto swymi korzeniami sięga głębiej, do czasów piastów śląskich. Jubileusz ma więc „uhonorować wielowiekową tradycję", „oddać należny hołd wszystkim pokoleniom wałbrzyszan" oraz „podkreślić ciągłość lokalnej wspólnoty". Już wiadomo, że zgłoszona wcześniej propozycja, by w ten sam sposób uhonorować Konstantego Skirmunta, dyplomatę, uczestnika konferencji wersalskiej, który po wojnie właśnie jako repatriant osiadł i zmarł w Wałbrzychu, nie ma szans na akceptację.

> Wrocław pławi się w nieustannej adoracji wydumanej wielokulturowości, różnego rodzaju mniejszości, co jest przykrywką do rozwadniania polskiego charakteru stolicy Dolnego Śląska

W ramach centralnych obchodów ma także zostać podpisana deklaracja piastowska. Być może będzie ona przypominała wspomniane już historyczne łamańce, wypichcone latem przez władze Uniwersytetu Wrocławskiego o rodzie Schaffgotschów, którzy „symbolicznie przejmowali ideowe i polityczne dziedzictwo Piastów".

Polskie osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych wiązało się z trudną, bo obarczoną utratą kresów wschodnich i przemieszczeniami milionów ludzi integracją z powojenną, komunistyczną Polską. W sytuacji, gdy konsekwentnie realizowane są plany budowy federalnej Europy, wysiłki te muszą zająć należne im miejsce w zbiorowej pamięci historycznej. Rocznica 80-lecia powrotu Ziem Zachodnich była tego dobrą, ale zmarnowaną okazją.

eprasa.pl 0bd28120fa

Filantrop i jego moloch

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Publiczny wizerunek Władysława Grochowskiego może lec w gruzach z powodu gwałtownych protestów mieszkańców podwarszawskiego Konstancina-Jeziorny. Nie chcą oni megaosiedla Arche na 10 tys. osób

Dla mnie dobro wspólne jest bardzo ważne, jestem państwowcem, ale też nie bujam w obłokach – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Władysław Grochowski, jeden z najbardziej rozpoznawalnych i – powiedzmy to wprost – lubianych polskich przedsiębiorców.

Wizerunek wesołego wąsacza o złotym sercu, któremu w biznesie zależy na wszystkim, tylko nie na pieniądzach, jest właśnie w poważnych opałach. Wszystko przez projekt firmy Arche w Konstancinie-Jeziornie. Kupiła tam ona dawną fabrykę papieru wraz z gruntem o powierzchni ok. 60 ha. Wzorem innych swoich inwestycji w kraju zamierza ją zrewitalizować, przerabiając m.in. na hotel i restauracje. Jednocześnie ma tam stanąć 18 bloków, w których będzie 500 mieszkań. To w I etapie. Bo zdaniem mieszkańców Konstancina prawdziwym koszmarem będzie etap II. Zakłada on kolejne 2 tys. mieszkań. Oznacza to, że miasto będzie miało 10 tys. nowych obywateli. Prawie drugie tyle co obecnie.

NIC POZA ZYSKIEM?

„Pomyślałem, że wielu z Was słyszało o firmie Arche i macie o niej tak dobrą opinię, jaką ja miałem do niedawna" – napisał na Facebooku Andrzej Czub, lider trwającego od października protestu przeciwko budowie nowego osiedla.

„Uważam, że poza zyskiem Arche nie ma innego powodu, by w Mirkowie [nieoficjalna nazwa poprzemysłowej części miasta – przyp. red.] takie blokowisko wybudować. Jest to dla mnie tym bardziej rozczarowujące, że od wielu lat podziwiałem Arche za ich projekty rewitalizacyjne" – dodał.

Czub jest autorem petycji podpisywanej przez mieszkańców Konstancina. „Wyrażamy zdecydowany sprzeciw wobec planów realizacji II etapu inwestycji mieszkaniowej firmy Arche S.A. na terenie dawnej Królewskiej Fabryki Papieru w Mirkowie. Nie zgadzamy się na przekształcenie [...] naszego miasta

Fot. Wikipedia

0bd28120fa

w kolejne wielkie osiedle deweloperskie, które zniszczy równowagę przyrodniczą, historyczną i społeczną Konstancina-Jeziorny" – czytamy w dokumencie.

Argumenty mieszkańców? Brak infrastruktury drogowej i planu komunikacyjnego grozi całkowitym paraliżem komunikacyjnym miasta. Projekt Arche zagraża uzdrowiskowemu statusowi Konstancina. Nie ma badań środowiskowych i rzetelnych analiz wpływu megabudowy na ekosystem. Nie było prawdziwych konsultacji społecznych. I właśnie dlatego rada miejska powinna odrzucić wniosek o zmianę planu zagospodarowania przestrzennego w sposób umożliwiający realizację II etapu inwestycji Arche.

Czub jest doświadczonym menedżerem i niedoszłym radnym Konstancina (startował z listy Polski 2050, ta jednak przepadła). W drugiej turze wyborów na burmistrza uzdrowiska w 2024 r. popierał późniejszego zwycięzcę, kandydata KO Michała Wiśniewskiego, startującego przeciwko popieranemu przez PiS Markowi Skowrońskiemu. Dziś, po konflikcie w partii, burmistrz Wiśniewski rządzi bez poparcia radnych PO, a Skowroński jest sprzymierzeńcem Czuba w potyczce z firmą Arche.

Lider radnych prawicy, a w latach 2002–2010 burmistrz miejscowości, uważa, że Arche zamierza wybudować „miasto w mieście". Wskazuje na brak infrastruktury umożliwiającej przyjęcie 10 tys. dodatkowych mieszkańców. Konstancin już jest zakorkowany. Jak dojechać do pracy w Warszawie? Gdzie zaparkować po powrocie do domu? Skoro teraz jest słabo, to co będzie, kiedy Arche postawi na swoim? Skowroński wspomina spotkanie przedstawiciela dewelopera z mieszkańcami i ich pytania dotyczące miejsc parkingowych.

– Usłyszeliśmy, że świat się zmienia i wszyscy przesiadają się na rowery, więc w zasadzie miejsca parkingowe dla aut nie są już potrzebne. Tyle że pan z Arche przyjechał do Konstancina samochodem. Ciekawe, prawda? – ironizuje.

Konstancin został jakby zaczarowany magią Grochowskiego i atmosferą panującą wokół jego firmy.

– Cieszyliśmy się – ja też – że ktoś chce rewitalizować papiernię. Rozumieliśmy, że trzeba Arche jakoś „odpłacić", zgadzając się na pierwszy etap inwestycji mieszkaniowej. Ale nikt o zdrowych zmysłach nie może godzić się na to, co oni chcą zrobić w etapie II – mówi Marek Skowroński. – Moim zdaniem przy tym projekcie – takim zagęszczeniu bloków i braku odpowiedniej infrastruktury – będziemy mieli do czynienia z patodeweloperką – ocenia.

HOTELE MIŁOŚCI

Te słowa muszą boleć Władysława Grochowskiego. Bo choć zarabia przede wszystkim na deweloperce (trzeba powiedzieć, że sprawozdania Arche są średnio przejrzyste, więc trudno dociec, jaka część przychodów firmy pochodzi z działalności hotelarskiej, a jaka z deweloperskiej), to publicznie odcina się od branży, krytykując ją m.in. za pazerność. Woli, gdy mówi się o nim jako o hotelarzu. A najlepiej – o filantropie i sponsorze ratowania zabytków, z sukcesami na tym polu w Janowie Podlaskim, Żninie, Łochowie czy Łodzi.

Czołowy deweloper w kraju, który odżegnuje się od deweloperki, to zresztą niejedyna sprzeczność w publicznym wizerunku Grochowskiego. Bywa, że ten absolwent łódzkiej filmówki i były wójt Trzebieszowa na Lubelszczyźnie prezentuje się jako romantyczny, walczący o każdego człowieka pięknoduch. W 2021 r. oferował noclegi w swoich hotelach „uchodźcom" szturmującym z pomocą białoruskich służb naszą granicę i przekonywał, że on by „ich wszystkich wpuścił" do kraju i „zagrałby tym na nosie Łukaszence".

Innym razem brzmi jak rubaszny, żartujący o seksie wujek z wesela. Tu można przywołać chociażby wywiad z „Wyborczą", w którym cieszył się, że ma „hotele miłości" i odpowiadał na pytania na temat seksu grupowego („Mnie nie interesuje, co goście robią" – zapewniał). Chodziło o bardzo kontrowersyjną akcję marketingową Arche, polegającą na obietnicy bezpłatnego zorganizowania chrzcin każdemu dziecku poczętemu w pokojach Grochowskiego. Co ciekawe, choć wiadomo, że biznesmen świetnie żyje przede wszystkim z Platformą Obywatelską (Sławomir Nitras organizował w jego hotelach spotkania z branżą turystyczną, pod wielkim wrażeniem Grochowskiego jest obecny minister sportu Jakub Rutnicki), to zadbał, by akurat te nieszczęsne „hotele miłości" były bardzo mocno promowane w konserwatywnej Telewizji Republika. Przedstawiano w niej PR-ową zagrywkę Arche jako bez mała lek na zapaść demograficzną Polski.

Biznesmen często wciela się w rolę typowego tetryka, który opowiada, jak to kiedyś było ciężko, a teraz jest łatwo. Twierdzi, że nie używa e-maila i smartfona, epatuje brakiem przywiązania do dóbr materialnych, choć jego firmy przynoszą wielomilionowe zyski, a on jako udziałowiec kasuje tłuste dywidendy. Rekin biznesu prezentuje się jako sympatyczny starszy pan, który znajdzie miłe słowo dla każdego. I – tak to przynajmniej wygląda – bardzo lubi, gdy się go chwali.

„WCALE SIĘ NIE DZIWIĘ"

Czy sytuacja w Konstancinie i pierwsze tak mocne protesty społeczne przeciwko Arche go zmartwiły? – Wcale się nie dziwię, że są różne komentarze – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Władysław Grochowski.

Korki? Brak infrastruktury? Szef Arche sugeruje, że bez jego osiedla i tak nikt nie zbuduje wymarzonej przez mieszkańców obwodnicy czy kolei (linia Konstancin–Karczew została zaplanowana w czasach rządów PiS, ale PKP PLK pod nową władzą skreśliły projekt). Takie inwestycje będą miały sens dopiero wtedy, gdy znacząco wzrośnie liczba ludności. Utrata statusu uzdrowiska? Nic z tych rzeczy. Grochowski dowodzi, że przecież będzie budował na mocno zdegradowanym terenie poprzemysłowym. – Konstancin jest znany jako uzdrowisko, cały czas jest postrzegany w Polsce przez rehabilitację i specjalistyczne leczenie. Chcemy to kontynuować, podpiąć się pod to – zapewnia. I dodaje z nadzieją: – Myślę, że bardziej się poznamy w przyszłości, dziś ludzie myślą, że to tylko mieszkaniówka.

A co, jeśli mieszkańcy nie dadzą się jednak przekonać? – My z tym II etapem wystąpiliśmy, bo zmienia się prawo budowlane [chodzi o wygasające wiosną przyszłego roku przepisy tzw. lex deweloper – przyp. red.] – mówi nam Grochowski. – Ale nie ma problemu. Nie musimy, już naprawdę mamy co robić – wzdycha. Rzuca też, że na razie projekt oznacza dla jego firmy same kłopoty.

eprasa.pl 0bd28120fa

– Sama rewitalizacja tej starej części to jest ok. 400 mln zł i to muszę znaleźć. Potrzebne są banki, emisje obligacji, indywidualni inwestorzy, żeby to poskładać. To nie jest takie oczywiste w zabytkach, tego nikt nam nie da – zaznacza.

NIE WZIĄŁ ANI ZŁOTÓWKI?

„Tego nikt nam nie da" – to zdanie jest dla Grochowskiego bardzo charakterystyczne. Deweloper konsekwentnie maluje bowiem autoportret self-made mana, który zawdzięcza wszystko wyłącznie własnej ciężkiej pracy. Pytany w 2019 r. o „najlepszą radę, jaką kiedykolwiek otrzymał", odpowiadał: „Umiesz liczyć – licz na siebie".

„My, starzy, unieszczęśliwiamy młode pokolenie, finansując im dostatnie życie. Będę tu się bił w pierś, widzę to po swoich synach. Dawanie gotowego nas rozleniwia, a w zamian nie chce się nic oddawać" – perorował wiosną br.

„Jestem przeciwny jakiemukolwiek rozdawaniu pieniędzy. Żeby ktoś je dostał, ktoś inny musi przecież na nie zarobić. Ja mam zupełnie inną filozofię. Wolę trudne sytuacje, wolę pożyczyć, niż cokolwiek dostawać" – to z kolei wypowiedź dla tygodnika „Wprost" po tym, jak wybuchła afera z dotacjami dla branży hotelarsko-gastronomicznej.

Może Grochowski „woli pożyczyć", ale jego opowieści o tym, jak to nigdy od nikogo nie dostał ani złotówki są mocno przesadzone. Jak każdy korzysta z pomocy publicznej. Według urzędowych danych w latach 2000–2025 Arche S.A. udzielono jej na kwotę 182 mln zł. To wartość nominalna, a więc zawierająca także np. gwarancje kredytowe Banku Gospodarstwa Krajowego. Wartość brutto wynosi 143 mln zł.

Kiedy podajemy te kwoty Grochowskiemu, ten reaguje... zdziwieniem. – Naprawdę? – pyta. – Ja tego nie śledzę. A pan może to przysłać na nasz adres? – pyta o wyliczenia. Tłumaczymy, że kilka chwil w internecie wystarczy, by je zobaczyć. Niedługo potem Grochowski oddzwania.

– Policzyliśmy to. To były drobne pieniądze, 9 mln zł. Chodziło m.in. o dotacje do zatrudnianych przez nas więźniów. Bo z gwarancji żadnych nigdy nie korzystaliśmy – stwierdził biznesmen.

To prawda, Arche korzysta z zapisów ustawy z 28 sierpnia 1997 r. o zatrudnianiu osób pozbawionych wolności. Otrzymywała też środki od samorządów (w postaci chociażby zwolnień z podatków) i zapłatę za goszczenie uciekających przed wojną Ukraińców (Grochowski mówi nam o 8 tys. noclegów – każdy za 40 zł i podkreśla, że dwa razy więcej sfinansował samodzielnie).

Dlaczego deweloper opowiada o ok. 9 mln zł, skoro wartość brutto pomocy udzielonej jego firmie w ciągu pięciu ostatnich lat to według oficjalnych danych ponad 140 mln zł? Brakującym „drobiazgiem" jest unijna dotacja do kolejnego wielkiego projektu Grochowskiego – rewitalizacji Elektrociepłowni Szombierki w Bytomiu.

> Czołowy deweloper w kraju, który odżegnuje się od deweloperki, to zresztą niejedyna sprzeczność w publicznym wizerunku prezesa Arche S.A. Władysława Grochowskiego

„Grupa Arche jest beneficjentem 130 mln zł dotacji z funduszy europejskich dla województwa śląskiego" – informował w odpowiedzi na wynurzenia Grochowskiego o „niepotrzebnym rozdawnictwie" wiceminister funduszy i polityki regionalnej Jan Szyszko. „Te środki finansują społecznie pożyteczną rewitalizację opuszczonej Elektrowni Szombierki Bytom, w tym budowę ogólnodostępnej infrastruktury sportowo-rekreacyjnej. Grupa Arche otrzymała też pomoc publiczną o wartości 103 mln zł od szeregu samorządów w całej Polsce. Pomoc ta obierała formę m.in. refundacji, dotacji i rekompensat" – dodał urzędnik.

W rozmowie z nami Grochowski podkreśla, że z dotacji do Szombierek „nie zobaczył jeszcze ani złotówki". – Tylko umowy mamy podpisane – mówi.

KRĘGIELNIA I DANIELE

Przy okazji wpisu Szyszki o tej śląskiej inwestycji właściciela Arche uszczypnął (szczypiąc Szyszkę) poseł PiS Janusz Cieszyński.

„»Pożyteczna rewitalizacja opuszczonej elektrowni Szombierki?« Posłuchajmy prezesa Arche: »Zgodnie z wcześniej przedstawionymi planami w EC Szombierki przewiduje się stworzenie hotelu na ok. 200 pokoi, restauracją i SPA, sali wielofunkcyjnej do organizacji konferencji, bankietów i wydarzeń kulturalnych, galerii sztuki, przestrzeni targowej, powierzchni edukacyjno-muzealnych, foodhallu, kręgielni, a także luksusowych apartamentów w wieży zegarowej«. Powinien być obowiązek publikowania na Insta zdjęć z pobytu w tym przybytku, tak aby społeczeństwo mogło czerpać te pożytki choćby z fotek" – szydził na platformie X były minister cyfryzacji.

Jeden z kolegów Cieszyńskiego z województwa lubelskiego, prosząc o anonimowość („bo to jednak jest u nas figura"), mówi, że nie ma co mieć do Grochowskiego pretensji o jego nie zawsze poparte faktami wypowiedzi i dość nachalne próby kształtowania nieprzystającego do biznesowej rzeczywistości wizerunku.

– To przede wszystkim twardy zawodnik, sprawny przedsiębiorca. I jak prawie każda gruba ryba mówi jedno, ale robi, co trzeba. Ja bym się nie zdziwił, gdyby on nawet te swoje kochane daniele sprzedawał gdzieś na mięso. Albo umiesz liczyć pieniądze, albo ich nie masz – śmieje się nasz rozmówca.

Oprócz jazdy na rowerze i prasowania daniele to hobby Władysława Grochowskiego. Hoduje je od lat, chętnie opowiada o nich w wywiadach. Pytamy, skąd ten pomysł. No i – bo to przecież ważne – co się dzieje ze zwierzętami, gdy dorosną.

– Oczywiście kiedyś myślałem, że one będą do naszych restauracji – przyznaje biznesmen. – Ale zaprzyjaźniłem się z nimi i się z tego wycofałem. Na szczęście znalazłem innego hodowcę, który przerzuca tę nadwyżkę na Litwę, one później trafiają też na Białoruś. Ja je sprzedaję za symboliczne pieniądze. A wcześniej mam czas, żeby je podglądać – puentuje biznesmen.

eprasa.pl 0bd28120fa

Niedzielne hity Feusette'a

Krzysztof Feusette co tydzień w telewizji wPolsce24 rozprawia się z głupotą i nieudolnością władzy

Polska żyje aktem dywersji na torach pod Garwolinem. Niemal od początku wiadomo, że mamy do czynienia z wrogim działaniem i że muszą za tym stać Rosjanie. Potwierdza to sam premier Donald Tusk. „Wysadzenie toru kolejowego na trasie Warszawa–Lublin to bezprecedensowy akt dywersji wymierzony w bezpieczeństwo państwa polskiego i jego obywateli. Trwa śledztwo. Tak jak w poprzednich tego typu przypadkach, dopadniemy sprawców, niezależnie od tego, kto jest ich mocodawcą" – pisze w internecie szef rządu, zakładając już zapewne swoją słynną „kryzysową kurteczkę".

Jest jednak człowiek, który niczym wytrawny szachista bierze pod uwagę zupełnie inny przebieg wypadków. To wicepremier Krzysztof Gawkowski. W porannej rozmowie z Bogdanem Rymanowskim z całkiem poważną miną przekonuje, że to jednak nie musiał być atak. To mogła być kradzież. Albo nawet... „Ktoś mógł zrealizować jakiś zakład, wyzwanie, które było takim nowoczesnym challengem" – wypala Gawkowski.

„Challenge albo zakład – tak twierdził pan wicepremier Gawkowski w sytuacji, gdy wszyscy już, jak mniemam, doskonale wiedzieli co stało się na torach. Wszyscy wiedzieli o ładunku wybuchowym. Ale pan Gawkowski jest albo niedoinformowany, albo ma swoich odbiorców za wyborców, powiedzmy sobie szczerze, bardzo ostrej lewicy" – komentuje na antenie telewizji wPolsce24 Krzysztof Feusette.

„Myślę, że jeśli ktoś się z kimś założył, to raczej premier Tusk z ministrem Kierwińskim o to, czy Gawkowski zdąży się skompromitować w czasie porannego wywiadu, czy nie" – dodaje. „A więc: na 16. miejscu wicepremier Krzysztof Gawkowski. Poinformowany niesamowicie" – w ten sposób rusza kolejna lista przebojów publicysty doskonale znanego czytelnikom tygodnika „Sieci".

BARDZO AUTORSKIE PODSUMOWANIE TYGODNIA

„Hity Feusette'a" są emitowane w telewizji wPolsce24 w każdą niedzielę o 20.05, po głównym wydaniu wiadomości tej stacji. Mają formę przeglądu wydarzeń tygodnia. Dodajmy – bardzo autorskiego przeglądu.

„Będziemy jak zwykle kontemplować, podziwiać i zasłuchiwać się w najgłupszych, najbardziej bulwersujących, najbardziej kontrowersyjnych i najbardziej idiotycznych – nie bójmy się tego słowa – wypowiedziach członków rządu i całej koalicji 13 grudnia" – zapowiada swój program Feusette.

A ponieważ jest wprawnym didżejem, widzowie się nie nudzą. Wśród „wyróżnionych" mamy „Szymka Hołownię", opowiadającego – z wrodzoną skromnością – o swoich gigantycznych i rosnących z sekundy na sekundę szansach na posadę wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców. Jest wyjątkowo bezczelny „towarzyszysz Czarzasty", wybielający gen. Jaruzelskiego i zapowiadający korzystanie z nieistniejącego „weta marszałkowskiego". Feusette pokazuje kuriozalną wypowiedź wiceministra sprawiedliwości Arkadiusza Myrchy, który pytany, czy wystąpi w Kanale Zero, odpowiada, że nie wie, ale że trzeba o tym z nim porozmawiać osobiście (choć dziennikarka właśnie z nim rozmawia).

ZABAWNIE, CHOĆ NA OSTRO

Publicysta śmieje się też z samego bossa – premiera Donalda Tuska, recytującego z trybuny sejmowej swoich „pięć przykazań" narodowej jedności, by za chwilę ostentacyjne je łamać, wyzywając każdego, kto się nie zgadza z rządem, od agentów Putina.

Autopromocja

eprasa.pl 0bd28120fa

„Nie chciałbym działać na rzecz Rosji, ale jednak, panie szanowny premierze, nasze słoneczko peruwiańskie, proszę pamiętać – z Peru nie ma ekstradycji, jest tam ciepło, tak jak była ciepła ta czapeczka, którą pan tam zdobył podczas podróży życia za 1,5, mln, bo tyle nas to wtedy kosztowało" – przypomina Feusette.

W związku z sabotażem na kolei hitem tygodnia musiała zostać błazenada Marcina „Bobasa" Kierwińskiego, niemogącego doliczyć się pociągów, które mimo zgłoszenia policji, że dzieje się coś dziwnego, przejeżdżały jeden za drugim przez wyrwę w torach.

„Osiem albo dziewięć pociągów, on do końca się tym nie zajmował. W pociągach jeżdżą ludzie, nie wiadomo, na kogo głosowali, trzeba by najpierw sprawdzić, czy to są platformersi, czy może ci łajdacy, co biją kobiety i dzieci" – kpi Feusette. I puentuje: „Teraz każdy pociąg, który państwa dowiezie na miejsce, proszę pamiętać, że jest to zasługa rządu. To nie jest operacja »Horyzont«. To jest operacja »Chory rząd«. Takie jest moje, bardzo skromne, zdanie".

Jest ostro, bardzo ostro. Ale jednocześnie po prostu zabawnie.

SĄ WYNIKI

W listopadzie program Krzysztofa Feusette'a w tzw. peaku, czyli szczycie oglądalności, gromadził przed telewizorami nawet ponad 350 tys. widzów. Średnie wyniki show publicysty tygodnika „Sieci" zawsze przekraczały (zazwyczaj mocno) 200 tys. widzów, co kilkakrotnie przekładało się na ponad 2 proc. udziału w rynku.

Widzowie telewizji wPolsce24 znali wcześniej Feusette'a z innego hitowego programu stacji, perły lekkiej publicystyki politycznej – „Polityki na deser". Autorski show współtwórcy „deserków" powstał na życzenie fanów, którzy chcieli jeszcze więcej swojego ulubionego prowadzącego.

> Autorski show współtwórcy „Polityki na deser" powstał na życzenie fanów, którzy chcieli jeszcze więcej swojego ulubionego prowadzącego

– Program Krzysztofa Feusette'a od początku jego budowania budził w nas przekonanie, że to będzie dobra propozycja dla widzów – mówi dyrektor programowy telewizji Mariusz Pilis.

– Zaczęliśmy ostrożnie, wprowadzając go na niedzielne popołudnie, ale szybko zapadła decyzja o przeniesieniu go na wieczór, tuż po „Wiadomościach wPolsce24". I ten ruch okazał się znakomitym posunięciem. Program „Hity Fuesette'a" wyrósł na naszych oczach wspaniale. I znakomicie sobie radzi. Widzowie go lubią, bo Krzysztof Feusette gwarantuje takie opisanie rzeczywistości, jakiej trudno szukać w ofercie innych stacji. To klasa sama w sobie – podkreśla Pilis.

„Hity Feusette'a" to kolejna z wielu nowości w ramówce telewizji wPolsce24. Są wśród nich także m.in. poranne rozmowy doskonale znanego naszym czytelnikom Marcina Wikły, „Bez pardonu" Anny Pawelec i Dariusza Matuszaka (poniedziałek–piątek o 14.00) czy „Piątki" Olivera Pochwata (poniedziałek–piątek o 13.20).

Telewizja wPolsce24 jest najszybciej rozwijającą się stacją informacyjną w kraju. Według danych firmy Nielsen zajmującej się telemetrią średnia minutowa widownia wPolsce24 wynosiła w październiku blisko 76 tys. widzów, a udział w rynku sięgnął 1,44 proc. Rok wcześniej było to jedynie 0,79 proc. Są dni, jak 11 listopada, kiedy wPolsce24 nadawała m.in. ekskluzywny wywiad z prezydentem Karolem Nawrockim, ze średnią oglądalnością zbliżającą się do 150 tys. widzów (w szczycie było to ponad 580 tys. widzów) i udziałami w rynku przekraczającymi 2 proc.

ŁW

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43

eprasa.pl 0bd28120fa

Jak „Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów” kształtują finansowe kompetencje młodych Polaków

Edukacja, która procentuje

W świecie, w którym decyzje finansowe towarzyszą nam niemal na każdym kroku, edukacja ekonomiczna staje się fundamentem odpowiedzialnego i bezpiecznego życia. Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej od lat wspiera młodych ludzi w zdobywaniu kluczowych umiejętności, a jego sztandarowym projektem jest konkurs „Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów”. To inicjatywa, która nie tylko uczy, lecz także realnie wpływa na przyszłość tysięcy uczniów

W dzisiejszym świecie postępującej cyfryzacji finansowej i poważnych wyzwań gospodarczych wiedza dotycząca finansów jest szczególnie ważna. Ogromne znaczenie ma rozwijanie wiedzy finansowej już od najmłodszych lat przez dzieci – w szczególności w rodzinie na etapie wczesnoszkolnym, młodzież, dorosłych, a nawet osoby w wieku senioralnym.

Szczególnie pożądane są działania służące rozwijaniu i upowszechnianiu edukacji ekonomicznej, która w szkołach podstawowych nadal nie jest wystarczająca.

DLACZEGO EDUKACJA FINANSOWA JEST DZIŚ NIEZBĘDNA?

Rozwijanie świadomości finansowej oraz umożliwienie zdobycia praktycznej wiedzy i umiejętności to priorytet, który stanowi wyjątkową okazję, ponieważ uczy, jak efektywnie stosować przyswojoną wiedzę w życiu codziennym. Podejście do pieniędzy kształtuje się w bardzo młodym wieku, a nawyki, które są wyrabiane w rodzinie, dzieciństwie i młodości, pozostają przez całe życie. Ważne jest, aby wskazać i wyposażyć młodych ludzi w profesjonalną wiedzę, tak aby w świadomy i odpowiedzialny sposób mogli podejmować decyzje dotyczące odpowiedzialnego zarządzania finansami osobistymi. Edukacja finansowa powinna uczyć, jak dzieci i młodzież mają zarządzać efektywnie pieniędzmi, jak ważne jest ich bezpieczne przechowywanie oraz jak zaplanować i przygotować budżet osobisty.

Jednym z priorytetowych projektów wpisujących się w szeroko pojętą edukację finansową jest ogólnopolski konkurs ekonomiczny pt. „Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów”. Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej realizuje projekt cyklicznie od 2006 r. Konkurs jest skierowany do uczniów klas siódmych i ósmych szkół podstawowych. W jego 19 edycjach wzięło udział ponad 12 tys. uczniów z całej Polski.

KONKURS, KTÓRY OD 19 LAT ROZWIJA KOMPETENCJE EKONOMICZNE

Co roku konkurs jest poświęcony innej tematyce z obszaru zagadnień ekonomiczno-finansowych. Spośród tematów, które zostały zrealizowane, były m.in. planowanie i budżet domowy, historia, emisja i zabezpieczenia pieniądza, prawa konsumenta i ubezpieczenia, moja pierwsza firma, polska spółdzielczość finansowa, bezpieczne pożyczanie i kredytowanie,

eprasa.pl 0bd28120fa

świadome budowanie pozytywnej historii kredytowej, obrót bezgotówkowy – nowoczesność i bezpieczeństwo, dzieje pieniądza polskiego 1918–2018, rola i misja Narodowego Banku Polskiego, edukacja finansowa i cyberbezpieczeństwo.

Konkurs „Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów" ma na celu edukację finansową młodzieży, przede wszystkim podniesienie i rozwinięcie poziomu wiedzy ekonomicznej oraz wzrost umiejętności samokształcenia w tym zakresie. Poprzez realizację konkursu Stowarzyszenie stara się wspierać młodych ludzi w zrozumieniu pojęć i zasad finansowych oraz w rozwijaniu i kształtowaniu świadomych postaw i zachowań związanych z finansami. Istotne jest również wzmacnianie wśród młodzieży poczucia odpowiedzialności za własną przyszłość finansową.

JAK WYGLĄDA RYWALIZACJA? ETAPY I PRZEBIEG „MISTRZOSTW"

Konkurs jest podzielony na dwa etapy: eliminacje i finał. Na etapie eliminacji na stronie internetowej SKEF udostępnia materiały konkursowe (regulamin konkursu, formularz zgłoszeniowy z pytaniami i zadaniami konkursowymi oraz wykaz dodatkowych materiałów stanowiących wsparcie merytoryczne dla uczestników w ułatwieniu przygotowania się do konkursu). Po zapoznaniu się z regulaminem konkursu zainteresowani udziałem uczniowie wypełniają formularz zgłoszeniowy oraz udzielają pisemnych odpowiedzi na pytania i zadania konkursowe, przesyłając swoje prace konkursowe na adres Stowarzyszenia we wskazanym terminie. W kolejnym etapie komisja konkursowa weryfikuje prace konkursowe. Autorzy najlepiej ocenionych (10–12 osób) zostają zaproszeni do udziału w finale konkursu, podczas którego powalczą o atrakcyjne nagrody pieniężne. Podczas finału konkursu oprócz nagród pieniężnych dla laureatów wszyscy finaliści zostają obdarowani wieloma upominkami oraz biorą udział w przygotowanych dla nich atrakcjach, np. warsztatach edukacyjnych.

EFEKTY, KTÓRE WIDAĆ W ŻYCIU MŁODZIEŻY I W ICH PRZYSZŁYCH WYBORACH

Długoletnie doświadczenie Stowarzyszenia Krzewienia Edukacji Finansowej w realizacji konkursu „Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów" pokazało, że uczniowie, którzy biorą w nim udział, zwiększają znajomość zagadnień ekonomicznych, zdobywając i rozwijając swoją wiedzę. Zaletą konkursu jest nie tylko możliwość zdobycia nagród i udział w wyjazdowym finale połączonym z wieloma dodatkowymi atrakcjami. O wiele ważniejsza jest możliwość dostarczenia dodatkowej wiedzy ekonomicznej i finansowej, którą młodzież nabywa, przygotowując się do udziału w konkursie. Wielu nauczycieli współpracujących ze Stowarzyszeniem również propaguje i wspiera konkurs, zachęcając swoich uczniów do udziału.

O pozytywnym odbiorze konkursu często mówią sami uczestnicy oraz opiekunowie obecni podczas finałów. Udział w konkursie jest również doskonałą okazją do wymiany kontaktów i tworzenia wyjątkowej społeczności wśród uczestników – wielu z nich wiąże z ekonomią i finansami ścieżkę swojej dalszej edukacji, a następnie przyszłość zawodową.

Idąc śladem byłych finalistów konkursu i efektów ich udziału w „Mistrzostwach Polski Młodych Ekonomistów", wielu z nich związało swoją drogę edukacji z finansami i ekonomią, a część zamierza podjąć takie działania w najbliższym czasie.

Biorąc pod uwagę wypracowywanie pozytywnych nawyków potrzebnych do umiejętnego zarządzania finansami w życiu osobistym, tak ważnych we współczesnym świecie, konkurs „Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów" z pewnością pozostanie dla Stowarzyszenia Krzewienia Edukacji Finansowej wyzwaniem na kolejne lata działalności na rzecz dzieci i młodzieży.

Iwona Karmasz
Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

Artykuł sponsorowany | 02/0925/F/ZAL
Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0bd28120fa

Powrót komuny najgorszego sortu

Sejm wybrał nowego marszałka. Za kandydaturą Włodzimierza Czarzastego opowiedziała się cała koalicja rządząca, przeciw – cała opozycja. Potem nowym szefem Kancelarii Sejmu został Marek Siwiec, jeden z najbliższych współpracowników prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Warto zajrzeć do akt Służby Bezpieczeństwa i pokazać, kim byli TW „Jerzy" i TW „Alek", a także całe towarzystwo o nazwie Stowarzyszenie Ordynacka, kierowane w przeszłości i przez Czarzastego, i przez Siwca

eprasa.pl 0bd28120fa

PIOTR GONTARCZYK

Zacznijmy od Marka Siwca. Urodził się 13 marca 1955 r. w Piekarach Śląskich. W 1980 r. ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie. W 1977 r. wstąpił do PZPR, działał w lokalnych strukturach Zrzeszenia Studentów Polskich, był redaktorem naczelnym pisma „Student".

„ORGANIZACJA"

Stan lokalnej organizacji ZSP pokazywał, co to było za pokolenie i o co tak naprawdę chodziło owym „młodzieżowym działaczom". Dysponując wieloma spółkami, które zajmowały się m.in. prowadzeniem klubów studenckich, organizacją turystyki i imprez kulturalnych, wykorzystywali je do własnych celów i po prostu kradli na potęgę. Ale w czerwcu 1985 r. Urząd Skarbowy przeprowadził kontrolę finansów Rady Okręgowej ZSP. Raport pokontrolny przekazany do prokuratury wykazywał „szereg nadużyć finansowych popełnianych przez czołowy aktyw tej organizacji". Chodziło o setki tysięcy złotych. Towarzysze z lokalnej „organizacji" (w Kalabrii za używanie słowa „mafia" grozi śmierć) wpadli w popłoch i poprosili o pomoc kolegów z Rady Naczelnej ZSP w Warszawie. 10 stycznia 1985 r. u I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego w Krakowie tow. Józefa Gajewicza pojawił się sekretarz Rady Naczelnej ZSP Antoni Dragan. Miał się domagać zastopowania działań prokuratury, obiecując, że osoby winne nadużyć zostaną ukarane dyscyplinarnie. Argumentował, że odstąpienie organów ścigania od dochodzenia „jest niezbędne dla działania organizacji". Misja zakończyła się sukcesem. KW PZPR roztoczył kryszę nad swoją młodzieżą. Ustalono, że prokuratura „ukręci łeb" sprawie pod warunkiem zwrotu zawłaszczonych pieniędzy i usunięcia skompromitowanych działaczy. 17 stycznia 1985 r. odbyło się posiedzenie władz Rady Okręgowej ZSP, na którym stanowisko stracił dyrektor Alma-artu Janusz Andrzejowski i dyrektor Student-serwisu Piotr Drążkiewicz. Wydawało się, że to koniec sprawy.

PORACHUNKI

Drążkiewicz uznał się za kozła ofiarnego i zaczął publicznie „sypać" kamratów – zarówno z Rady Okręgowej ZSP, jak i z władz centralnych. Jego zarzuty opisywała Służba Bezpieczeństwa: „M.[arianowi] Kubalicy zarzuca się zabór ok. 260 tys. zł, które uzyskał od uczestników »Akcji Lato« w formie kaucji i pieniędzy tych nie zwrócił, jak też nie wpłacił ich na konto organizacji. Na jego nazwisko wystawiona jest również faktura za alkohol w [...] [klubie studenckim] »Pod Jasczurami« na sumę 70 tys. zł. Ponadto wiele osób z ZSP pobrało na swoje nazwiska dla niego zaliczki opiewające na ogólną sumę 300 tys. zł i domagają się w chwili obecnej ich zwrotu".

Afera zataczała coraz szersze kręgi, do akcji ponownie wkroczyła prokuratura, zabierając dokumentację finansową ZSP z ostatnich dwóch lat, którą zajęli się biegli. Wedle notatki SB „działanie to stanowi pełne zaskoczenie dla tego środowiska, albowiem uznano, że sprawa ta zostanie rozstrzygnięta wewnątrzorganizacyjnie".

Spanikowani członkowie „organizacji" znowu interweniowali w Warszawie. Tow. Antoni Dragan z Rady Naczelnej ZSP miał znowu obiecać pomoc. Prawdopodobnie po jego telefonie do I sekretarza KW PZPR w Krakowie prokuratura znowu zatrzymała badanie afery. Sprzyjała temu SB, przekonana, że „postępowanie prokuratorskie z całą pewnością wyjawi szereg dotychczas nieznanych nadużyć".

Tym razem prokurator postawił jednak twarde warunki dotyczące odzyskania (zapewne tylko tych, które już wcześniej ustalono) pieniędzy. Poszczególni działacze mieli trzykrotnie zostać pisemnie wezwani do zwrotu „zniknięnych" pieniędzy, a w przypadku braku zwrotu ZSP miało występować z roszczeniami na drodze cywilnej. Taka procedura gwarantowała każdemu potencjalnemu złodziejowi z władz Zrzeszenia uniknięcie odpowiedzialności karnej. Mimo tych dobrych wieści SB notowała, że „organizacja" była w rozkładzie: „Środowisko jest bardzo skłócone wewnętrznie, skorumpowane i tym samym całą energię kieruje na rozgrywki personalne. Działalność programowa schodzi na plan dalszy". Co tam działalność polityczna – grunt, że zakończyło się śledztwo i było wiadomo, że nikomu z „organizacji" włos z głowy nie spadnie.

TW „JERZY"

Jeszcze w styczniu 1986 r. krakowska SB założyła sprawę o kryptonimie „Działacze" w celu zbierania informacji o aferze. Zapewne bezpieka również czynnie angażowała się w interwencje w KW PZPR i prokuraturze, żeby wyciszyć kompromitującą władze aferę. Do śledzenia sprawy SB wykorzystywała kilku tajnych współpracowników. Jeden z nich został pozyskany do współpracy i zarejestrowany 21 marca 1983 r. do numeru 32.287 jako TW „Jerzy". Sprawę rejestrował Wydział III-1 WUSW w Krakowie i wiadomo, że „Jerzy" był wykorzystywany podczas rozpracowania krakowskich władz ZSP krypt. „Działacze". Materiały tego agenta nie zachowały się. Zarówno w Krakowie, jak i w centrali MSW w Warszawie skrupulatnie usunięto po nim wszelkie ślady w kartotekach. Ale przecież SB nie mogła działać „na ślepo", wedle zasady: „Nie wie prawica, co robi lewica" – jej działania na szczeblu ogólnopolskim musiały być koordynowane. Jednostka zainteresowana jakąś osobą musiała pisemnie skontaktować się z jednostką rejestrującą. Po tym zostawały ślady, np. zapisy w dziennikach koordynacyjnych, pismach i szyfrogramach. I można powiedzieć, że z tego punktu widzenia nieidentyfikowalny wcześniej TW „Jerzy" nr KR 32.287 miał pecha.

Kilka lat po utworzeniu Urzędu Ochrony Państwa w archiwach tej instytucji odnaleziono szyfrogram szefa bura „C" MSW w Warszawie płk. Kazimierza Piotrowskiego do krakowskiej SB z pytaniem, czy tamtejsza rejestracja pod numerem 32.287 nie stanowi przeszkody, żeby Marek Siwiec, syn Czesława, ur. 13 marca 1955 r., był redaktorem naczelnego pisma „Student". Po tym znalezisku tożsamość TW „Jerzy" przestała być tajemnicą.

Fot. Wojciech Olkusnik/East News, Andrzej Wiktor, Ludmyła Skwarczyńska, Shutterstock

eprasa.pl 0bd28120fa

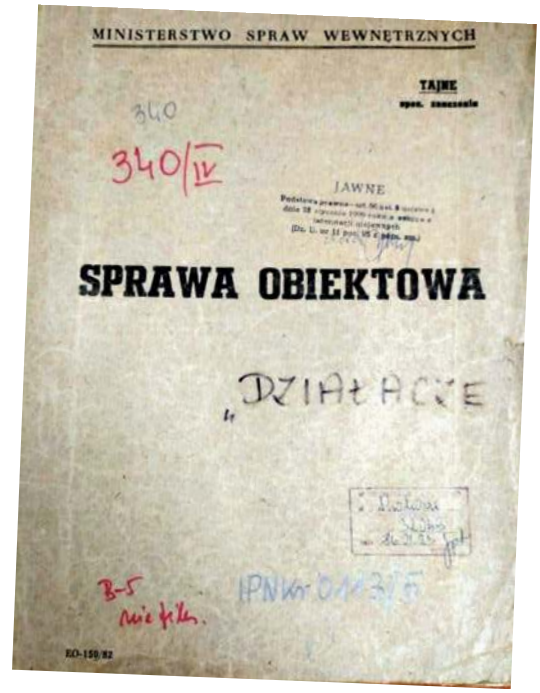
MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH

TAJNE

340/IV

JAWNE

SPRAWA OBIEKTOWA

„DZIAŁACZE"

B-5 nie fikn.

IPN Kr 0143/5

To nie koniec tej historii. Ostatnie rubryki nr 32.287 dziennika rejestracyjnego w Krakowie, które z reguły dotyczą zakończenia i zarchiwizowania sprawy, zawierają zapis: „[19]87.09.24. Przekaz. Dep. VII Dep. III." Wiemy więc, że jesienią 1987 r. sprawę Marka Siwca przekazano do MSW w Warszawie. Wszystko pasuje: w 1987 r. krakowska SB nie mogła już wykorzystywać Siwca, bo ten przeniósł się do stolicy i został redaktorem naczelnym tygodnika „ITD". Adres siedziby tej redakcji warto zapamiętać: Ordynacka 9. Sprawę TW „Jerzy", zarejestrowanego w centrali 20 listopada 1987 r. pod numerem 104.466, prowadził Wydział VII Departamentu III MSW – od inwigilacji dziennikarzy. Materiały tego TW zostały zdjęte z ewidencji i zniszczone w styczniu 1990 r.

TW „ALEK"

Pracując w Biurze Rzecznika Interesu Publicznego w 2000 r., nie znalazłem żadnego doniesienia TW „Jerzy", choć wiedziałem, że płynne przekazanie sprawy z Krakowa do Warszawy w 1987 r. wykluczało jakąś naciąganą albo fikcyjną rejestrację. Gdyby TW „Jerzy" nie był czynnym i pożytecznym agentem, po przejęciu sprawy przez centralę potencjalne nadużycie wyszłoby na jaw. Niestety wszystkie akta TW Wydziału VII Departamentu III MSW dotyczące głównie partyjnych dziennikarzy i niekiedy działaczy ZSP, ZSMP i PZPR skrupulatnie zniszczono.

Dotyczyło to nie tylko Marka Siwca, lecz także innego TW na koncie tej jednostki, zarejestrowanego pod numerem MSW 72.204 jako TW „Alek". Jego śladami także chodziłem w 2000 r., bowiem osoba rejestrowana pod tym numerem – Aleksander Kwaśniewski – też była lustrowana jako kandydat (II kadencja) na prezydenta RP. Tu także starannie przeprowadzono „czyszczenie" akt, nie pozostawiając śladów ani w kartotekach, ani w aktach. Lecz „Alek" wpadł tak samo jak kolega z Krakowa: UOP udało się ustalić jego dane na podstawie korespondencji koordynacyjnej. Potem odnalazła się notatka opisująca źródła Wydziału VII Departamentu III MSW, w której TW „Alek" występuje jako źródło „piszące [informacje] na koncie kpt. [Zygmunta] Wytrwała". Co zabawne, Kwaśniewski „pośliznął się" się nawet na dokumentacji wytworzonej przez SB zwalczającej opozycję w czasie stanu wojennego. Kto przy zdrowych zmysłach szukałby w takich aktach śladów po komunistycznym kacyku?! Funkcjonariusze UOP znaleźli akta sprawy krypt. „Teleecho", w której latem 1984 r. bezpieka próbowała ustalić działaczy, którzy za pomocą specjalnego nadajnika zakłócali sygnał TVP. W telewizorach, głównie na Mokotowie i Ursynowie, ukazywały się wtedy „wrogie" napisy, np. „Solidarność żyje".

W Departamencie II, któremu do grudnia 1983 r. podlegała „ochrona mediów", wytypowano kilka bloków, na dachach których działał wrogi nadajnik. Szef Departamentu II MSW gen. Zdzisław Sarewicz zapytał więc ewidencję (istniała kartoteka adresowa), jakich agentów i funkcjonariuszy bezpieka ma w tej okolicy, bo tacy mogli pomóc w znalezieniu „telewizyjnych dywersantów". W odpowiedzi dostał obszerną listę, w której przy jednym z adresów przy ul. Polinezyjskiej był zapis: „[numer] 72.204. [i nazwisko oficera prowadzącego] tow. Wytrwał [telefon] 45-65". To adres Aleksandra Kwaśniewskiego, znany z jego akt paszportowych.

III RZECZPOSPOLITA

Kontrakt okrągłego stołu współtworzony przez Kwaśniewskiego zagwarantował komunistom pełnoprawne uczestnictwo w życiu politycznym III RP. O jednej z patologii związanych z transformacją pisze „Wikipedia": „Wyprowadzanie majątku do przedsiębiorstw prywatnych z koncernu zaczęło się jeszcze przed 1989 r. Jednym z jego bardziej znanych form było dotowanie przez RSW »Prasa-Książka-Ruch« na polecenie KC PZPR spółki Transakcja, co w przekonaniu niektórych z procesu prywatyzacji koncernu czyniło klasyczny przypadek tzw. uwłaszczenia nomenklatury". Klasyczna sytuacja: Kwaśniewski organizował przy okrągłym stole polityczną kryszę, a jego kolega, tow. Siwiec, zasiadał w Radzie Nadzorczej spółki Transakcja. Uwłaszczona na majątku poprzedniczki PZPR i zasilona „moskiewską" pożyczką grupa dawnych komunistów przetrwała trudny okres i jako SLD w 1993 r. wróciła do władzy.

Dwa lata później – mimo podania fałszywych informacji o wykształceniu – Kwaśniewski został prezydentem. To nigdy nie powinno się wydarzyć, ale w Polsce nie przeprowadzono ani rzetelnej lustracji, ani dekomunizacji. Zarówno Kwaśniewski, jak i Siwiec – zwłaszcza wobec zniszczenia dotyczących ich akt SB (a końcówki sieci informatycznych SB znajdowały się w Moskwie, która wiedziała wszystko o działaniach służb PRL) – mogli być szantażowani przez nieprzyjaznego sąsiada.

W czasie prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego Marek Siwiec był jego bliskim współpracownikiem jako minister, a potem szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Moralne i umysłowe oblicze tej ekipy widać na nagraniach z „całowania ziemi kaliskiej" i hańbiących scen „choroby filipińskiej" na polskim cmentarzu wojskowym pod Charkowem.

Jak już wspomniano, w 2000 r. odbyła się lustracja kandydatów na prezydentów, w tym Aleksandra Kwaśniewskiego. Rzecznik Interesu Publicznego dostarczył do sądu to, co zachowało się na jego temat i to, co pozostało po „czyszczeniu" akt TW „Bolek" – najpierw przez SB, a potem przez samego prezydenta Lecha Wałęsę. Rozpętała się awantura, a Adam Michnik ogłosił w „Wyborczej": „Oskarżenie Lecha Wałęsy jest zamachem na polską godność i tożsamość narodową; oskarżenie Aleksandra Kwaśniewskiego jest zamachem

eprasa.pl 0bd28120fa

na polską demokrację" („GW", 28 lipca 2000 r.). A przecież jedne i drugie dokumenty, choć zachowane szczątkowo, pokazywały prawdę.

W czasie lustracji Kwaśniewskiego publicznie wyszło na jaw nazwisko prowadzącego TW „Alek" – kpt. Zygmunta Wytrwała. Sąd wezwał go na kolejną rozprawę. Za dwie godziny dostałem nieoficjalną informację z kręgów UOP, że do domu tego SB-ka, mieszkającego pod Rzeszowem, w szalony rajd na kogutach wystartował samochód BBN prezydenta Kwaśniewskiego z misją, żeby wiedział, co zeznawać. Nazwisko pasażera auta pozostawiam inteligencji czytelnika.

Obaj kandydaci na prezydenta wymienieni w artykule Adama Michnika otrzymali wyroki Sądu Lustracyjnego, że nie byli agentami SB. Sędzia Nizieński nie skierował sprawy Siwca do tego sądu. Wiedział, że wobec skali zniszczeń akt SB także on dostanie kłamliwe orzeczenie „uniewinniające", tak jak Wałęsa i Kwaśniewski.

Rok po wyborach, czyli w 2001 r., w środku wstydliwej epoki prezydentury Kwaśniewskiego, wyraźnie mocniejsi, nie tylko politycznie mocno podtuczeni (głównie na różnych stanowiskach w mediach) byli „młodzieżowi działacze" ZSP założyli Stowarzyszenie Ordynacka z siedzibą w dawnym budynku organizacji (tam w „ITD" niegdyś zaczynał Marek Siwiec) przy ul. Ordynackiej 9. Jedną z kluczowych ról w stowarzyszeniu odgrywał były członek Rady Naczelnej ZSP Włodzimierz Czarzasty. Rok po utworzeniu Ordynackiej (w 2002 r.) wybuchła ujawniona we „Wprost" przez Roberta Mazurka i Igora Zalewskiego „afera Rywina". Po zbadaniu sprawy było jasne, że korupcyjna propozycja byłego producenta miała „pozostawać w ścisłym związku" z działalnością „grupy trzymającej władzę", do której zaliczono Czarzastego. Nie przeszkodziło mu to kierować Stowarzyszeniem Ordynacka przez 10 lat.

NOWA LEWICA Z ORDYNACKIEJ

Niedawno Włodzimierz Czarzasty został marszałkiem Sejmu. Na szefa kancelarii powołał towarzysza z ZSP, PZPR i „Ordynackiej" Marka Siwca. Minister lewicy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk powiedziała w Polsacie o Czarzastym: „Pierwsze decyzje lewicowego marszałka pokazują nową jakość Sejmu". A komentując wybór Siwca na szefa Kancelarii Sejmu dodała: „Oczywiście, że jest to Nowa Lewica – to jest nie tylko nazwa naszej partii, ale to jest lewica na miarę XXI wieku". Jeśli SB w Krakowie nie była ślepa i głucha, to towarzysze z krakowskich i naczelnych władz ZSP „wykręcili pierwszego melona" przed epoką (rocznik 1984) błyskotliwych intelektualnie ministerek lewicy. Ale jeżeli tam jest taki poziom wiedzy historycznej, to trzeba podpowiedzieć kolejne nazwiska kolegów Czarzastego i Siwca z ZSP i Ordynackiej. Marnuje się tam np. bez dobrej posady członek Rady Naczelnej ZSP w latach 1985–1987, potem funkcjonariusz KC PZPR Antoni Dragan. Za czasów rządów postkomunistów po 1997 r. był m.in. przewodniczącym Rady Nadzorczej TVP. Z cytowanych tu materiałów SB wynika, że pokazał wybitne talenty negocjacyjne w rozmowach z I sekretarzem KW PZPR w Krakowie. Inny działacz młodzieżowy Ordynackiej (też jest w aktach SB) sprawdził się kiedyś jako dyrektor Alma-artu. To wspomniany już Janusz Andrzejowski. Akta sprawy SB krypt. „Działacze" wskazują kolejną kandydaturę człowieka lewicowego sukcesu z lat 80. w Warszawie i Krakowie. W III RP przez wiele lat był „z zawodu dyrektorem" w TVP, a w 2017 r. zastąpił nawet Czarzastego na stanowisku szefa Ordynackiej. To wspomniany na początku artykułu Marian Kubalica. Tylko proszę nie pytać o faktury z lat 70. za alkohol z klubu „Pod Jaszczurami". To by było tym bardziej niestosowne, że zachowały się fotografie z epoki, na których lokalny aktyw ZSP biesiaduje w tym lokalu z członkiem władz centralnych „organizacji" Włodkiem Czarzastym. Kubalica pasuje do Marka Siwca także z tego powodu, że jako sekretarz Rady Naczelnej ZSP w latach 1987–1990 też był rejestrowany przez SB jako TW (nr rej. 103.435) „Jurek" uplasowany w kierownictwie „organizacji".

> Po zbadaniu „afery Rywina" było jasne, że korupcyjna propozycja byłego producenta miała „pozostawać w ścisłym związku" z działalnością „grupy trzymającej władzę", do której zaliczono Czarzastego. Nie przeszkadzało mu to przez 10 lat kierować Stowarzyszeniem Ordynacka

Wszystkich ich należy – tak jak Czarzastego, kreowanego dziś przez telewizję publiczną (w upadku) na wybitnego polityka, i jego kolegę Marka Siwca – powołać na ważne stanowiska państwowe. Mogą bezpiecznie wracać do polityki: „partia opiekunka" tak jak w latach 80. w pełni kontroluje prokuraturę. Dla tych, którzy nie zdążą zemdleć przed postawieniem zarzutów, minister sprawiedliwości ustawi odpowiednie składy sędziów z „Justytucji" (prawa autorskie: Rafał Ziemkiewicz). Wystarczy spojrzeć na współczesne losy tego Ziobry, który kiedyś w raporcie z „afery Rywina" pisał brzydkie rzeczy o Włodku Czarzastym, a potem ośmielił się ścigać członków obecnej „matki partii". Ten system wrócił w pełni: „Każdemu, kto podniesie rękę na władzę, władza tę rękę odrąbie", a przy tym nikomu z „organizacji" nie pozwoli zrobić krzywdy.

Pewnie żadnemu z dawnych działaczy PZPR, ZSP i ZSMP, nawet tych rejestrowanych jako agenci SB, nie uda się zrobić kariery na miarę tego, który pijany kiwał się nad grobami polskich bohaterów. Ale idea budowy „nowej lewicy na miarę XXI w." przynajmniej powinna dać im na to jakąś szansę. Powrócił Czarzasty, jest już Siwiec, za nimi wrócą inni. Szkoda tylko, że Urban nie doczekał.

Autor jest pracownikiem IPN. Poglądy wyrażone w tekście są wyłącznie jego opiniami

eprasa.pl 0bd28120fa

Praski odczyt prezydenta: trafna diagnoza, kiepski plan

JAN ROKITA

Diagnoza Karola Nawrockiego o federalistycznym „kamuflażu", którym posługują się żądni scentralizowanej władzy unijni funkcjonariusze, nie tylko celnie opisuje owo zjawisko, lecz także jest myślową innowacją na polskiej prawicy

Krótki odczyt polskiego prezydenta wygłoszony w poniedziałek 24 listopada na praskim Uniwersytecie Karola zwraca uwagę spójną i klarowną diagnozą stanu Unii Europejskiej. Nawrocki rozpoczyna wprawdzie od kilku uwag o toczącej się wojnie na Ukrainie, ale można odnieść wrażenie, iż czyni to raczej z poczucia obowiązku wspomnienia o moskiewskiej agresji, a jego istotnym celem jest wykład na temat Europy.

Przyznam, że z zaciekawieniem słuchałem tej praskiej prelekcji prezydenta. *Primo* – bo Karol Nawrocki nigdy dotąd nie przedstawił swoich poglądów na temat tego, jak należałoby reformować Unię, a jego liczne doraźne i z reguły krytyczne wypowiedzi na temat UE mogły sugerować jakąś fundamentalnie antyunijną strategię. *Secundo* – bo prezydent (chyba celowo) podbił poprzeczkę, nazywając swój 21-minutowy odczyt prezentacją „polskiego programu dla Unii". A to sugerowało, iż można się było spodziewać jakiegoś całościowego konceptu reform UE, opracowanego w dyskrecji przez ekipę współpracowników prezydenta. Niestety jeśli ktoś tak domniemywał, musiało go spotkać rozczarowanie.

TRZY KLUCZOWE TEZY

Wróćmy jednak do diagnozy stanu Unii, bo to z pewnością najciekawsza część odczytu prezydenta. Można ją sprowadzić do trzech kluczowych tez układających się w logiczną całość. Najpierw Nawrocki formułuje tezę o trwającej w UE ofensywie centralizmu, która – jak mówi – oficjalnie jest „kamuflowana" za pomocą idei federalizacji Europy. To chyba pierwszy raz, kiedy czołowy polityk polskiego obozu prawicy przedkłada tego rodzaju istotne rozróżnienie. Przywykliśmy raczej do tego, iż zwłaszcza liderzy PiS, w tym Ja-

Fot. Mikołaj Bujak/KPRP

eprasa.pl 0bd28120fa

rosław Kaczyński, używają terminów „federalizm" i „federalista" niemal jak politycznych wyzwisk. Tymczasem federalizm to idea, której sednem jest ścisła reglamentacja i ograniczenie uprawnień centrum przy decentralizacji i rozproszeniu władzy. A dzisiejsi fanatyczni wyznawcy poszerzania spektrum władzy unijnego centrum są eurocentralistami, wywracającymi do góry nogami reguły *quasi*-federalnej Europy.

Nawrocki nie rozwija szerzej tego wątku, ale jego uwaga o federalistycznym „kamuflażu", którym posługują się żądni scentralizowanej władzy unijni funkcjonariusze, nie tylko celnie opisuje owo zjawisko, lecz także jest myślową innowacją na polskiej prawicy. Prezydent nawołuje do „odrzucenia centralizacji", ale nie podejmuje polemiki z ideami federalistycznymi.

Drugi element diagnozy Nawrockiego to teza o patologicznym mechanizmie samonadawania sobie władzy przez instytucje unijne. Prawdę mówiąc, prezydent trafia tu w sedno, bo to chyba najgorszy i najbardziej niebezpieczny objaw dzisiejszej choroby unijnych instytucji. Już dobrych parę lat temu w UE faktycznie przestała obowiązywać zasada legalizmu, wedle której europejskie władze i urzędnicy mogą działać wyłącznie w takim zakresie, w jakim państwa członkowskie udzieliły im mandatu w dwóch europejskich traktatach. I choć nadal na każdym uniwersytecie właśnie tak wykłada się prawo unijne, a o legalizmie jako podstawie UE pisze każdy akademicki podręcznik, w politycznej praktyce zanikła różnica pomiędzy materiami przekazanymi Unii w traktatach a tymi, które pozostały (teoretycznie) pod kontrolą państw członkowskich. Praktyka jest taka, że instytucje unijne decydują i wydają rozkazy rządom państw członkowskich tam, gdzie nie mają do tego podstaw. Przykładów jest tu bez liku: Włochom każe się zmieniać system podatkowy, Słowakom konstytucję, a nam w Polsce – ustrój sądownictwa. Mechanizm ten klientyzuje poszczególne rządy, które ze strachu przed retorsjami i utratą władzy starają się przypodobać unijnym funkcjonariuszom.

Wedle trzeciej tezy Nawrockiego chorobą Unii jest to, iż zarówno skład Komisji Europejskiej, jak i podległych jej agend biurokratycznych jest dobierany wedle kryteriów ideologicznych. To smutna, choć nigdy dotąd niewypowiedziana na tym szczeblu prawda o demoralizacji struktur unijnych. Sławny, choć dziś już zapomniany precedens w tej mierze miał miejsce dawno temu, jeszcze w 2004 r. Wybitny włoski polityk katolicki Rocco Buttiglione, nominowany przez rząd w Rzymie do KE, został wówczas odrzucony, gdyż w czasie przesłuchań stwierdził, iż uprawianie homoseksualizmu jest grzechem dla chrześcijanina, a kobieta – w przeciwieństwie do mężczyzny – powinna rodzić dzieci. Już zatem dwie dekady temu wypowiedzenie tego rodzaju oczywistości dyskwalifikowało w naborze na stanowiska europejskie. A od tamtego czasu tego rodzaju praktyka stała się o wiele bardziej nachalna, więc chrześcijanie chcący pracować na świetnie płatnych posadach unijnych muszą – podobnie jak to było w komunistycznej Polsce – unikać przyznawania się do swoich przekonań. O tym procederze „ideologicznego obsadzania posad" Nawrocki mówi otwarcie, co jest cenne, gdyż politycy z reguły boją się podnosić publicznie ów wstydliwy dla Unii problem dyskryminacji.

Unię trzeba zatem zdecentralizować, zawęzić i jasno określić jej uprawnienia względem państw, regionów i samych mieszkańców Europy, nadto instytucje unijne trzeba otworzyć na ludzi wyznających różnorodne światopoglądy. Tak brzmi centralne przesłanie polskiego prezydenta płynące z praskiego odczytu.

PROGRAM DLA UNII

Ale Nawrocki wyraźnie miał ambicję pójść dalej: to wszystko powiedziawszy, konkluduje bowiem: „Jednak nie lamentujemy, bo mamy polski program dla Unii". I przedstawia ów program w ośmiu punktach o bardzo różnym znaczeniu. Niestety całość owego „polskiego programu" robi wrażenie zestawu postulatów zebranych na łapu-capu, tak by uzyskać efekt konstruktywnego i pozytywnego myślenia. Intencja prezydenta jest tu zrozumiała, ale zamiar się nie powiódł, gdyż proponowane przezeń przedsięwzięcia są niewspółmierne wobec fundamentalnej krytyki zawartej w pierwszej części odczytu. Mówiąc wprost: niezależnie od ich doraźnej nierealności nawet gdyby jakimś cudem pewnego dnia miały zostać wcielone, to i tak nie uzdrowiłyby choroby, na jaką zapadły instytucje europejskie. Skupię się tu na pierwszych pięciu punktach prezydenckiego planu, gdyż to one dotyczą w istocie stanu Unii. Pkt. 6–8 odnoszą się do szczegółowych kwestii zbrojeń, cenzury i języka politycznego, który dominuje dziś w Europie.

Pierwsze dwa punkty „polskiego programu" są zachowawcze. Nawrocki – zgodnie zresztą z utrwaloną doktryną PiS – chwali to, co dziś jest i przeciwstawia się zmianom w dwóch materiach – ograniczenia prawa weta i zmniejszenia liczebności członków Komisji. Logika prezydenta jest tu jasna: uważa on (co zresztą wielokroć podkreślał w trakcie odczytu), iż nie należy pozwolić na jakąkolwiek sformalizowaną redukcję głosu i reprezentacji poszczególnych państw członkowskich. A możliwość wetowania brukselskich dyrektyw i obecność każdego kraju w składzie KE służy takiemu celowi. To wszystko prawda. Tyle tylko, że – co jasno wynika z wcześniej postawionej diagnozy Nawrockiego – dziś unijna patologia polega nie na tym, że poszczególne rządy nie mają prawa weta, lecz na tym, że perfekcyjnie dopracowano sposoby obchodzenia weta, jeśli nie podoba się ono unijnej elicie.

Pierwszy przykład z brzegu, niejako *pro domo sua:* rząd Tuska dwukrotnie stawiał weto wobec ustaleń śrubujących tzw. unijne cele klimatyczne (raz w czerwcu 2011 r. i ponownie w marcu 2012 r.), ale każdorazowo po tych polskich wetach w unijnych programach pojawiały się nowe cele klimatyczne, jeszcze bardziej wyśrubowane.

Podobnie rzecz się ma z komisarzami wysyłanymi do Brukseli przez każdy z rządów. W 2019 r. rząd Morawieckiego wysłał jako komisarza Janusza Wojciechowskiego, który zasiadał w Komisji przez pięć lat. W tym czasie miały miejsce najbardziej zaciekłe i pozbawione podstaw traktatowych próby zmuszenia Polski do uległości w kwestiach ustroju państwa. Czy ktoś w ciągu owych pięciu lat słyszał choć

eprasa.pl 0bd28120fa

raz głos komisarza Wojciechowskiego, który by bronił traktatowych reguł działania UE? Komisarze (bynajmniej nie tylko polscy) stają się w Brukseli koniunkturalistami – biorą tam olbrzymie pieniądze i boją się w jakikolwiek sposób narazić grupie, która „trzyma władzę" w Brukseli. Pierwsze dwa punkty „polskiego planu" niczego więc w UE nie naprawiają.

Ale dalej jest jeszcze gorzej. W pkt. 3 i 4 prezydent wskazuje dwie reformy instytucjonalne, mające być cofnięciem zmian wprowadzonych traktatem lizbońskim. Nawrockiemu idzie o zniesienie funkcji stałego szefa Rady Europejskiej i unijnego „ministra spraw zagranicznych" oraz systemu głosowania na zasadzie tzw. podwójnej większości. Gdy idzie o tę ostatnią sprawę, niegdyś, przed ponad dwiema dekadami, odgrywała ona istotną rolę w polskiej polityce, czego świadectwem stało się hasło: „Nicea albo śmierć". Gdy wprowadzano nowy system głosowania, dający istotną przewagę najludniejszym Niemcom, była to kluczowa sprawa w unijnej polityce. Ale dziś jej znaczenie jest nikłe, bo jak weto straciło swe dawne znaczenie, tak zmniejszyło się znaczenie większościowych głosowań. Dziś Polski kłopot z Unią nie polega przecież na tym, że co rusz przegrywamy jakieś głosowania, ale na tym, że instytucje unijne i tak z własnego nadania robią co chcą, bez żadnej podstawy.

A już całkowitym nieporozumieniem jest wiara w to, iż w Unii cokolwiek zmieniłoby się na lepsze, gdyby obecnie zamiast wiecznie milczącego Portugalczyka Costy Radzie Europejskiej – zgodnie z postulatem Nawrockiego – przewodziła sympatyczna skądinąd duńska premier Frederiksen (bo Dania ma właśnie teraz półroczną prezydencję). A od 2026 r. niejaki pan Christodoulides, przywódca Cypru, który ponoć jest autorem kilku książek na temat zawiłości konfliktu cypryjskiego. Aż się prosi, by zapytać, czy sam prezydent Nawrocki wierzy w skuteczność przedstawianych przez siebie recept.

INSTYTUCJONALNE POTWORY

W pkt. 5 „planu dla Unii" prezydent słusznie zauważa, iż to pragmatyzm, a nie jakaś postępowa ideologia, winien decydować o tym, czym UE ma się zajmować, a czym nie. No dobrze, ale jak ta słuszna maksyma ma się przekładać na plan reform Unii? Nawrocki nie próbuje tu nawet dotknąć newralgicznej kwestii: mianowicie tego, iż bez traktatowego wskazania jasnych granic działania dwóch unijnych instytucji – luksemburskiego Trybunału Sprawiedliwości i brukselskiej Komisji Europejskiej – naprawa Unii nie będzie możliwa. Nasilająca się unijna samowola i rosnąca presja na rządy, aby podporządkowały swoje pryncypia i politykę żądaniom unijnym, bierze się z niebywałego rozrostu władzy tych dwóch instytucjonalnych „europejskich potworów".

> Bez drastycznego ograniczenia materii, którymi może się zajmować luksemburski trybunał, żadna rozsądna reforma UE się nie uda. Niestety prezydent nie wspomniał o tym w Pradze

Wszechwładza Komisji narastała stopniowo od 2011 r., kiedy w trakcie kryzysu finansowego oddano jej rolę tzw. strażnika traktatów. I w tej roli zaczęła formułować coraz to nowe wymagania i żądania wobec państw członkowskich albo je nękać za pomocą tzw. ram prawnych (bez traktatowych podstaw), tak jak nękała Polskę dopóty, dopóki nie nastąpiła u nas zmiana władzy. A potem jej pozycję ugruntował sławny finansowy plan EU Next Generation z 2020 r., który pod pozorem pocovidowej odbudowy kontynentu pozwolił na to, aby KE stała się supernadzorcą państw członkowskich we wszystkich kwestiach ustrojowych i ekonomicznych – oczywiście pod szantażem finansowym.

Ale sednem kłopotu z „pragmatycznym określaniem kompetencji" (jak to nazywa Nawrocki) jest instytucja, która stała się faktycznym gwarantem dzisiejszej niereformowalności UE. Warto zdawać sobie sprawę, że w całej unijnej Europie, na wszystkich poziomach władzy krajowej i unijnej, jest tylko jedna instytucja, która wywalczyła sobie status władzy bez określonych kompetencji: to luksemburski trybunał unijny. Niestety po 2018 r. w takim kierunku poszła praktyczna wykładnia reguł działania tego sądu, któremu pozwolono na zajmowanie się wszystkim, czymkolwiek tylko zechce, i wydawania orzeczeń obowiązujących zarówno Unię, jak i państwa członkowskie.

Ów 2018 r. jest pamiętny, gdyż to właśnie wtedy (zresztą pod presją byłych polskich prezydentów) KE zażądała od trybunału, aby *de facto* wymusił na Polsce daleko posuniętą zmianę jej ustroju. Na tym precedensie została zbudowana obecna potęga polityczna tego sądu, który stał się czymś na kształt antycznego ateńskiego areopagu, mogącego wszystko i żądającego bezwzględnego posłuszeństwa. To właśnie dlatego w ostatnich dniach luksemburski sąd mógł bez podstaw traktatowych wydać wyrok nakazujący Polsce prawne uznanie zawartych za granicą tzw. małżeństw homoseksualnych. I przecież rzecz nie w tym, czy Polska ma wprowadzić do swego prawa ów dziwoląg obyczajowy, czy też nie, ale o to, że ma go wprowadzić pod przymusem, który jest pozaprawny, ale udaje prawo. Bez drastycznego ograniczenia materii, którymi może się zajmować luksemburski trybunał, żadna rozsądna reforma Unii się nie uda.

Niestety prezydent nie wspomniał o tym w Pradze ani jednym słowem. To m.in. ten brak sprawia, że na dobrą sprawę żaden z wielkich celów, słusznie postawionych przez Nawrockiego w diagnostycznej części odczytu, nie może zostać osiągnięty za pomocą powierzchownych i słabo przemyślanych reform, przedłożonych przez prezydenta w jego ośmiu postulatach.

eprasa.pl 0bd28120fa

„ŁAP GIGA FOODZIKI W ŻABCE”!

Ponad 1,5 mln nagród do wygrania w jedynej takiej loterii w Polsce

W sklepach Żabka rozpoczęła się ogólnopolska loteria „Łap GIGA Foodziki w Żabce dzięki zdrapce”, w której do wygrania jest ponad 1,5 mln nagród o łącznej wartości przekraczającej 8 mln zł, w tym GIGA maskotki, breloczki oraz bony zakupowe. Osoby, które dokonają zakupów za minimum 30 zł, mogą otrzymać zdrapkę z szansą na jedną z nagród. Loterii towarzyszy uruchomienie gry na platformie Roblox, powiązanej z postaciami Foodzików*

Klienci chętnie angażują się w programy lojalnościowe, dlatego chcieliśmy zaproponować im coś naprawdę unikalnego. W Żabce zależy nam, by codzienne wybory klientów były zauważane i nagradzane, dlatego przygotowaliśmy autorską kolekcję GIGA maskotek, breloczków oraz wyjątkowych naklejek przedstawiających postaci z Żabka Menu, które klienci poznają w naszych działaniach digitalowych – także na platformie Roblox. Dodatkowo oferujemy im szansę zdobycia wyjątkowych nagród. Dzięki takim inicjatywom budujemy pozytywną społeczność wokół marki – opartą na radości, zabawie i realnym zaangażowaniu – mówi Jerzy Roguski, Chief Commercial Officer w Żabka Polska.

1,65 MLN NAGRÓD DO ZDOBYCIA

Każda osoba, która od 19 listopada br. zrobi zakupy w Żabce za minimum 30 zł*, może otrzymać zdrapkę. Zdrapki kryją różnorodne nagrody rzeczowe oraz produktowe, klienci mogą wygrać m.in.: GIGA maskotki (wysokość 120 cm, dostępne cztery różne postacie) i breloki, których imiona i wygląd nawiązują do cieszących się zainteresowaniem klientów produktów z oferty Żabka Menu. Są to: trójkątna kanapka Czaruś, hot dog Dożek, Frytka, burger Bułas lub pizza Slajsik. Breloki znajdują się w specjalnych opakowaniach niespodziankach, a klienci dodatkowo będą mogli je zakupić w sklepach w cenie 14,99 zł za sztukę.

W puli nagród znalazły się też produkty marek własnych sieci, m.in. przekąski Haps! (różnorodne orzechy i suszone owoce) oraz smoothie Foodini i lemoniady Wycisk, ciepłe przekąski – hot dogi i frytki, a także inne produkty znanych marek: rogale 7Days, serki i skyry Danio, napój Tymbark oraz bony na zakupy w sklepach sieci o wartości 5 zł. Nawet jeśli osoba biorąca udział w loterii nie znajdzie nagrody pod zdrapką, to po okazaniu losu sprzedawcy otrzyma naklejkę z Foodzikiem.

Klienci, którzy wylosują breloczki, bony, ciepłe przekąski czy produkty spożywcze, mogą zgłosić wygraną w sklepie do 23 grudnia br. Wygranie GIGA maskotki należy zarejestrować na specjalnie w tym celu uruchomionej stronie internetowej, a skiny do gry Roblox – bezpośrednio na platformie.

GRA „ŁAP FOODZIKI” JUŻ NA ROBLOXIE

Loterię zainicjowało uruchomienie gry „Łap Foodziki” na znanej platformie Roblox, której bohaterami są animowane maskotki Czaruś, Dożek, Frytka, Slajsik i Bułas. Zasady gry są proste – trzeba złapać Foodzika i utrzymać go jak najdłużej. Różnorodną oprawę graficzną gwarantują m.in. skiny dla graczy w motywie Foodzików, czyli nakładki zmieniające wygląd postaci. Skiny można także wygrać w loterii – pula obejmuje aż 200 tys. skinów w grze Roblox oraz 8 tys. skinów Roblox Free UGC.

„Łap Foodziki” to kolejna gra Żabki, która zasiliła platformę Roblox. Kilka lat temu firma umieściła na niej grę z elementami edukacyjnymi „Żabka Run: Porcja DobreGO!”, promującą wśród młodych ludzi dobre nawyki żywieniowe.

Spot reklamowy, szczegóły i regulamin loterii: https://www.foodziki.zabka.pl

* Loterią objęte są wszystkie towary dostępne w sprzedaży w sklepach Żabka z wyjątkiem napojów alkoholowych (z wyłączeniem piwa), wyrobów tytoniowych i nikotynowych, papierosów elektronicznych, pojemników zapasowych, wyrobów ziołowych do palenia, woreczków nikotynowych lub rekwizytów tytoniowych oraz produktów imitujących powyższe wyroby, a także preparatów i przedmiotów służących do początkowego żywienia niemowląt. W przypadku dowodów zakupu, na których widnieją produkty wyłączone z loterii, podstawą do wzięcia udziału w loterii będzie kwota dowodu zakupu pomniejszona o wartość wyłączonych produktów. Loteria nie obejmuje zakupów dokonanych w kasach samoobsługowych i w sklepach Żabka Nano.

Artykuł sponsorowany | 07/0825/F
Fot. Sylwia Maciuk

eprasa.pl 0bd28120fa

Antypolonizm czy niezręczność?

Wydawało się, że nie ma takiej sprawy, w której nasi liderzy polityczni mieliby wspólne zdanie. A jednak

JERZY SZMIT

Wypowiedź Instytutu Yad Vashem na platformie X zaczynająca się od słów: „Polska była pierwszym krajem, gdzie Żydzi zostali zmuszeni do noszenia wyróżniającej ich odznaki, w celu odizolowania ich od otaczającej ludności" połączyła w jednakowym oburzeniu wszystkie liczące się siły polityczne w naszym kraju.

Po polskich interwencjach Instytut zamieścił jedynie niewiele mówiące „doprecyzowanie komunikatu", w którym nie zdystansował się jednak od głównego przekazu. „Polska rzeczywiście znajdowała się pod niemiecką okupacją, co znajduje wyraźne odzwierciedlenie w naszych materiałach. Wszelkie inne interpretacje są błędnym odczytaniem naszego zaangażowania w zapewnienie dokładności" – czytamy wpis Daniego Dayana, przewodniczącego jerozolimskiego Instytutu.

Tłumacząc to na język potoczny: gadajcie sobie, co chcecie, a my (Yad Vashem), wiemy swoje.

Trudno uznać ten wpis za przypadek albo niechlujstwo autora – Instytut, utrzymując dotychczasową treść, potwierdził swoje intencje, a reprezentujący go David Silberklang stwierdził w rozmowie z Radiem Szczecin, że nie mają za co przepraszać. Warto dodać, że komunikat przeczytało 4 mln ludzi na całym świecie, a „doprecyzowanie" – niecałe 400 tys.

FAŁSZYWA NARRACJA

Czego innego oczekujemy od utworzonego w 1953 r. przez Kneset Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu. Jego zadaniem jest badanie i przekazywanie prawdy historycznej. W takiej sytuacji zawsze naturalne jest pytanie, kto finansuje Instytut. Najwięcej wykładają rząd Izraela i organizacje żydowskie ze Stanów Zjednoczonych. Jednak na liście wspierających są też niemieckie koncerny, przekazujące miliony euro. Yad Vashem prowadzi daleko zaawansowane przygotowania do uruchomienia oddziału w Niemczech. Może to powoduje, że w wypowiedziach Instytutu częściej pojawiają się „polskie akcenty" w wymiarze nieprzychylnym dla Polski.

Trudno zaprzeczyć, że istnieją bardzo silne środowiska – zarówno po stronie polskiej, jak i izraelskiej – zainteresowane podbijaniem napięć między Polakami i Żydami. W Polsce na czele tego nieformalnego lobby stoją Jan Tomasz Gross, Jan Grabowski czy Barbara Engelking. Ta ostatnia zasłynęła stwierdzeniem opisującym sytuację w okupowanej przez Niemców Polsce: „Dla Polaków śmierć to była kwestia biologiczna, naturalna, śmierć jak śmierć. Dla Żydów to była tragedia, dramatyczne doświadczenie, metafizyka". Mimo że ta kuriozalna pod względem medycznym, metafizycznym, filozoficznym, a przede wszystkim po prostu ludzkim wypowiedź wywołała liczne protesty, autorka nie wycofała się z niej (nie mówiąc już o słowie „przepraszam"). Dwaj wcześniej wymienieni – Jan Tomasz Gross i Jan Grabowski cały swój wysiłek poświęcają dowodzeniu, że Polacy razem z Niemcami/nazistami doprowadzili do zagłady Żydów. Tyle że ich zdaniem Niemcy/naziści robili to, bo funkcjonowali w systemie i takie były czasy, a Polacy – dobrowolnie i z chęci zysku.

Niestety współbrzmią z tym kuriozalne wypowiedzi na forum międzynarodowym. Barbara Nowacka, minister edukacji narodowej, w rocznicę wyzwolenia niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz-Birkenau stwierdziła: „Na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy, które były obozami pracy, a potem stały się obozami masowej zagłady". Gdy pojawił

Fot. NAC

eprasa.pl 0bd28120fa

się ostry sprzeciw, Nowacka stwierdziła, żeby było to „oczywiste przejęzyczenie". Pierwsza wypowiedź poszła w świat, powielona przez mainstreamowe media. Za to Nowacka dba o to, aby w polskiej szkole nie wspominano o Polakach ratujących Żydów, w tym o rodzinie Ulmów, która zapłaciła za to życiem, i o. Maksymilianie Kolbem, zamordowanym w Auschwitz.

Nawet prezydent USA Barack Obama 16 sierpnia 2017 r. użył pojęcia „polskie obozy zagłady" w oficjalnym wystąpieniu. Przecież sam tego nie wymyślił. Po zwróceniu uwagi na oczywisty fałsz były tłumaczenia i sprostowania, ale znowu główny przekaz poszedł w świat.

NIE CHCĄ PRZEPRASZAĆ

Z używaniem pojęcia „polskie obozy koncentracyjne" od lat walczą prawnicy Stowarzyszenia Patria Nostra z mecenasem Lechem Obarą na czele. W jednej z takich spraw reprezentują oni 100-letniego dziś Stanisława Zaleskiego, byłego więźnia obozów Auschwitz, Gusen, Mauthausen-Gusen i Pawiaka. W 2017 r. Zalewski wniósł sprawę przeciwko bawarskim mediom, które użyły określenia „polski obóz" wobec obozu zagłady w Treblince. Domaga się przeprosin i wpłacenia 50 tys. zł na cel społeczny.

Sprawa się toczy. 26 listopada br. sąd apelacyjny w Warszawie odniósł się do orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który na wniosek strony niemieckiej stwierdził, że w tej sprawie „brak polskiej jurysdykcji, czyli polskie sądy nie mogą orzekać". – Przed nami trudna decyzja, czy walczyć dalej o przeprosiny i zakaz dalszych publikacji, czy poprzestać na odszkodowaniu – mówi nam Szymon Topa z kancelarii Lecha Obary. Sąd apelacyjny dopuścił możliwość dochodzenia roszczeń majątkowych, ale uznał orzeczenie TSUE w zakresie wyłączenia polskich sądów z rozpatrywania tej sprawy w zakresie żądania przeprosin, czyli roszczeń niemajątkowych.

NADZIEJA W NOWYM AMBASADORZE

Stosunki polsko-żydowskie nadal są pełne sprzecznych emocji. Ważną próbą wyjścia z tej niszczącej sytuacji była deklaracja premierów Mateusza Morawieckiego i Binjamina Netanjahu podpisana 27 czerwca 2018 r. Zawiera ona m.in. zapisy potępiające na równi antysemityzm i antypolonizm. Co więcej, jest tam jednoznaczny sprzeciw wobec przypisywania Polsce i całemu narodowi polskiemu zbrodni i okrucieństw popełnionych przez „nazistów i ich kolaborantów z różnych krajów". Ta deklaracja jest niezwykle ważna, ale niestety zapomniana. Premier Izraela po raz pierwszy bowiem wypowiedział się oficjalnie, negując rozpowszechniane twierdzenia i sugestie o polskim sprawstwie zbrodni popełnianych na Żydach przez Niemców na terenie okupowanej Polski. Przypominajmy ten dokument, używajmy go w dyskursie na arenie międzynarodowej. Michał Karnowski apelował na łamach tygodnika „Sieci", aby treść komunikatu trafiła do zbioru dokumentów urzędowych i edukacyjnych. Tak się nie stało.

> Yad Vashem prowadzi przygotowania do uruchomienia oddziału w Niemczech. Może to powoduje, że w wypowiedziach Instytutu częściej pojawiają się „polskie akcenty" w wymiarze nieprzychylnym dla Polski

Wielkie nadzieje na poprawę relacji niesie nowy ambasador USA Tom Rose. Będąc Żydem, jasno wskazuje, że „znana jest narracja, że Polacy byli współwinni, że byli wspólnikami, że byli w najlepszym razie biernymi obserwatorami, a nawet uczestniczyli w mordowaniu Żydów. Narracja ta jest fałszywa z historycznego punktu widzenia. Jest fałszywa także z moralnego punktu widzenia. Jest to oszczerstwo wobec narodu polskiego". Na konferencji International Jewish Lawyers, która odbyła się 19 listopada br. w Warszawie, mówił również: „W rzeczywistości Polska była jedynym krajem w okupowanej Europie, w którym pomoc Żydowi była karana natychmiastową śmiercią – dotyczyło to nie tylko osoby pomagającej, ale całej jej rodziny. A jednak mimo tego niewyobrażalnego ryzyka Polacy pomagali Żydom bardziej niż jakikolwiek inny naród. Obecnie spośród ponad 28 tys. osób uznanych przez Yad Vashem za Sprawiedliwych wśród Narodów Świata ponad 7 tys., czyli aż jedna czwarta, to Polacy. Żaden inny naród nie zbliża się do tego wyniku".

Trzeba zauważyć i docenić tę niezwykle odważną i pełną determinacji próbę otwarcia nowej karty w relacjach polsko-żydowskich. Słowa i postawa Toma Rose'a wywołały zapewne furię w kręgach antypolskich. Przecież tak ważna postać obala budowaną przez dziesięciolecia opowieść o systemowych zbrodniach narodu polskiego na narodzie żydowskim. Dlatego stawiam tezę, że sposób sformułowania wpisu Yad Vashem w sprawie noszenia opasek był świadomą prowokacją ludzi pracujących na rzecz „przemysłu Holokaustu", czego antypolonizm jest bardzo istotną częścią.

Z burzy wywołanej tym komunikatem można wyciągnąć dwa wnioski. Pierwszy: antypolonizm jako element pedagogiki wstydu jest bardzo silny i możemy się spodziewać kolejnych jego przejawów, zarówno w kraju, jak i za granicą. Relacje polsko-żydowskie są bardzo dobrym polem dla tej gry. Drugi wniosek, ze wszech miar pozytywny: ogromny wysiłek, jaki włożyły i wkładają środowiska patriotyczne oraz konserwatywne w budowanie pozytywnego wizerunku Polski przynosi efekty. Reakcja czołowych polskich polityków na wpis Yad Vashem jest tego dowodem. Jeszcze kilka lat temu tak jednoznaczna i spójna reakcja nie byłaby możliwa.

Dlatego sądzę, że przyjdzie czas także na poważne potraktowanie takich dokumentów, jak raport Arkadiusz Mularczyka o stratach i krzywdach, których doznali Polska i Polacy od Niemiec w czasie II wojny światowej. Oczywiście dzisiaj trudno wyobrazić sobie Donalda Tuska mówiącego polskim głosem, ale osiem gwiazdek spadnie z nieba wcześniej czy później.

eprasa.pl 0bd28120fa

Wszyscy mówią o pokoju, ale nie każdy go chce

Droga do pokoju jest długa i kręta. Nawet ci, którzy oficjalnie mówią, że chcieliby zakończenia wojny, suflują takie warunki porozumienia, które raczej oddalają, niż przybliżają tego rodzaju finał

MAREK BUDZISZ

Opublikowanie przez agencję Bloomberga stenogramów dwóch rozmów Steve'a Witkoffa m.in. z Jurijem Uszakowem, w których ten amerykański polityk, specjalny wysłannik Donalda Trumpa do spraw Rosji, instruuje swego rozmówcę, w jaki sposób konstruować plan pokojowy, aby zjednać sobie amerykańskiego prezydenta, ujawnia, że prócz podziałów międzypaństwowych mamy również do czynienia – w związku z rozmowami na temat zakończenia wojny na Ukrainie – z rywalizacją wewnętrzną. I to nie tylko w amerykańskiej elicie władzy.

KONTROLOWANY PRZECIEK

W świetle jednej z interpretacji za „przeciek" odpowiedzialne są amerykańskie służby, niezadowolone – podobnie jak Departament Stanu – z tego, że politykę zagraniczną administracji przejmują nowi ludzie związani z ruchem MAGA, a odsuwani są zwolennicy starej, reaganowskiej linii w Partii Republikańskiej. Do tej drugiej szkoły myślenia zalicza się Marco Rubio, który czytelnie akcentował swoją rezerwę wobec pierwotnego kształtu 28-punktowego planu pokojowego Trumpa.

Druga linia interpretacji tego, „kto stoi za przeciekiem", jest jeszcze bardziej interesująca, bo jej zwolennicy wskazują na Siergieja Ławrowa, który miałby być zaniepokojony rosnącą pozycją Kiriłła

eprasa.pl 0bd28120fa

Dmitriewa, polityka młodszego pokolenia, który zdaniem „kremlinologów" może być rozpatrywany jako następca sędziwego już rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Ten ostatni miałby być zwolennikiem twardego stanowiska negocjacyjnego Rosji, bo niepowodzenie rozmów stanowiłoby też osobistą klęskę Dmitriewa i wzmacniało pozycję Ławrowa. Brytyjski dziennik „The Telegraph" przypomniał, że kiedy kilka tygodni temu Marco Rubio rekomendował Trumpowi przerwanie rozmów z Rosjanami, bo ci nie zrezygnują „ze swych maksymalistycznych żądań", powoływał się na swe rozmowy telefoniczne z Ławrowem, który w świetle tej argumentacji mógł celowo zaostrzać rosyjskie stanowisko, nie będąc zainteresowanym sukcesem.

KWESTIE SPORNE POROZUMIENIA

Czy negocjacje amerykańsko-rosyjskie w sprawie zakończenia wojny przyniosą zatem przełom? Tego nie wiadomo, ale szukając odpowiedzi na to pytanie, warto zwrócić uwagę, że przeciwnicy zakończenia konfliktu są liczniejsi, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, a niektórzy z nich wręcz przywdziali strój obrońców interesów Ukrainy.

Po negocjacjach w Genewie Donald Trump powiedział, że „jeszcze kilka punktów wymaga doprecyzowania" i wycofał się ze swego wcześniejszego stanowiska, w świetle którego miniony czwartek miał być ostatecznym terminem przyjęcia przez Kijów planu pokojowego. Teraz nie ma mowy o konkretnych datach, ale amerykański prezydent jest zdania, iż „czynimy postępy", a Rosja – jego zdaniem – jest gotowa do ustępstw. Ich zakres pozostaje jednak ograniczony, o czym w publicznych wystąpieniach mówili zarówno minister Uszakow, doradzający Putinowi w kwestiach polityki zagranicznej, jak i szef dyplomacji Ławrow. Zdaniem tego ostatniego, jeśli plan pokojowy zaprezentowany przez Amerykanów będzie znacząco odbiegał od „ducha Anchoridge", to Moskwa nie zaakceptuje tego rodzaju płaszczyzny porozumienia. „Kropkę nad i" postawił też przebywający z oficjalną wizytą w Kirgistanie Władimir Putin. Oświadczył, że Rosja jest gotowa „walczyć do momentu, w którym ostatni Ukrainiec będzie żywy", jej armia „jest nie do pokonania" i Ukraina, chcąc zakończyć wojnę, będzie musiała się pogodzić z utratą części terytorium. Tego rodzaju retoryka ma na celu podkreślenie własnej determinacji i paradoksalnie takie wypowiedzi świadczą o tym, że pokój jest być może bliżej, niż się to wszystkim wydaje.

Warto się jednak zastanowić, co Rosjanie mają na myśli, mówiąc o zawarciu porozumienia „w duchu Anchorage", czyli ustaleń, które ich zdaniem zapadły w czasie rozmów na Alasce. Nie chodzi raczej o kwestie związane z Europą, bo te elementy pierwotnego 28-punktowego „planu Trumpa" zostały wydzielone i znajdą się w odrębnym dokumencie, co zresztą spowodowało, iż obecnie jest mowa o 19-punktowym projekcie porozumienia. Wydaje się, że zastrzeżenia Rosji mogą budzić trzy kwestie.

Pierwszą jest brak zgody na wycofanie sił ukraińskich z nieokupowanej części Donbasu, bo Europejczycy stoją na stanowisku, iż obecna linia przebiegu frontu powinna się stać linią demarkacyjną. Dan Driscoll mówił jeszcze w Kijowie, że oceny amerykańskich wojskowych wskazują na to, iż Ukraina i tak utraci kontrolowane jeszcze przez siebie resztki obwodu donieckiego. To tylko kwestia czasu, bo dysproporcja sił rysuje się już dość wyraźnie. W takim ujęciu nie ma sensu – jak napisał Donald Trump w serwisie społecznościowym The Truth – „upierać się". Mimo to Europejczycy konsekwentnie zajmują w tej kwestii odmienne stanowisko.

Drugą kwestią sporną jest wielkość ukraińskiej armii i jej zdolności. Pierwotnie mówiło się, że po zawarciu pokoju miałaby ona zostać „zmniejszona o połowę", co niektórzy komentatorzy interpretowali w ten sposób, że jej potencjał osobowy miałby wynosić 400 tys. żołnierzy. Potem ujawniono, iż w planie Trumpa jest mowa o 600-tysięcznej armii, a Europejczycy chcą, aby liczyła ona 800 tys. żołnierzy. Nawet gdyby udało się przeforsować pierwotne propozycje, i tak oznaczałoby to, że po wojnie Ukraina będzie utrzymywała znaczący potencjał, bo 600 tys. to więcej niż 225 tys., a tyle osób liczyły ukraińskie siły zbrojne przed wybuchem wojny. W czasie rozmów w Stambule wiosną i latem 2022 r. Rosjanie chcieli, aby Ukraina zredukowała swą armię do 185 tys. ludzi i zrezygnowała z niektórych zdolności, w tym do atakowania celów zlokalizowanych na rosyjskich tyłach. Ta kwestia też zniknęła „po drodze" z propozycji pokojowych, bo pierwotne zapowiedzi mówiły o rezygnacji z posiadania rakiet dalekiego zasięgu. Trudno jednak mieć nadzieję, że Rosjanie, regularnie atakowani dronami dalekiego zasięgu, „nie zauważą" tej zmiany i problem nie wróci, kiedy zaczną się regularne rokowania pokojowe.

Trzecią kwestią sporną są gwarancje pokojowe dla Ukrainy i ewentualna obecność wojskowych z państw NATO na jej terytorium już po zakończeniu aktywnej fazy działań. Premier Wielkiej Brytanii, zabierając już po rozmowach w Genewie głos w tej sprawie, deklarował, iż „musimy pokazać Rosjanom, że poważnie podchodzimy do gwarancji bezpieczeństwa", co zdaniem Starmera musi się wiązać z wysłaniem wojska na Ukrainę. Nie chodzi o duży potencjał, bo jak z kolei ujawnił Emmanuel Macron, siły gwarancyjne powinny być umieszczone „w strategicznie ważnych miejscach", takich jak Kijów czy Odessa. Co ciekawe, przywódca Francji ujawnił również, że Turcja może się stać jednym z państw, których żołnierze pojawią się na Ukrainie. Ta kwestia jest o tyle istotna, że liderzy państw naszego kontynentu doskonale zdają sobie sprawę, iż bez rzeczywistego wkładu w powojenny ład oraz zaangażowania wymiernych sił pozycja Europy będzie słaba i zarówno Stany Zjednoczone, jak i Rosja, a także Ukraina z czasem będą ją kwestionowały. Tym bardziej w świecie, w którym w coraz większym stopniu będzie się liczył potencjał wojskowy – a najbogatsze państwa zachodniej części naszego kontynentu łącznie mają armie mniejsze niż Ukraina, nie mówiąc już o wyszkoleniu i doświadczeniu żołnierzy.

Dlaczego zatem orędują za utrzymaniem przez Kijów dużych sił zbrojnych już po osiągnięciu pokoju? Możliwe są dwa wyjaśnienia, obydwa równie uprawnione i niewykluczające się wzajemnie. Ukraina nie będzie w stanie utrzymać ani 800-tysięcznej, ani nawet 600-tysiecznej armii. Państwo zrujnowane wojną, z PKB mniejszym niż 200 mld dol., które, aby normalnie funkcjonować, musi dostawać szacowaną na 40 mld dol.

Fot. Press Service Of The President Of Ukraine

eprasa.pl 0bd28120fa

zagraniczną „kroplówkę", nie utrzyma z własnych zasobów tak dużych i dobrze wyposażonych sił. Jeśli zatem Europa będzie chciała uniknąć repetycji wojny, to bogaty Zachód będzie utrzymywał Ukrainę i jej siły zbrojne. W nowej formule wrócą Kozacy rejestrowi. Już to zresztą widzimy, bo kanclerz Merz zapowiedział, iż w przyszłym roku niemiecka pomoc finansowa dla Kijowa wyniesie 12 mld euro.

EUROPA GRA NA CZAS

Jednocześnie Zachód, zaostrzając warunki pokoju, „gra na czas", bo przedłużanie wojny daje szansę na to, że Niemcy czy Francuzi zdążą ze ślimaczącym się procesem rozbudowy ich sił zbrojnych. „Można odnieść wrażenie, że niektórzy w Paryżu i Berlinie mają problemy wewnętrzne i chcą kontynuować wojnę" – powiedział w rozmowie z „La Repubblica" Mateo Salvini, wicepremier w rządzie Giorgii Melloni. W świetle tej argumentacji Europa Zachodnia w gruncie rzeczy gra na czas kosztem Ukrainy. Potrzebuje go więcej, aby zmodernizować i rozbudować własne siły zbrojne i móc w przyszłości skuteczniej powstrzymywać Rosję. Na razie te działania idą bardzo opieszale.

Rząd Merza, który dąży do budowy „największej armii lądowej Europy" – jak kanclerz sam oświadczył w jednym z wywiadów – w przyszłym roku zamierza powiększyć Bundeswehrę o 1750 żołnierzy. Podobnie Francja, której prezydent na początku roku przyznał, że eksperyment z państwową służbą młodzieży SNU – co miało być pierwszym krokiem na rzecz przywrócenia poboru powszechnego – się nie powiódł i teraz Paryż szuka innych rozwiązań. Jednym z nich ma być powrót – po trzech dekadach od zawieszenia – do ochotniczej służby wojskowej, ale ogłoszone plany przewidują na razie szkolenie w tej formule 2–3 tys. ochotników rocznie. Ta liczba ma wzrosnąć do nawet 10 tys., ale dopiero po 2030 r. Do tego czasu francuska armia, licząca 200 tys. żołnierzy, chce rozbudować liczebność aktywnej rezerwy z obecnych 47 tys. do 80 tys. ludzi.

Trudno to uznać za wyraz mocarstwowych możliwości i dlatego Europejczykom z Zachodu jest potrzebna rozbudowana armia ukraińska, która miałaby liczyć więcej żołnierzy niż połączone siły zbrojne Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Na Ukraińców liczą też Bałtowie, planujący organizowanie u siebie sił cudzoziemskich. Na początku października parlament Łotwy zatwierdził nowelizację ustawy, w świetle której ochotnicy z państw takich jak Brazylia czy Nowa Zelandia i docelowo też Ukraina będą mogli się zaciągnąć w szeregi tamtejszych sił zbrojnych. Litwini z kolei zastanawiają się, czy nie ściągnąć do siebie – prócz niemieckiej – również ukraińskiej brygady, a Estończycy już w ubiegłym roku rozpoczęli zmiany w swojej legislacji, których celem ma być m.in. umożliwienie służby wojskowej cudzoziemcom.

> Zaostrzając warunki pokoju, Zachód „gra na czas", bo przedłużanie wojny daje szansę na to, że Niemcy czy Francuzi zdążą ze ślimaczącym się procesem rozbudowy ich sił zbrojnych

Leon de Winter, holenderski pisarz publikujący stałe felietony w niemieckim konserwatywnym „Die Welt", napisał, że „nie chce", aby „jego syn umierał za Donbas", a tak może się skończyć zaangażowanie państw europejskich we wspieranie Ukrainy i faktyczne działanie na rzecz przedłużania wojny. Jego zdaniem „brukselscy biurokraci [...] wykorzystują tragedię Donbasu do realizacji swoich marzeń o narodzinach europejskiej armii, konieczności kontrolowania opinii publicznej i filtrowania internetu, wprowadzenia cyfrowej waluty i rozmontowania europejskich państw narodowych".

Zagrożenie wojną, rosyjską agresją i podkreślanie konieczności „jednoczenia się" jest w takiej interpretacji parawanem skrywającym rzeczywiste, znacznie mniej chwalebne intencje europejskich polityków. De Winter – podobnie jak choćby przedstawiciele AfD, z którą ten pisarz nie jest związany – jest zdania, że ceną przedłużającej się wojny może być utrata przez Europejczyków wolności i dlatego trzeba ją szybko kończyć. Rachuby strategiczne związane z ryzykiem repetycji – kolejnej rosyjskiej agresji za kilka lat – są w takich rozważaniach nieobecne, bo Europejczycy w swej masie nie czują się zagrożeni przez Rosjan i ogólnie patrzą na Wschód jak na „inny świat", który trudno zrozumieć, a jeszcze lepiej trzymać się odeń z daleka.

Niektórzy ukraińscy komentatorzy są zdania, że Zełenskiemu i jego otoczeniu też wcale może nie zależeć na szybkim pokoju. „Będą kradli tak jak dawniej i grali na czas" – argumentują.

Dan Driscoll, wiceszef Pentagonu, prywatnie przyjaciel amerykańskiego wiceprezydenta, spotkał się w Abu-Zabi z Kyryłem Budanowem, szefem ukraińskiego wywiadu wojskowego, i nieujawnionymi z nazwiska przedstawicielami Rosji. Uważa się, że negocjowano „techniczne" warunki zawieszenia broni, a obecność Budanowa w tym gronie ma związek zarówno z sytuacją polityczną na Ukrainie, jak i tym, że nawet w czasie wojny wywiady Ukrainy i Rosji utrzymywały otwarte kanały komunikacji. Szef ukraińskiego wywiadu wojskowego często jest wymieniany – obok gen. Załużnego – jako jeden z możliwych rywali Zełenskiego w wyborach prezydenckich. Nie jest tak popularny jak obecny ambasador Ukrainy w Wielkiej Brytanii, ale jeśli ten nie wystartuje – a to nie jest przesądzone – to właśnie Budanow może zebrać głosy „ludzi w mundurach" i rzucić wyzwanie Zełenskiemu. W Kijowie pojawiają się opinie, że jego pojawienie się w czasie rozmów z Rosjanami jest sprytnym zabiegiem obozu Zełenskiego, który chce, aby to szef wywiadu wojskowego, a nie prezydent był „ojcem" porozumienia o oddaniu Rosjanom części terytorium Ukrainy.

Jak widać, droga do pokoju jest długa i kręta. Nawet ci, którzy oficjalnie mówią, że chcieliby zakończenia wojny, suflują takie warunki porozumienia, które raczej oddalają, niż przybliżają tego rodzaju finał.

Reklama | 08/0425/F/ZAL

eprasa.pl 0bd28120fa

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

Kto tu naprawdę pisze

Pisma procesowe z odniesieniami do nieistniejących paragrafów i orzeczeń, książki zawierające zmyślone przypisy i cytaty. Narzędzia AI, choć mogą być pomocne, często wytwarzają to, co eksperci nazywają mułem. Z poważnymi konsekwencjami

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Sztuczna inteligencja ma wykonywać za nas żmudną i nudną pracę, ale tworzy przy tym zaskakująco dużo bałaganu. A popełnione przez nią błędy mogą kosztować więcej niż tylko pieniądze – mogą zniszczyć reputację i zaufanie.

Utarło się już nawet określenie na kiepskie wyniki narzędzi AI: „Slop". Dosłowne tłumaczenie z angielskiego to: błoto, szlam, muł. Często oznacza to, że sprawdzenie błędów ChataGPT czy innych narzędzi jest bardziej czasochłonne, niż gdyby samemu wykonało się dane zadanie. Jak choćby sporządzanie przypisów w książce.

Przekonała się o tym Karolina Opolska, dziennikarka TVP Info, wykładowczyni dziennikarstwa oraz autorka książki „Teoria spisku, czyli prawdziwa historia świata", która ukazała się w wydawnictwie Harde. Historyk i bloger Artur Wójcik zauważył, że część źródeł podawanych w książce nie istnieje. W dość przypadkowy sposób zostały wygenerowane przez AI. Wydawnictwo i autorka najpierw zaprzeczali, a potem obiecali erratę. Jak pisze Wójcik na portalu X, czytelnicy do dziś się jej nie doczekali, a książka, choć zniknęła ze sprzedaży internetowej, dalej jest do kupienia choćby na poczcie. „Wychodzi więc na to, że można wymyślać przypisy, bezrefleksyjnie korzystać z narzędzi AI, kompromitując siebie i zawód dziennikarza i niewiele z tego wynika" – podsumował historyk.

GŁOS NA WAGĘ ZŁOTA

Ale sztuczna inteligencja to nie tylko narzędzie do wyszukiwania źródeł – mamy już prezenterki i influencerki AI, śledzone na Instagramie czy TikToku przez miliony ludzi. A także porady medyczne i prawne udzielane przez chatboty oraz wygenerowane przez sztuczną inteligencję postacie w reklamach, a czasami tylko ich głos, który jest „pożyczony" od jakiegoś aktora czy muzyka celebryty. Na ogół bez jego wiedzy.

Ostatnio producent szamb przywłaszczył sobie do reklamy głos znanego lektora Jarosława Łukomskiego, nie informując go o tym. Za pomocą swojego pełnomocnika – banku głosów Mikrofonika – Łukomski pozwał firmę, którą zapewne byłoby stać, by zamówić u lektora odpowiedni materiał, ale wolała odtworzyć jego głos za pomocą AI, bo to „za darmo".

W dobie sztucznej inteligencji problem własności intelektualnej staje się coraz bardziej palący. W 2024 r. indyjski wokalista Arijit Singh, użyczający w filmach swojego głosu największym gwiazdom Bollywoodu – w każdym razie tym, które nie potrafią śpiewać – pozwał firmę Codible Ventures za to, że wykorzystywała narzędzia sztucznej inteligencji do syntezy nagrań jego głosu, czyli praktyki znanej jako „klonowanie". Firma umieściła również wizerunek Singha w swoich reklamach, oczywiście bez jego zgody. Wokalista ma ponad 138 mln słuchaczy na Spotify (więcej od Taylor Swift, której głos także został już wielokrotnie sklonowany, m.in. przez

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0bd28120fa

oszustów kuszących swe ofiary darmowymi garnkami).

Sąd w Mumbaju orzekł, że imię, głos, a nawet technika śpiewania, wizerunek, podobizna, osobowość oraz inne cechy Singha są chronione i należą tylko do niego, a tworzenie za ich pomocą „towarów, domen i zasobów cyfrowych jest nielegalne". Przede wszystkim narusza jednak zaufanie odbiorców.

WSZYSTKO ZMYŚLONE

Tym smutniejsze jest to, że renomowane firmy, kancelarie adwokackie, a nawet politycy sięgają po narzędzia AI, a następnie nie weryfikują „mułu", który im one dostarczają. Firma doradcza Deloitte musi zwrócić rządowi Australii część zapłaty za raport zawierający popełnione przez AI błędy, w tym wymyślone cytaty z orzeczeń sądowych. Raport dotyczył audytu przestrzegania prawa przez jedno z ministerstw. Według Deborah O'Neill, australijskiej polityk Partii Pracy, skandal ten każe zadać pytanie, czy warto zatrudniać firmy takie jak Deloitte, czy „lepiej byłoby od razu wykupić subskrypcję ChatGPT". Będzie taniej.

Tymczasem brytyjscy dziennikarze znaleźli w przemówieniach posłów zaskakująco dużo słów i sformułowań pochodzących z amerykańskiego angielskiego – takich, które są chętnie używane przez chatboty. Te same błędy można zresztą coraz częściej znaleźć także w pismach procesowych adwokatów. A tu konsekwencje mogą być bardzo poważne, o czym przekonał się prawnik z Kalifornii. Amir Mostafavi złożył odwołanie od wyroku w sądzie pracy, ale 21 z 23 przypadków, na które się powołał na poparcie swojej argumentacji, było fałszywych – wymyślonych przez sztuczną inteligencję – lub zawierało fałszywe cytaty z istniejących spraw. We wrześniu sąd skazał go za to na grzywnę w wysokości 10 tys. dol. Przy okazji Mostafavi stracił reputację, dotąd nieskazitelną.

Podobny los spotkał w 2023 r. adwokata w Nowym Jorku po złożeniu pisma procesowego, w którym powołał się na nieistniejące precedensy wygenerowane przez ChatGPT. Prawnik przyznał się, że ich nie zweryfikował, bo „nie miał pojęcia, że AI może zmyślać fakty". Sąd nałożył na niego grzywnę w wysokości 5 tys. dol. W podobnej sprawie w Teksasie miejscowy adwokat miał więcej szczęścia – wysłano go na kurs etycznego wykorzystania sztucznej inteligencji.

NIEODZOWNE NARZĘDZIE

Fałszywe cytaty, nieistniejące orzeczenia i zmyślone paragrafy można znaleźć – według niemieckiego tygodnika „Der Spiegel" – w szokująco dużej liczbie dokumentów prawnych. Nie tylko w USA, lecz także w Europie. W internetowej bazie danych stworzonej przez francuskiego prawnika Damiena Charlotina udokumentowano już prawie 600 przykładów. Baza ta ujawnia niepokojący trend: podczas gdy wczesne incydenty dotyczyły głównie osób samodzielnie reprezentujących się w procesach, najnowsze dane wskazują, że za te błędy coraz częściej odpowiadają profesjonalni adwokaci. Mają oni do dyspozycji wiele narzędzi AI, bowiem giganci big tech zacięcie walczą o klientów z branży. Amerykańska firma OpenAI ze swoim „ChatGPT dla prawników" konkuruje z brytyjską Luminance, francuską Jimini i szwedzką platformą Leela.

„Sporządzanie dokumentów, weryfikacja faktów, analiza proceduralna, synteza. W zależności od zadania możemy zaoszczędzić godziny, a nawet całe dni pracy" – wyjaśnia w rozmowie z francuskim dziennikiem „Le Figaro" mecenas Julien Roux, partner zarządzający firmy A&O Shearman we Francji. Według niego w przypadkach, takich jak fuzje i akwizycje, wymagających wygenerowania tysięcy stron dokumentów, sztuczna inteligencja jest „nieodzowna".

W odpowiedzi na głębokie zmiany, jakie sztuczna inteligencja przyniosła w zawodzie prawnika, Francuska Narodowa Rada Adwokacka (CNB) uruchomiła program szkoleniowy z zakresu sztucznej inteligencji dla 78 tys. prawników i 6 tys. studentów nad Sekwaną.

SZERZENIE DEZINFORMACJI

Raczej nie rozwiąże to problemu „zmyślania" i przekręcania faktów przez AI, a zaufanie, którym prawnicy darzą te narzędzia, może budzić tylko niepokój. W lutym br. brytyjski nadawca publiczny BBC, który „z entuzjazmem chce rozwijać narzędzia AI", sprawdził, jak działają ChatGPT, Copilot firmy Microsoft, asystent Google'a, czyli Gemini, oraz Perplexity, wykorzystujące duże modele językowe. Zadano im 100 pytań bazujących na artykułach zawartych na stronie internetowej BBC. Jak pisze dziennik „The Guardian", jedna piąta odpowiedzi zawierała błędy rzeczowe, jak choćby stwierdzenie, że polityk torysów Rishi Sunak jest premierem Wielkiej Brytanii. 13 proc. cytatów zaczerpniętych z BBC zostało zmienionych lub w ogóle nie występowało w cytowanych artykułach. Na pytanie, czy skazana za morderstwa niemowląt w szpitalach pielęgniarka Lucy Letby jest winna, ChatGPT odpowiedział: „O tym powinien każdy sam zdecydować". Już wcześniej firma Apple musiała zrezygnować z rozsyłania generowanych przez AI newsów sygnowanych logiem BBC na telefony użytkowników, po tym jak wiele z nich okazało się całkowicie fałszywych. W jednym AI twierdziło, że Luigi Mangione, zabójca prezesa amerykańskiego ubezpieczyciela UnitedHealtcare Briana Thompsona, popełnił samobójstwo. Tymczasem Mangione żyje i siedzi w więzieniu. Newsowe alerty rozsyłane przez „The New Tork Times" także zawierały błędy – choćby informację, że premier Izraela Binjamin Netanjahu został aresztowany.

Brytyjski Związek Dziennikarzy wystosował apel o usunięcie tego typu usług, aby „mieć pewność, że nie będą one przyczyniać się do szerzenia dezinformacji, która jest już powszechna i szkodzi dziennikarstwu".

Kradzież wizerunku i głosu, ordynarne fejki, zmyślone dane, fakty oraz cytaty – na razie AI generuje sporo chaosu. Pozostaje pytanie o odpowiedzialność za te wszystkie błędy. Powinna ona leżeć po stronie platform, czyli gigantów big tech, ale na razie spoczywa głównie na ich użytkownikach. Prawnicy, którzy zostali skazani za błędy w pismach procesowych, usłyszeli od sędziów, że to, iż popełnił je chatbot, „nie zwalnia ich od odpowiedzialności karnej".

eprasa.pl 0bd28120fa

W grudniu 1989 r., gdy Polska Rzeczpospolita Ludowa chyliła się ku upadkowi, więzienia stały się areną narastającej frustracji i gniewu. Sejm uchwalił amnestię, która nie objęła recydywistów. W konsekwencji w wielu zakładach karnych doszło do zamieszek. Najbardziej brutalną formę przybrały one w Czarnem, Goleniowie i Nowogardzie

Bunty za kr

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

7 grudnia 1989 r. ponad 1,5 tys. recydywistów opanowało jedno z największych więzień w Polsce – Zakład Karny w Czarnem. Więźniowie usiłowali sforsować bramę, by wydostać się poza mury więzienia i odzyskać wolność. „Zaraz po Teleexpressie skazani z niezwykłą gwałtownością przystąpili do demolowania pomieszczeń, szybko udało się im opanować teren i po zgrupowaniu na ulicy centralnej całą siłą podjęli atak na bramę główną zakładu. Ze względu na duże zagrożenie ludzi p.o. naczelnika więzienia kpt. Andrzej Łamiński podjął decyzję o wycofaniu funkcjonariuszy z terenu zakładu. Skupiono się na obronie bramy głównej, na którą szedł atak, i bronieniu dostępu do magazynów z bronią. Używano petard, gazów, środków obezwładniających, w ostateczności broni. Ten atak został odparty. Wtedy skazani podzielili się na grupy i skierowali na dwie pozostałe bramy" – relacjonował tydzień po wydarzeniach „Tygodnik Pomorze".

Przez kolejne dni Czarne znajdowało się na pierwszych stronach gazet. Zamieszki wybuchały jednak w wielu innych zakładach karnych. I tam napięcie narastało od miesięcy, a wybuch w Czarnem tylko przyspieszył reakcję osadzonych. Dla ludzi znających realia więziennictwa tamtej epoki taki rozwój wydarzeń nie był żadnym zaskoczeniem.

WIĘZIENIA W DOBIE PRZEMIAN

Ostatnie lata PRL były czasem postępującej erozji państwa i coraz wyraźniejszego pękania dotychczasowego porządku. Władza, osłabiona głębokim kryzysem gospodarczym, zadłużeniem i falą strajków, została zmuszona do negocjacji, które doprowadziły do obrad okrągłego stołu oraz częściowo wolnych wyborów w czerwcu 1989 r. Wraz z utworzeniem pierwszego częściowo niekomunistycznego rządu Tadeusza Mazowieckiego rozpoczęła się fala demokratycznych przemian w całym bloku wschodnim.

Choć państwo szybko się zmieniało, wiele obszarów wciąż funkcjonowało według dawnych, często brutalnych zasad. Jedną z nich pozostawał system więziennictwa, który pod wieloma względami nadal tkwił mentalnie w głębokiej komunie.

Polskie więzienia końca lat 80. zmagały się z przepełnieniem, chronicznym niedofinansowaniem i skostniałym modelem nadzoru, przejawiającym się w powszechnej, rutynowej brutalności. Po przekroczeniu murów zakładu karnego zarówno więźniowie kryminalni, jak i polityczni stawali się niewolnikami, bez możliwości egzekwowania swoich praw. Funkcjonariusze służby więziennej posiadali nieograniczoną i w praktyce niekontrolowaną władzę, a stosowanie przemocy było powszechne. Więźniów pod byle pretekstem karano przeniesieniem do izolatki lub zmniejszeniem racji żywnościowych. Tych, którzy sprzeciwiali się strażnikom, najczęściej bito i krępowano pasami.

Fot. PAP

eprasa.pl 0bd28120fa

atami

Codzienność regulowały często bezsensowne przepisy, np. zakaz leżenia na łóżku w ciągu dnia czy surowe ograniczenia dotyczące wyglądania przez okno. Choć kraj przechodził już głęboką transformację polityczną, za murami więzień niemal nic się nie zmieniało, a warunki nadal przypominały realia poprzednich dekad. Napięcie rosło z miesiąca na miesiąc. W takiej sytuacji wystarczyła drobna iskra, by narastające niezadowolenie wybuchło z całą siłą i przerodziło się w otwarty bunt.

OCZEKIWANIA WOBEC RZĄDU MAZOWIECKIEGO

Osadzeni widzieli, że państwo przechodzi głębokie przemiany, lecz ich więzienna rzeczywistość pozostawała niezmieniona. W 1989 r. niezadowolenie sięgnęło zenitu. Przez zakłady karne, areszty śledcze i ośrodki przystosowania społecznego przetoczyła się fala zbiorowych protestów: w 99 spośród 157 jednostek penitencjarnych odnotowano aż 218 wystąpień, w których uczestniczyło łącznie ponad 38 tys. więźniów. Po czerwcowych wyborach nastroje stały się jeszcze bardziej napięte. Więźniowie wysuwali coraz odważniejsze postulaty: domagali się podwyżek za pracę więzienną, poprawy warunków odbywania kary oraz zmian w prawie.

Gdy na początku września pojawiły się pierwsze informacje o przygotowywaniu amnestii, wszystkie inne kwestie zeszły na dalszy plan. W zakładach karnych głośno domagano się uchwalenia jak najszerszego aktu łaski. Takie postulaty wysuwali zarówno osadzeni – dawni opozycjoniści, jak i część parlamentarzystów oraz media.

W całym kraju narastała fala strajków okupacyjnych, obejmujących więzienne pawilony mieszkalne i hale produkcyjne. W niektórych zakładach faktyczną kontrolę nad codziennym funkcjonowaniem zaczęły przejmować komitety więźniów zorganizowane w odpowiedzi na wieloletnie nadużycia i upokorzenia. Centralne władze więziennictwa reagowały nerwowo, dokonując licznych zmian na stanowiskach naczelników i dyrektorów okręgowych, lecz kontrola wymykała się administracji z rąk.

Próbując załagodzić sytuację, władza zdecydowała się na bezprecedensowy konwój czterech skazanych z Nowogardu i Goleniowa do Warszawy, gdzie odbyli rozmowy z ministrem sprawiedliwości o realizacji ich postulatów. Rozwiązaniem pogarszającej się sytuacji było przyspieszenie prac nad amnestią. Okazało się jednak, że przyniosła ona odwrotny efekt.

AMNESTIA

Uchwalona pod koniec 1989 r. amnestia miała się stać symbolicznym gestem i pokazać, że wraz z upadkiem PRL zmienia się również podejście państwa do wymiaru sprawiedliwości. W powojennej Polsce akty amnestii ogłaszano stosunkowo często, zwykle przy okazji ważnych wydarzeń państwowych lub przełomów politycznych. Oprócz tego regulowały one stale zwiększającą się liczbę więźniów w przepełnionych zakładach karnych. Wobec narastających protestów rząd Tadeusza Mazowieckiego wysłał do więzień swoich przedstawicieli i intensywnie pracował nad projektem ustawy. Przez cały czas parlament znajdował się pod silną presją skazanych, którzy grozili rozpoczęciem zbiorowych protestów.

Opublikowana 7 grudnia 1989 r. ostateczna treść ustawy wywołała furię w zakładach karnych i aresztach. Zgodnie z decyzją Sejmu amnestia nie obejmowała recydywistów, czyli grupy wyjątkowo licznej i najbardziej zaangażowanej w protesty. Jednocześnie ustawa zamieniała obowiązujące jeszcze kary śmierci na 25 lat pozbawienia wolności, czyli wówczas najwyższy przewidziany prawem wymiar kary (w Kodeksie karnym nie było dożywocia). Oznaczało to, że osoby skazane za szczególnie ciężkie zbrodnie, w tym seryjni mordercy czy pedofile pokroju Mariusza Trynkiewicza, mogły po latach odzyskać wolność. Przykładowo więźniowie, którzy byli dwukrotnie karani za drobne przestępstwa, nie otrzymywali żadnej ulgi. Ta dysproporcja wywołała gwałtowną reakcję w zakładach karnych i aresztach w całym kraju, stając się bezpośrednią przyczyną buntu.

CZARNE W OGNIU

Protesty wybuchły, gdy 7 grudnia w „Teleexpressie" podano szczegóły ustawy amnestyjnej. W Zakładzie Karnym w Czarnem reakcja była szczególnie gwałtowna. Osadzeni za pomocą łóżek zaczęli wyważać drzwi od cel i wydostawać się na korytarze. Mieli zawczasu przygotowane pałki oraz zdecydowaną przewagę liczebną nad strażnikami, dzięki czemu szybko przejęli kontrolę nad większością zakładu. Nie zdołali jednak sforsować więziennych bram – powstrzymały ich strzały ostrzegawcze oddane przez funkcjonariuszy.

Na terenie zakładu zaczęto wznosić barykady, a w kilku pawilonach więziennych wzniecono pożary. Pojawiły się również przypadki brutalnych samosądów. Jeszcze tego samego dnia siły porządkowe podjęły próbę odbicia obiektu. Podczas regularnej bitwy przebiły się przez dwie linie barykad, jednak trzeciej nie zdołały wobec wznieconego pożaru.

8 grudnia więzienie pozostawało w rękach buntowników, pojawiły się

eprasa.pl 0bd28120fa

także informacje o pierwszych ofiarach śmiertelnych wśród więźniów. Sytuacja w Czarnem zaczęła ponadto docierać do opinii publicznej. Rząd postanowił działać szybko i stanowczo. Następnego dnia, 9 grudnia, ok. 11.00 ruszył decydujący szturm. Do pacyfikacji przystąpiło kilkuset mundurowych. Więźniowie dysponowali łańcuchami, prętami, pałkami oraz jednym pistoletem i ręczną wyrzutnią granatów zdobytymi wcześniej. Oprócz tego zdążyli wznieść wysokie barykady, które dodatkowo podpalili w chwili natarcia. Do akcji najpierw ruszyły spychacze, które rozbijały kolejne linie prowizorycznych fortyfikacji. Za nimi do ataku szły kordony milicjantów i strażników. Z powietrza działali antyterroryści, desantujący się z trzech śmigłowców, użyto również gazu łzawiącego. Po dwóch godzinach walk obrona się załamała, a buntownicy – poddali.

Po opanowaniu sytuacji rozpoczęto przeszukiwanie zniszczonych pawilonów. Mniej więcej połowę więźniów natychmiast przewieziono do innych zakładów, w Czarnem pozostało ok. 800 osadzonych. Bilans wydarzeń był dramatyczny. W Czarnem rannych zostało ponad 300 więźniów i ponad 100 funkcjonariuszy. Zabitych zostało 6 więźniów. Do dziś nie ustalono, ilu z nich zginęło od kul, a ilu w wyniku wewnętrznych porachunków.

STARCIA DŁUGIE I BRUTALNE

Czarne nie było jedynym miejscem, w którym więźniowie przejęli kontrolę nad zakładami karnymi. W Goleniowie, gdzie napięcie narastało od wielu tygodni, osadzeni odebrali strażnikom klucze i wypuścili wszystkich skazanych z cel. Po opanowaniu dwóch pawilonów mieszkalnych zorganizowali obronę, wznosząc barykady i przygotowując prowizoryczną broń. Podobnie jak w Czarnem, także tutaj używano ognia do powstrzymywania funkcjonariuszy. Starcia były długie i brutalne. Kolejne fragmenty zakładu przechodziły z rąk do rąk, a walki trwały przez dwa dni. Dopiero rankiem 9 grudnia, po zgromadzeniu dużych sił pacyfikacyjnych i wezwaniu skazanych do kapitulacji, buntownicy złożyli broń, rozebrali barykady i ugasili płonące zapory. W trakcie tych wydarzeń jeden więzień został spalony żywcem w wyniku samosądu, a wielu zostało rannych.

W Nowogardzie przebieg buntu różnił się nieco od pozostałych. 7 grudnia zgodnie z decyzją komitetu protestacyjnego rozpoczął się bierny protest skazanych, polegający na odmowie wykonywania pracy i wychodzenia z cel. Jednak dzień później, gdy dotarła do nich wiadomość o ofiarach śmiertelnych w Czarnem, atmosfera radykalnie się zmieniła. Podczas rozmowy z naczelnikiem zakładu ppłk. Stanisławem Grzywaczem lider protestujących, Zbigniew Orzechowski, ostrzegł: „Za pięć minut spalimy ten kryminał". Po wyjściu z gabinetu wybił szybę w budynku administracji i krzyknął do innych skazanych: „Jedziemy do dołu!". W ciągu kilku minut ponad 800 więźniów przystąpiło do wyważania drzwi i niszczenia zabudowań zakładu.

Bunt w Nowogardzie trwał aż do 10 grudnia. Tego dnia pięcioosobowa delegacja skazanych z komitetu protestacyjnego rozpoczęła negocjacje z przedstawicielami rządu, m.in. Władysławem Frasyniukiem i Edwardem Müllerem. Rozmowy zakończyły się porozumieniem, a bunt wygasł. W tym samym czasie mniej radykalne formy protestu prowadziły dziesiątki tysięcy osadzonych w całej Polsce.

> Najdotkliwsze represje przyszły nie ze strony wymiaru sprawiedliwości, lecz strażników, którzy po odzyskaniu kontroli nad zakładami postanowili „wyrównać rachunki". Najbardziej dramatyczne relacje pochodziły z Czarnego, odbitego siłą po długich walkach. Według świadectw osadzonych natychmiast powróciły pobicia, upokorzenia i brutalne kary

WYRÓWNYWANIE RACHUNKÓW

Później przed sąd trafili organizatorzy buntów, jednak większość uczestników zamieszek ostatecznie uniewinniono. Najdotkliwsze represje przyszły nie ze strony wymiaru sprawiedliwości, lecz strażników, którzy po odzyskaniu kontroli nad zakładami postanowili „wyrównać rachunki". Najbardziej dramatyczne relacje pochodziły z Czarnego, odbitego siłą po długich walkach. Według świadectw osadzonych natychmiast powróciły pobicia, upokorzenia i brutalne kary. Więźniów rozbierano do naga na mrozie, zmuszano do biegu przez „ścieżki zdrowia" utworzone przez funkcjonariuszy, stosowano też izolację i przemoc psychiczną. Wszystko to odbywało się w cieniu trwającej wielkiej transformacji państwa, a sytuacja więźniów nie interesowała zbytnio opinii publicznej.

POWOLNE REFORMY

Więzienne rebelie z końca 1989 r. były jednym z pierwszych poważnych kryzysów rządu Tadeusza Mazowieckiego. Euforia wczesnej transformacji musiała ustąpić miejsca konfrontacji z rzeczywistością, będącą efektem wielu lat zaniedbań. Mimo wszystko bunt osadzonych przyspieszył debatę o prawach więźniów, standardach odbywania kary i konieczności przebudowy całego systemu penitencjarnego. Z czasem zmieniono regulaminy, rozpoczęto modernizację części zakładów i stopniowo odchodzono od najbardziej brutalnych praktyk, choć droga do rzeczywistej poprawy była długa i wyboista.

eprasa.pl 0bd28120fa

Być jak brat

Ma 15 lat i oprócz licznych nagród sportowych statuetkę za profesjonalny aktorski debiut. Filip Wiłkomirski otrzymał ją na 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni za rolę w filmie „Brat" Macieja Sobieszczańskiego

Fot. Anna Bobrowska

eprasa.pl 0bd28120fa

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. Łukasz Bak

Filip jest może mniej ekspansywny medialnie niż jego ekranowy brat (w tej roli przebojowy Tytus Szymczuk) czy brylujący na ściankach oraz forach chłopcy z głośnego filmu „Ministranci" (Tobiasz Wajda, Filip Juszczyk, Mikołaj Juszczyk i Bruno Błach-Baar). Wszystkich łączy niewątpliwy talent do wrażliwego – przekonującego widzów szczerością – bycia przed kamerą. A także sportowa (a w przypadku młodych aktorów z „Ministrantów" również związana ze szkołą muzyczną) zadaniowość oraz gotowość do ciężkiej pracy. Co ważne – w zespole, w drużynie, grając „do jednej bramki". Filip Wiłkomirski ma w tym gronie jeszcze jeden ważny „parametr". To mimo młodego wieku chęć i umiejętność zrozumienia oraz zdefiniowania sytuacji, w jakiej znalazł się jego filmowy bohater.

W PĘTLI EMOCJI

Nastoletni Dawid opiekuje się młodszym bratem i próbuje sprostać oczekiwaniom matki. Ta chce się odciąć od przeszłości oraz męża osadzonego w więzieniu. Dla bohatera kontakt z ojcem – choć coraz bardziej toksyczny – jest czymś, z czego nie potrafi zrezygnować. Do czasu, gdy dociera do niego, że dla ojca – poza nim samym – nie liczy się nikt. Talent syna, jego marzenia i sportowa szansa przegrywają z egoistyczną chęcią kontroli każdego z członków rodziny, nawet zza krat.

Dawid mógłby zostać mistrzem judo, ale coraz trudniej mu zapanować nad gwałtownymi reakcjami. Niełatwo mu też zmierzyć się z presją wywieraną przez dziewięcioletniego brata, uczuciami którego manipuluje ojciec.

I jak ma się odnieść do kategorycznego zakazu ojca, który zabrania mu wzięcia udziału w prestiżowym turnieju judo w Berlinie? Jako jedynemu z drużyny.

Dla Dawida ten turniej to wielka szansa. Tak uważa też jego matka. Jednak ojciec – informowany przez kolegów pozostających na wolności – widzi tylko to, że trener syna coraz głębiej wkracza w życie jego rodziny, także dawnej żony. A na to nie chce się zgodzić. I zaciska na Dawidzie emocjonalną pętlę.

PORAŻKA NIE UMNIEJSZA

Filip Wiłkomirski niezwykle wiarygodnie zbudował swojego bohatera – brata, syna, ucznia, młodego sportowca. W każdej ze scen – nawet tych najbardziej wymagających aktorsko, pełnych dramatyzmu i psychologicznych meandrów. Znakomicie partneruje też doświadczonym aktorom – Agnieszce Grochowskiej (matka) i Julianowi Świeżewskiemu (trener).

Realizatorzy filmu od początku postanowili szukać odtwórców głównych ról wśród młodych judoków. – Okazało się, że mają w sobie wyjątkową moc – mówi reżyser Maciej Sobieszczański. – Na co dzień ciężko trenują, są niesłychanie zdyscyplinowani. Nie mają wyrobionych odruchów przed kamerą jak dzieci występujące w reklamach czy serialach, są za to przyzwyczajeni do walki i tego, że porażka na macie nic nie znaczy. Porażka cię nie umniejsza, nie deprecjonuje. Podnosisz się, poprawiasz pas, kłaniasz się przeciwnikowi i próbujesz dalej. Kolejną walkę możesz wygrać.

– Sporo nas łączy, może dlatego tak łatwo było mi wczuć się w sytuację Dawida – uważa Filip Wiłkomirski. – Od lat trenuję judo, a rola starszego brata przyszła mi naturalnie, bo sam mam rodzeństwo (starszego brata i młodszą siostrę). Z Tytusem od początku trzymaliśmy się razem, szybko się polubiliśmy i myślę, że ta relacja poza planem przełożyła się również na bliskość między nami, którą widać na ekranie.

DWA BIEGUNY

Filip (m.in. mistrz Polski młodzików w 2023 r. i brązowy medalista mistrzostw Polski młodzików w 2024 r.) mówi, że największym wyzwaniem na planie „Brata" było wejście w rolę i zrozumienie filmowego Dawida. – Nie miałem takiej relacji w domu, nawet nie znałem nikogo, kto miałby podobny problem – podkreśla.

Kiedy stanął na planie po raz pierwszy, miał 13 lat i żadnych doświadczeń z kamerą. Sport i film to dla niego wciąż dwa różne bieguny. – Nie da się porównać stopnia trudności w obu tych dziedzinach, bo nie da się porównać zmęczenia fizycznego do tego emocjonalnego, po całym dniu zdjęć. Na pewno jestem bardziej przyzwyczajony do pierwszego, czyli do trenowania i zawodów – mówi.

Nie ma przy tym wątpliwości, że doświadczenia sportowe pomogły mu na planie. W radzeniu sobie z presją i w opanowaniu stresu, w koncentracji i skupieniu się na zadaniu.

NIKOMU TEGO NIE ŻYCZĘ

Pytany o najbardziej wymagającą scenę, wspomina m.in. tę, w której Dawid płacze na klatce schodowej. Jest załamany, obwinia się za to, co zdarzyło się jego młodszemu bratu. – Nikomu nie życzę znaleźć się w takiej sytuacji, ponieważ wiem, jak się wtedy czułem, jak trudne było do udźwignięcia, gdy próbowałem sobie wyobrazić, jakie to musi być bolesne uczucie, kiedy ktoś obwinia się o krzywdę najbliższej osoby.

Jednocześnie podkreśla, że dzięki tak mocnym i prawdziwym scenom może uda się pomóc komuś, kto – jak filmowi bracia Dawid i Michał – ma trudne dzieciństwo.

eprasa.pl 0bd28120fa

Współcześni malują Narodzenie Pańskie

Boże Narodzenie wciąż się dzieje. By malować je „od nowa", wystarczy być sobą, sięgając do tradycji i symboliki teologicznych prawd

Maciej Walaszczyk

Już po raz czwarty – jeśli liczyć pilotującą projekt „Namalować katolicyzm od nowa" wystawę obrazów Jezusa Miłosiernego według wizji św. Faustyny Kowalskiej – możemy zapoznać się z kondycją współczesnego polskiego malarstwa religijnego. A skoro mamy okres adwentu, to tym bardziej warto się wybrać do podziemi praskiej katedry św. Michała Archanioła i św. Floriana w Warszawie, by na własne oczy zobaczyć 20 najnowszych, namalowanych w ciągu ostatnich miesięcy obrazów, powstałych w ramach tego przedsięwzięcia. Tym razem skupionych na kolejnej z radosnych tajemnic różańcowych, a więc Narodzeniu Pańskim. Zostały one stworzone przez Jarosława Modzelewskiego, Ignacego Czwartosa, Jacka Dłużewskiego, Wojciecha Głogowskiego, Jacka Hajnosa OP, Krzysztofa Klimka, Bognę Podbielską, Beatę Stankiewicz, Grzegorza Wnęka i Karolinę Żądło. To grono malarzy, które w większości zaprezentowało się już w ramach tego – obliczonego na jeszcze niemal 20 lat – cyklu.

Cel jest ambitny, bo ma być zaczynem odnowy malarstwa religijnego, a raczej sakralnego. To odnowa z konieczności mocno zakorzeniona w tradycjach, zarówno starożytności i średniowiecza, jak i renesansu i baroku oraz doświadczeniach awangardy. Łączy je jednak to, że przez całe wieki wierni opowiadali, wyśpiewywali i w końcu malowali prawdę Bożego Narodzenia na sposób mityczno-mistyczny. Także i te, pełne symboliki oraz teologicznych prawd intymne obrazy powstają po to, by się przed nimi modlić, by trafiły do kościołów i kaplic, a nie muzeów, galerii czy magazynów. Ale jest to też odpowiedź na współczesne problemy.

Prof. Modzelewski wyjaśnia sens swej wizji – a więc oszczędnej i skupionej tylko na wizerunku Maryi i Dzieciątka leżącego na słomie „Adoracji" czy widzianej z wnętrza groty-stajenki sceny Narodzenia Pańskiego – koniecznością przebicia się przez chaos oraz szum komercyjnych i plastikowych obrazów, które nas zewsząd atakują. Wojciech Głogowski postawił znów na formułę starożytnych fresków, w których moment Narodzenia jest chwilą zatrzymania się czasu. Artystą, którego obrazy skupiają uwagę publiczności, jest dominikanin o. Jacek Hajnos. Tym razem namalował tylko jeden obraz, podobnie jak wcześniejsze wpisujący się w jego realistyczne wizje, uderzające odbiorcę silnymi emocjami – zazwyczaj radością, której źródło tkwi w Boskiej mocy i sile miłości. Tak jest i teraz – wielkiej radości z Narodzenia towarzyszy rudzik z ogniem całopalnej ofiary baranka zastępczego z góry Moria, na której stała Świątynia Jerozolimska. Artyści wprowadzili więc w to radosne wydarzenie również zapowiedź przyszłej, zbawczej ofiary Chrystusa. Ignacy Czwartos podkreśla radość przekazanego życia, a także wizję końca, który niesie za sobą nową nadzieję. Jego Dzieciątko, adorowane przez barokowe aniołki i wyjętych niczym figury z ołtarza mariackiego Maryję i św. Józefa, pasterzy, wołka i osiołka, zostało umieszczone w tabernakulum. Ten motyw wykorzystała również Beata Stankiewicz, w centralnym miejscu swego realistycznego obrazu malując baranka, a dopiero na drugim planie nocnej sceny Dzieciątko leżące na ziemi. W moim odbiorze to jeden z najbardziej przejmujących obrazów tej edycji, zapraszający niemal natychmiast do modlitewnej kontemplacji. Na obrazie Jacka Dłużewskiego, ucznia Jerzego Nowosielskiego, znów możemy zobaczyć gęstość – także geometrycznej symboliki – oddającej łączność między Bogiem a Stworzeniem, nieskończonością a ziemią, transcendencją a dotykalnością. I debiut młodej malarki Karoliny Żądło, która w gronie malujących pojawiła się dopiero w tej odsłonie cyklu. Jej obraz wpisuje się w tradycję malarstwa ludowego, gdzie mały Jezus to niemal komunikant spoczywający na białej serwecie i niczym monstrancja z Najświętszym Sakramentem przesłonięty dodatkowo welonem. Na większości z obrazów widzimy też osiołka i wołka – to symbolika bliższa teologii niż faktom. Ale zgodnie ze wskazaniem Izajasza „wół rozpoznaje swego pana, a osioł swego właściciela", więc obecność tych zwierząt przypomina nam, że w ową świętą noc człowiekowi otworzyły się oczy i dopiero w żłóbku rozpoznał swego Pana. Nie tyle mamy wierzyć w symbole, ile wierzyć ich znaczeniu.

„Boże Narodzenie" – wystawa z cyklu „Namalować katolicyzm od nowa". Podziemia katedry św. Floriana w Warszawie. Czynna do 20 stycznia 2026 r.

HITY i KITY ZAREMBY

Bolesna zagadka „Heweliusza”

To banał dołączyć do chóru chwalców netfliksowego serialu „Heweliusz”. A przecież reżyser Jan Holoubek i scenarzysta Kasper Bajon stworzyli produkcję, o której nie mogę przestać myśleć

Ledwie pamiętam zatonięcie promu pływającego ze Świnoujścia do Szwecji w styczniu 1993 r., choć katastrofa zrobiła pewnie i na mnie, wtedy już dziennikarzu, wrażenie – na Bałtyku zwykle nie ginęło 56 ludzi. Holoubek podpatruje układ interesów, który wycisza realne powody katastrofy. Mamy społeczno-polityczną drapieżną diagnozę. Post-PRL-owskie układy nakładają się tu na wczesnokapitalistyczną żądzę zysku.

Zarazem dostajemy wstrząsający obraz samej katastrofy – od niej serial się zaczyna, a potem jej fragmenty wracają w kilku odcinkach. Żonglowanie chronologią powoduje, że ludzi, o których już wiemy, że zginęli, oglądamy ponownie przed ich śmiercią. W filmie „Bez lęku” Peter Weir, portretując wypadek lotniczy, zaczął od katastrofy, a na końcu pokazał pasażerów, którzy ku niej zmierzają. I to najmocniej uświadamiało kruchość ludzkiego losu, ba, rodziło w nas współczującą czułość. Odnalazłem ją także u Holoubka.

Mamy też konwencję kryminału, wręcz filmu sądowego. Posiedzenia tzw. Izby Morskiej w czwartym i piątym odcinku to klasyczny spektakl pt. „mordowanie prawdy”. Widzieliśmy go już w kinie nieraz. Dlaczego tu jest to tak emocjonujące, bolesne? Bo ten film potrafi wyjątkowo plastycznie wrzucić nam przed oczy ludzką krzywdę. Krzywdę kapitana (Borys Szyc), którego reputację zabija się po śmierci. Krzywdę rodzin ofiar, zwłaszcza kobiet. Oraz tych nielicznych, którzy przeżyli.

Zarazem jak zawsze Holoubek umie nas przywiązać do niektórych bohaterów, stres jest więc podwójny. Potrafi też subtelnie opowiadać – mimo wielości postaci i wątków – o ludzkiej naturze. Mamy innego kapitana (świetny Andrzej Konopka), który zaczyna od oburzenia, że manipuluje się prawdą, a kończy pełnym udziałem w jej naginaniu. Bo obrona armatora to grupowy interes w kraju masowego bezrobocia. I mamy prostą kobietę (Justyna Wasilewska), wdowę po jednym z pasażerów, która przy całej swojej złości na załogę Heweliusza staje przed dylematem, czy fałszywie zeznawać, do czego namawiają ją potężne siły.

Dostajemy różne wersje faktycznych przyczyn: stan techniczny promu, jego przeciążenie ładunkiem, pogoda, przed którą nie przestrzeżono kapitana, wreszcie niejasny incydent z niemieckim trawlerem. Bajon i Holoubek nie stawiają kropki nad i. Ale pokazują armatora gmatwającego dochodzenie dla własnego interesu, patronującego mu polityka (chyba nie solidarnościowego, choć to czas rządu Suchockiej), a nawet służby specjalne, też zamieszane w sprawę.

Twórcy poszli ryzykowną drogą. Mamy autentyczną katastrofę, datę, nazwę promu, prawdziwe nazwisko kapitana, a zarazem wiele postaci i sytuacji jest fikcyjnych. Ale reżyser przekonuje w wywiadach, że te wątki oddają realne co najmniej hipotezy. W 2005 r. wdowy po marynarzach uzyskały orzeczenie Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, uznające postępowanie izb morskich za stronnicze.

Recenzenci zachwycają się perfekcją techniczną serialu, która jest komplementowana także za granicą. Jednak niesamowity klimat w największym stopniu tworzą aktorzy. Od delikatnych ról Michała Żurawskiego (kapitan Binter) i Magdaleny Różdżki (kapitanowa Ułasiewiczowa) po prawdziwych w swoim groteskowym cynizmie Joachima Lamży (wiceminister) czy Mirosława Kropielnickiego (armator). Jakże tragiczny jest oficer Skirmuntt, czyli znany mi do tej pory głównie z ról przerysowanych upiorów Konrad Eleryk. Chciałoby się wymienić po kolei kilkadziesiąt postaci, ale brak na to miejsca.

Piotr Zaremba

Fot. Netflix

„Matka Joanna" postwspółczesna

Modna reżyserka Weronika Szczawińska obiecała nam „nowe odczytanie" klasycznej „Matki Joanny od Aniołów" Jarosława Iwaszkiewicza. Teatr Telewizji przygotował ową rewizję starych treści

Autor scenariusza i zarazem aktor grający ks. Suryna, Piotr Wawer, ogłosił po spektaklu, że to rewizja konieczna po czarnym proteście kobiet, że to nie tyle o opętanych – prawdziwie czy nie – zakonnicach, ile o wolności w dysponowaniu własnym ciałem przez kobiety. Szczawińska opowiadała z kolei, że sakralna, religijna strona opowiadania właściwie ich nie zajmowała. Rzecz w tym, że ta historia odarta z religijności trochę traci sens.

Przecież jest to utwór o opętaniu i odkupieniu, o grzechu. Prawda, pełen wątpliwości wobec religijnych doktryn. A jednak w inscenizacji Wojciecha Farugi w Teatrze Narodowym sprzed czterech lat w tej opowieści o egzorcyzmach, jakimi ks. Suryn próbował w XVII w. wypędzać demony z zakonnic, padały pytania, a nie prościutkie odpowiedzi. Ale dziś nie czas na niejednoznaczność.

Zdecydowano się na dziwaczność formalną. Tekst jest pokazywany jakby w trakcie kręcenia spektaklu, z powracającym hasłem: „Akcja" i komentarzami „produkcyjnymi". Dlatego aktorzy grają to, eksponując wszelkie umowności, zgodnie z metodą „efektu obcości" Bertolda Brechta. Nie tyle się wcielają, ile dość niedbale prezentują postacie.

Ze spektaklu trwającego 1 godz. i 20 min wyrzucono znaczną część postaci oraz sytuacji. Ks. Suryn dyskutuje o teologii nie z żydowskim cadykiem, a karczmarką Awdosią (dobra Anna Szymańczyk). Bo jakżeby porządek świata miał ustalać mężczyzna z mężczyzną. Awdosia – u Iwaszkiewicza rzeczniczka cielesnej radości – tu nagle staje się uosobieniem głębi. Z kolei to ks. Brym (Rafał Cieluch), a nie szlachciura Chrząszczewski ma romans z siostrą Małgorzatą, zakończony wspólną ucieczką.

Dostajemy trochę inscenizacyjnych dziwactw. Ks. Suryn przez znaczną część spektaklu paraduje rozebrany. Już u Farugi parobkowie Juraj i Kaziuk mieli homoseksualny romans. Tu na dokładkę grają ich aktorki. Matka Joanna (Beata Bandurska) jest z kolei kobietą dojrzałą, ale bezbarwną, wręcz zmarginalizowaną. Ten ostentacyjnie zdawkowy, a chwilami „nowocześnie" prześmiewczy okruch zmienia namysł Iwaszkiewicza w krotochwilny zbiór haseł i aluzji.

Fot. TVP, Teatr Klasyki Polskiej

ŻEROMSKI ODKRYWANY NA NOWO?

Dopiero co mieliśmy setną rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego. Człowieka, który łączył wiarę w sprawiedliwość społeczną z równie żarliwym patriotyzmem. Pojawiło się niewiele sygnałów, że świat artystyczny o nim pamięta

TVP Kultura uczciła rocznicę przypomnieniem spektaklu Teatru Telewizji. To „Uciekła mi przepióreczka", kiedyś jego najczęściej grywany dramat. Ta wersja Stanisława Brejdyganta z 1973 r. to przede wszystkim wielka kreacja Zbigniewa Zapasiewicza. Z matematyczną precyzją grał Przełęckiego, człowieka, który upozorował własną kompromitację, by ratować ważne przedsięwzięcie edukacyjne. Czuje się w tym pasję społecznika.

Niezwykła była inna oferta. Wspominałem już o roli sali w podziemiach warszawskiego kościoła Wszystkich Świętych. Często pojawiają się tam aktorzy Teatru Klasyki Polskiej. Tym razem przygotowali nawet nie gotowe przedstawienie, ale czytanie dwóch fragmentów dramatu Żeromskiego „Róża". Wykonawcy siedzieli z egzemplarzami tekstu w dłoniach, odgrywając coś w rodzaju słuchowiska. I samymi swoimi głosami, czasem namiastkami scenicznego gestu, porywali naszą wyobraźnię.

„Róża" to niezwykły tekst, napisany przed I wojną światową. Sam Żeromski nazywał go „niescenicznym". Istotnie, na scenie trudno by było zagrać jego monumentalne sekwencje. Chociaż w 1936 r. Józef Lejtes, najambitniejszy przedwojenny reżyser, adaptował go jako film.

Tematem jest rewolucja 1905 r. Autor próbował oddać klimat ostatniego powstania narodowego splecionego ze społecznym buntem. To paradoks, ale Teatr Klasyki, pomawiany o prawicowość, przybliżył nam dramat par excellence lewicowy. Tyle że to lewicowość sprzed ponad 100 lat, mocno odmienna od obecnej.

Trzeba było się zmierzyć z językiem mocno rozwichrzonym, po młodopolsku egzaltowanym. Nie byłoby to możliwe bez wspaniałych aktorów. Czytali filmowy gwiazdor Sebastian Fabijański, a także Przemysław Stippa, Andrzej Mastalerz i Dariusz Kowalski. Ten ostatni podawał didaskalia, bardzo drobiazgowe, więc pozwalające ogarniać akcję. W scenie balu aktorom niejako akompaniowała śpiewaczka Joanna Czaplińska-Lalek. To widowisko bez widowiska reżyserowała Karolina Labahua.

Po czytaniu dyrektor Teatru Klasyki Jarosław Gajewski zauważył w dyskusji, że didaskalia z „Róży" kreują sceny bez mała filmowe. Fabijański odpowiedział, że mnogość zawartych tu scenicznych metafor wymagałaby w kinie niezwykłej wyobraźni, może na miarę Wojciecha Hasa czy Wesa Andersona. Z kolei na pytanie Gajewskiego, czy reżyserka podjęłaby się wystawienia całej „Róży" na scenie, nie padła wyraźna odpowiedź. Chyba na eksperyment sięgnięcia tak głęboko i bezkompromisowo w przeszłość polski teatr – nawet ten – jest coraz mniej gotowy.

3 MIŁOŚCI

Adwent w świecie chaosu

ROBERT TEKIELI

Na świecie chaos. Miliardy ludzi tracą poczucie bezpieczeństwa. Wolny świat chwieje się w posadach. Niepokój od Londynu po Manilę, od Warszawy po Tajpej, od Kijowa po Canberrę, od Ottawy po Tokio. A pod strachem zaszyty lęk. W jaki sposób powstały te najgłębsze pokłady lęku współczesnego człowieka? Dlaczego rozum i wiara, środowiska akademickie i Kościół straciły wpływ na życie ludzi Zachodu? Dlaczego zachodni filozofowie przegrali wojnę o rzeczywistość?

Gdy Europejczykom rozpadł się świat, nazwali ten czas nowożytnością, wcześniej nauczając lud, że nowość to zawsze coś dobrego. Równocześnie o wszystkie możliwe problemy oskarżyli chrześcijaństwo. Gdy intelektualizm wpędzał naszą cywilizację w coraz głębszą ciemność, intelektualiści nazwali epokę głębokiego upadku oświeceniem.

Katolickie imaginarium przez kilkaset lat walczyło o lepsze z sekularną wizją świata. W XXI w. poniosło totalną klęskę. Po wyparciu w XX w. chrześcijaństwa z głównego nurtu życia Zachodu przyszła kolej na naukę, kulturę i sztukę. Lustro poznania, przez wieki krystalizowane z pojęć i symboli, zostało roztrzaskane. Prawda stała się narracją. Piękno – brzydotą. Dobre jest zabicie niewinnej istoty pod sercem matki, moralne jest usypianie kosztownych w utrzymaniu staruszków.

Główne źródło lęku tkwi nie w polityce, nagiej przemocy czy geopolityce. Jak człowiek może czuć się bezpiecznie w kalekim świecie, w wytrzebionej cywilizacji, odciętej od duchowych korzeni?

Czas Adwentu skłania do refleksji nad całością. W tym celu go wymyślono. Perspektywa Paruzji i kolejna rocznica Wcielenia skłania do zadawania pytań zasadniczych.

Zawsze chcieliśmy zajrzeć za zasłonę tajemnicy i wpływać na losy świata. Dlatego ezoteryka i magia od początku są obecne w kulturze chrześcijańskiej Europy. Stąd późniejsza obecność w nowożytnych dziejach kultury Zachodu szczególnych nurtów religijnych i filozoficznych, odrzucanych zarówno przez autorytety religijne, jak i ośrodki akademickie. Ale duchowe doświadczenie bez Boga ostatecznie zawsze zamienia się w horror

Świat stał się płynny, ale sytuacja człowieka nie zmieniła się nawet odrobinę. Rzucony w skomplikowaną rzeczywistość, która go przekracza i przytłacza, od funkcjonowania której jest zależny, próbuje ją zrozumieć, pojąć – zdobyć wiedzę, by sobie poradzić.

Pyta o przyszłość. Jak potoczy się moje życie, jaki czeka mnie los, jaki los czeka ludzi, na których mi zależy? Co czeka nas oraz naszych bliskich tu, na ziemi, a także po śmierci? Dokąd zmierza świat, na ile możemy kierować swoim losem?

Szukamy tej wiedzy od zawsze, jej zdobycie jest jednak bardzo trudne. Żadna z nauk nie jest w stanie jej dać. Język pojęć ma swoje ograniczenia. Więcej informacji na temat przyszłości można uzyskać, odwołując się do religii. Jednak również ta metoda ma ograniczoną skuteczność. Teksty religijne są pełne symboli, które można interpretować na wiele sposobów. Do tego religia wymaga wiary oraz pokory. Człowiek musi zaufać Bogu, na co od zawsze wielu ludzi nie wyraża zgody.

Ograniczenia poznania naukowego i religijnego powodowały, że od najdawniejszych czasów część ludzi szukała metod, aby nie tylko poznać tajemnicze siły, które decydują o losach świata, lecz także, by je opanować i za ich pomocą kształtować rzeczywistość zgodnie ze swymi oczekiwaniami.

W I i II w. po Chrystusie gnostycy wypracowali ezoteryczny sposób widzenia świata, który przetrwał do dziś. Zawsze chcieliśmy zajrzeć za zasłonę tajemnicy i wpływać na losy świata. Dlatego ezoteryka i magia od początku są obecne w kulturze chrześcijańskiej Europy. Stąd późniejsza obecność w nowożytnych dziejach kultury Zachodu szczególnych nurtów religijnych i filozoficznych, odrzucanych zarówno przez autorytety religijne, jak i ośrodki akademickie.

Pisze o tym w fascynującej książce prof. Maciej Stępień. „Okultyzm" jest niezwykle solidnie udokumentowanym i zajmująco napisanym studium zachodniej ezoteryki. Mam nadzieję napisać dużą recenzję z tego fundamentalnego do zrozumienia współczesnej kultury Zachodu dzieła.

Oświeceni intelektualiści przegrali bój o kształt kultury Zachodu również dlatego, że zlekceważyli nurty ukryte,

eprasa.pl 0bd28120fa

a dzisiejsza postać Zachodu została ukształtowana przez okultyzm, masonerię i satanizm.

Dziś człowieka naszej cywilizacji formuje bowiem i wychowuje popkultura, a ta została ukształtowana przez konglomerat nurtów wiedzy tajemnej.

Świat Zachodu został zdechrystianizowany do cna. Żyjemy w coraz bardziej bezbożnych czasach. W ślad za zanikiem wiary i wzrostem zainteresowania okultyzmem oraz pornografią postępuje aktywność demonów. Kto zdaje sobie sprawę z tego, że destabilizacja tożsamości – zwłaszcza tożsamości płciowej – jest postrzegana przez wiele form okultyzmu jako kluczowy środek podważenia judeochrześcijańskiej hierarchii i porządku? Symbolem jest tu Crowleyowski hermafrodytyczny Bafomet, dwupłciowa postać człowieka z głową kozła. Ideologia transpłciowości jest zaś próbą zniszczenia obrazu Boga w nas. Właściwie wszystkie współczesne ideologie mają korzenie okultystyczno-sataniczne.

Ilekroć chrześcijanie przybywali do jakiegoś miejsca, rozpędzali mrok. Teraz mrok powraca.

W ludzkiej naturze nie ma czegoś takiego jak próżnia. Gdy chrześcijaństwo zaczyna się wycofywać, zło zapełnia pustą przestrzeń. Dzięki popkulturze okultyzm jest dziś w naszych społeczeństwach traktowany jako coś normalnego. Współczesna cywilizacja kroczy drogą nakreśloną przez Aleistera Crowleya, brytyjskiego okultystę, obrzydliwego człowieka. Duchowe doświadczenie bez Boga ostatecznie zawsze zamienia się w horror.

Z uporem powtórzę – demon jest w centrum zachodniej kultury. Trwa walka duchowa. W tym starciu jest tylko jedna globalna siła, która może znaleźć odpowiedź na kryzys Zachodu. Jest nią Kościół katolicki.

Właśnie rozpoczął się Adwent, ale mało w moich myślach radości.

Niestety realizuje się najgorszy z możliwych dla Polski geostrategicznych wariantów. Donald Trump w swej rozgrywce z Xi Jinpingiem postawił na Niemcy. Amerykańska administracja deklaruje gotowość do oddania dowództwa NATO w niemieckie ręce. Europejskie warcaby są dla Waszyngtonu mało istotne przy toczących się globalnych szachach. Europa ma posiąść zdolność do samodzielnego odstraszania Moskwy. Wojna na Ukrainie ujawnia już wszem wobec swą peryferyjność, jest amerykańsko-chińskim konfliktem zastępczym.

Step zaatakował Zachód. Ubezpieczana przez Chiny Federacja Rosyjska militarnie zaatakowała na Ukrainie Europę. Cywilizacja Państwa Środka po 200 latach upomina się o swoje miejsce w globalnym centrum. Totalitarny kapitalizm to wyzwanie, z którym liberalny kapitalizm nie wygra.

Z pokojowych propozycji amerykańskich wynika, że USA chcą europeizacji NATO, zastrzegając sobie pozycję dobrego wuja, który może (ale nie musi) przyjść z pomocą.

W powoli ujawnianej przez amerykańską administrację wizji nowego ładu Rosja będzie (współ)decydowała o systemie europejskiego bezpieczeństwa. To na linii Waszyngton–Moskwa będą zapadać decyzje najważniejsze dla Europejczyków. Potem z niewielkim udziałem osi Berlin–Paryż–Londyn.

Trump chce wciągnąć Rosję do współpracy gospodarczej. Zatrzymać proces ścierania jej gospodarki i siły militarnej, a tym samym coraz większego uzależnienia od Pekinu. Donald Trump chce odbudować i uzależnić gospodarczo Rosję, by grać z Chinami w trójkącie i wygrywać oczywiste sprzeczności interesów azjatyckich potencji.

W trakcie Berlin Security Conference amerykański ambasador przy NATO Matthew Whitaker stwierdził, że wyczekuje dnia, w którym niemieccy przywódcy polityczni zakomunikują Stanom Zjednoczonym gotowość do objęcia funkcji Supreme Allied Commander Europe, od 1949 r. zarezerwowanej dla dowódców zza Atlantyku.

W końcu nigdy nie został zakwestionowany pakt stanowiący Rosja–NATO z 1997 r., który czyni nas państwem zależnym, również od Moskwy.

Czy Polacy przyjmą ten narzucony nam przez Waszyngton niemiecko-rosyjski dyktat? Czy pójdą gruzińską drogą podległości? Czy zgodzą się na wycofanie z Polski instalacji NATO, demontaż narodowych instytucji politycznych, rozpłynięcie się w „federalistycznej" niemieckiej Unii?

Czy nasz naród wybierze ścieżkę suwerenności, czy ścieżkę ugodową? Czy pragnienie ciepłej wody w kranie przemoże polskiego ducha? Nie wiem. I już nic nie mogę w tej sprawie zrobić.

Pytanie brzmi: czy Donald Trump jest bardziej geostrategicznym amerykańskim patriotą, czy przywódcą antytotalitarnej, ideologicznej krucjaty ruchu MAGA? Jeśli jest głównie wrogiem cywilizacji śmierci, Polska ma pole manewru. Jeśli jest tylko politykiem, nasz kraj stanie się eksploatowaną przez Berlin strefą buforową, z Rosją decydującą o zasadniczych rysach polskiej polityki bezpieczeństwa.

Zapytam retorycznie: co w tej sytuacji zrobi polska klasa polityczna? Bo dziś trzeba działać wbrew Amerykanom.

I coś jeszcze gorszego – rząd zdrady narodowej. Czy O. ma rację, mówiąc, że ludzie Syndykatu cienia posuną się do ostateczności? Niestety istnieje tradycja zabijania prezydentów Rzeczypospolitej.

Skoro reżim działa poza prawem, trzeba, by demos poszukał adekwatnych rozwiązań. Jeśli nie, będziemy czekać na jakiś gwałtowny kryzys.

Czy potrzeba rzeki krwi, by Polacy otrzeźwieli? Czy odrzucenie władzy realizującej obce Polsce interesy musi być dopiero reakcją na jakąś narodową tragedię?

Przed nami smutny Adwent. Przegraliśmy Polskę? Przegraliśmy tę duchową wojnę?

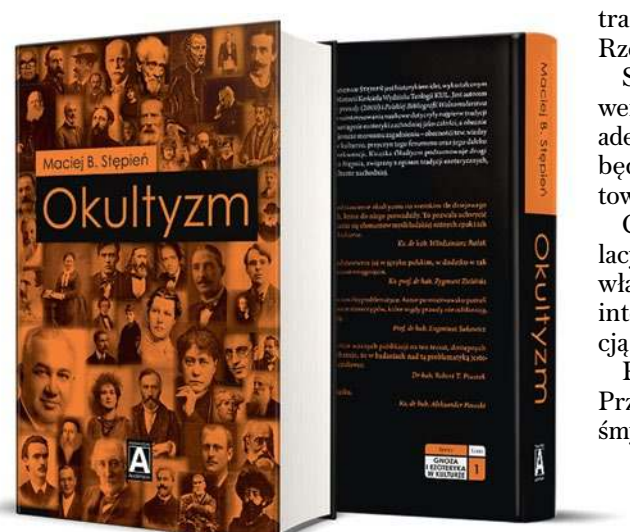

eprasa.pl 0bd28120fa

MAREK KRAJEWSKI PISARZ

Food truckiem po Dolnym Śląsku

Borki dolnośląskie z dziczyzną na bałkańskiej picie. Kanapka Klubowa z jesiotra. Tacos z daniela. Souvlaki z jelenia. Pizza sowiogórska. Żeberka w sowiogórskim sosie musztardowo-miodowym. Fish (pstrąg kłodzki) and chips. Kurczak wędzony herbatą. Hot dog w stylu Chicago. Kiszka ziemniaczano-bigosowa z grzybami. Samosy z kozim serem. Pierogi z kaczką, a także sałatka z chwastów i sos pokrzywowy oraz piernikowe churros i pączki kłodzkie z lodami. Wszystkie te dania postawił przed pisarzem Markiem Krajewskim kucharz Orson Hejnowicz. A działo się to podczas trzeciego sezonu kulinarno-kryminalnego programu „Górna półka smaku".

Kulinarny koneser, perfekcyjnie i zmysłowo opisujący w swoich powieściach przeróżne dania, a także człowiek wytworny, ceniący styl i wygodę, tym razem wyruszył w drogę po Dolnym Śląsku food truckiem. Odwiedzał miejsca, które ucierpiały w wyniku powodzi w 2024 r., dowodząc sobie i widzom, że pokiereszowany wielką wodą region w wielu obszarach pozostał piękny i pełen wyjątkowych przestrzeni oraz smaków.

Autor kultowych kryminałów retro wcielił się w programie w rolę detektywa i podróżnika odkrywającego tajemnice Dolnego Śląska, a jednocześnie pisarza, któremu zhakowano hasło do komputera, w którym znajduje się jego właśnie ukończona powieść. Poszukując cyfrowego dostępu, autor odwiedza bardzo realne przestrzenie. Trafia m.in. do Bolesławca, Jeleniej Góry, Kłodzka, Stronia Śląskiego, Lądka Zdroju, a także w Góry Sowie. Finał tej peregrynacji wciąż przed nami, a odbędzie się on w Międzylesiu – w tamtejszym zamku, który ma za sobą niebagatelną historię 700 lat dynamicznych, burzliwych i arcyciekawych wydarzeń.

Trzeci sezon „Górnej półki smaku" można oglądać na antenie TVP2 w soboty o 11.30 albo (podobnie jak poprzednie sezony) online, w TVP VOD. A kto ma ochotę spotkać Marka Krajewskiego również w innych okolicznościach – także nieoczywistych w pisarskiej działalności autora – może sięgnąć po jego najnowszą powieść.

Jej akcja rozgrywa się – jakżeby inaczej – na Dolnym Śląsku. Oczywiście w początkach minionego wieku. W pałacu Czerniewice trwa niekończąca się seria nieszczęść – pożar folwarku, tajemnicze zniknięcie hrabiny, obłęd młodej Anny von Babbit, brutalne zabójstwo pałacowego lekarza... I tu pojawia się nieprzetarty jeszcze szlak, na który wstępuje autor, zabierając nas na poplątane ścieżki zbrodni oraz w mroczne zakamarki dusz nie tylko czytelników, lecz także zupełnie nowego głównego bohatera. Herbert Anwaldt to młody człowiek, student psychiatrii. W powieści pojawia się też przez chwilę Eberhard Mock, ale – jak zdradza wydawca – „Głos z piekła" to początek zupełnie nowej serii.

Jolanta Gajda-Zadworna

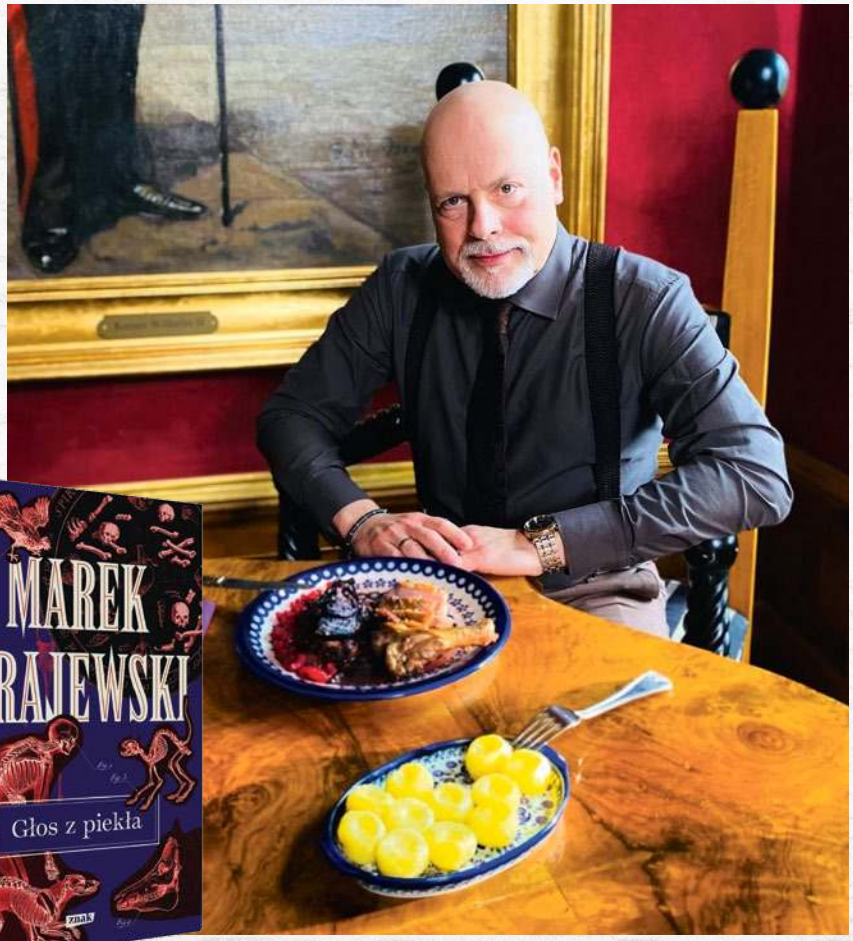

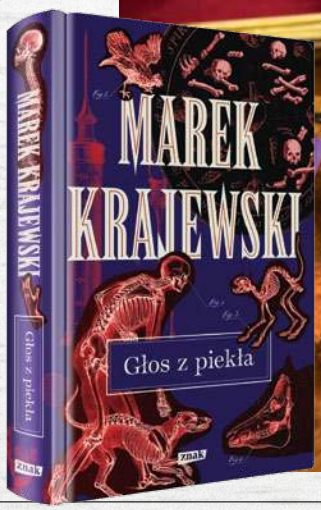

Fot. Górna polka smaku/Facebook

eprasa.pl 0bd28120fa

SŁODKO-SŁONY

Warzywa po koreańsku

ANNA MONICKA

Każdy pewnie zna ten ból – jak zrobić szpinak, żeby jego wygląd dorównywał smakowi, czyli żeby nie przypominał szarozielonej brei, na którą dorośli goście zerkają z konsternacją (zjedzą przez grzeczność), a dzieci z jawną nienawiścią (nie tkną, choćby nawet był najlepiej przyprawiony).

Warto popatrzeć, jak dodatki do głównych dań przygotowują Koreańczycy – mnóstwo warzyw po prostu szybko podsmażają albo blanszują, czyli zanurzają na minutę we wrzątku i hartują w misce z wodą z lodem. Gdy dodadzą przyprawy i pozwolą daniu się przegryźć, powstają przepyszne przystawki, z których najsłynniejszą jest fermentowana kapusta, czyli kimchi. Oczarowały mnie, gdy wybrałam się kiedyś ze znajomymi do warszawskiej „Koreanki". Do tego stopnia, że postanowiłam się zmierzyć z tematem. Moje banchany (bo tak się nazywają te startery) może nie zawsze są idealnie takie jak oryginały, ale smakują o niebo lepiej niż nasze przegotowane i przesmażone jarzyny. Oni robią je dosłownie ze wszystkich warzyw: liściastych, korzeniowych, strączkowych, ogórków, rzodkiewek, grzybów, a także z kiełków. Dodają dużo czosnku, cebuli, dymki.

Co trzeba mieć pod ręką – poza warzywami? Sos sojowy, ocet ryżowy, olej sezamowy, sezam, dwie pasty: ostrą gochujang oraz przypominającą miso doenjang, do tego płatki chili gochugaru. Wszystko można kupić w sklepach internetowych z orientalną żywnością.

Na pierwszy ogień poszły zielone ogórki. Trzeba je pokroić na talarki ze skórką, wsypać do słoja, dodać piórka cebuli, posolić i zamieszać w zamkniętym pojemniku. Potem dodajemy 2–3 zmiażdżone ząbki czosnku, łyżkę sezamu, sok z limonki, po łyżeczce pasty gochujang i płatków gochugaru, odrobinę miodu, octu, oleju sezamowego (do smaku). Znów wszystko trzeba wymieszać i zostawić w słoju na godzinę.

Albo szpinak – pokrojone liście blanszujemy w osolonej wodzie minutę, przekładamy do lodowatej, odcedzamy i odciskamy. Mieszamy sos sojowy z olejem sezamowym (po kilka łyżek), czosnkiem, solą, szczyptą cukru, sezamem i dymką. Dodajemy miksturę do szpinaku, można skropić sokiem limonki. Podobnie przygotujemy kwiaty brokułów. Inne smaki? I dobrze.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Pło szalejowe

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pło szalejowe to jeden z wariantów pła. A czym jest pło? To kożuch – czy też dywan – utworzony przez rośliny torfowiskowe, które wprawdzie tworzą strukturę dość zwartą, lecz niegrubą, pod którą jest woda, nieraz głęboka. Pło stanowi jeden z etapów zarastania niektórych zbiorników wodnych – docelowo po długim czasie może dojść do zaniku zbiornika i powstania torfowiska.

Na takim właśnie ple w filmie „Krzyżacy" (w książce pło się nie pojawia) Maćko z Bogdańca pokonał Kunona von Lichtensteina. Pło uginało się pod ich stopami i falowało – to oczywiście była sytuacja wyjątkowa, ale rzeczywiście na pło lepiej nie wchodzić, bo ryzyko utopienia się jest bardzo realne. Poza tym pło jest delikatne i szkoda je niszczyć.

Pło szalejowe jest więc jedną z możliwych postaci tego zbiorowiska roślinnego, a swoją nazwę bierze od jednej z dominujących roślin: szaleju jadowitego (*Cicuta virosa*). Ten śmiertelnie trujący gatunek z rodziny selerowatych, odznaczających się charakterystycznymi kwiatostanami w formie baldacha, współtworzy pło szalejowe z również wilgociolubną turzycą nibyciborowatą (*Carex pseudocyperus*) Zwróćmy uwagę na nazwy „nibyciborowata" i „*pseudocyperus*", wskazujące na pokrewieństwo turzycy z ciborą papirusową (*Cyperus papirus*), z której można zrobić papirus. Obie rośliny – polska turzyca i afrykańska cibora/papirus – są zresztą spokrewnione i należą do rodziny ciborowatych.

W obrębie pła szalejowego występują również inne intrygujące rośliny, w tym wiele turzyc, pięknie kwitnący późniejszą wiosną kosaciec żółty i czermień błotna. Ta ostatnia należy do rodziny obrazkowatych, a odznacza się nietypowymi kwiatami, w których w białej osłonie rozwija się kolba pokryta drobnymi kwiatami, przekształcającymi się w grono czerwonych, trujących jagód.

Powstawanie pła jest naturalnym procesem lądowacenia zbiorników wodnych. Często jest ono wąskim paskiem, w obrębie którego trudno określić, czy ma się do czynienia z wodą, czy lądem. Z jednej strony rozpościera się otwarta tafla, z drugiej – zaczyna grząski, lecz niewątpliwy ląd, tworzony przez kolejne pokolenia przypominających miniaturowe palmy mchów torfowców, na obumarłych tkankach których plezie się żurawina błotna przetykana owadożernymi rosiczkami. Pło jest pośrodku.

eprasa.pl 0bd28120fa

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Czarzasty ante portas

www.wojciechreszczynski.pl

Donald Tusk ma dziś silnego sprzymierzeńca w walce z opozycją, szczególnie ze Zbigniewem Ziobrą. To prawdziwy „człowiek wolności", który – jak powiedział przed komisją śledczą do wyjaśnienia afery Rywina – „zawsze działał dla dobra Polski". To Włodzimierz Czarzasty, nowy marszałek Sejmu, dawny sekretarz KRRiTV, założyciel Stowarzyszenia Ordynacka, osoba od lat prywatnie związana z rynkiem mediów (Muza SA i jej udziały w spółce Multimedia). Wraz z jego wyborem na krótko odżyła afera Rywina, w której rola Czarzastego była – moim zdaniem – kluczowa. 15 lipca 2003 r. Lew Rywin złożył korupcyjną propozycję prezes Agory Wandzie Rapaczyńskiej, a 22 lipca Adam Michnik nagrał rozmowę z nim. Tak twierdziła wtedy „Gazeta Wyborcza". Rywin dowodził zaś, że chciał sprzedać Agorze swoją firmę Heritage Films i objąć funkcję prezesa nowego Polsatu. Co ważne, w tle był projekt nowej ustawy medialnej uniemożliwiający właścicielom ogólnopolskich dzienników (Agora) starania o koncesję na ogólnopolskie radia i telewizję. Poprzez dodanie do projektu słów „lub czasopisma" niemożliwe stałoby się zakupienie Polsatu przez Agorę. Równocześnie pojawiła się możliwość prywatyzacji kanałów TVP, na co obie strony konfliktu miały wielką ochotę.

Czarzasty – prywatnie i jako sekretarz KRRiTV – był zainteresowany wzmocnieniem kontroli struktury właścicielskiej nadawców i pozycji Krajowej Rady na rynku mediów. W tym celu potrafił skutecznie łączyć osobiste interesy z państwową funkcją w KRRiTV i wymuszać zmiany właścicielskie w mediach, o czym mogłem się osobiście przekonać. Kiedy przypomniałem o tym członkom komisji śledczej, Czarzasty wykręcił się brakiem pamięci, a w końcu lewica przegłosowała niepowołanie mnie na świadka. Ale Czarzasty zapewne dobrze pamięta dociekliwość Ziobry podczas przesłuchania przed sejmową komisją śledczą, który wytknął mu, że jako sekretarz KRRiTV nadzorującej TVP jest równocześnie udziałowcem firmy żyjącej z produkcji dla TVP, pozostaje zatem w oczywistym konflikcie interesów. Na ten sam zarzut postawiony przez Jana Rokitę – wówczas jeszcze z PO – Czarzasty odpowiedział bezczelnie: „Według ekspertyz, jakie posiadam, prawa nie łamię".

To wydarzenie sprzed 23 lat nie zostało do końca wyjaśnione. Nie poznaliśmy pełnej listy tzw. grupy trzymającej władzę, a tylko 1 proc. opinii publicznej (badanie CBOS) wierzyło w ustalenie obiektywnej prawdy. Lewica uniemożliwiła dalsze śledztwo. Wielka szkoda, gdyż wielowątkowe śledztwo, także prokuratorskie, pokazałoby, jak wpływowe pozostaje środowisko postkomunistów. Już samo postawienie na czele komisji posła Tomasza Nałęcza z Unii Pracy, będącej częścią rządowej koalicji, tworzyło bariery utrudniające ustalenie prawdy. A była szansa pokazania zaciekłej walki tego środowiska z równie wpływową postkomunistyczną konkurencją.

23 lata temu ludzie ze Stowarzyszenia Ordynacka przeciwstawili się rosnącym wpływom medialnym spółki Agora Adama Michnika. W końcu jednak jesienią 2003 r. rząd Leszka Millera usunął z projektu ustawy kontrowersyjne słowa „lub czasopisma".

Nasz „człowiek wolności" ukazał się w tamtych latach takim, jaki jest dzisiaj – pełnym wygórowanych ambicji, autorytarnym, nade wszystko lubiącym kontrolować i rządzić. Dodajmy – oczywiście dla dobra Polski. I dodajmy jeszcze – dumnym ze swojej przeszłości.

I jak wtedy Włodzimierz Czarzasty chciał mieć decydujący wpływ na kształt ustawy medialnej, strukturę właścicielską i obsadę publicznych spółek medialnych, a także prywatnych spółek radiowych, tak dziś jako marszałek Sejmu zapowiada mrożenie projektów ustaw składanych przez prezydenta Karola Nawrockiego. Ta zapowiedź ponoć bardzo ucieszyła Donalda Tuska. Niestety w świetle prawa takie działanie może się okazać legalne – cóż z tego, że antydemokratyczne. Ale o tym, co jest demokratyczne, decyduje Czarzasty, a w razie wątpliwości – sam Tusk. Obowiązuje zasada stosowania prawa „tak jak my je rozumiemy". Zapowiadając weto wobec prezydenckich inicjatyw ustawodawczych (zgodnie z prawem marszałek Sejmu nie dysponuje żadnym wetem), Czarzasty w arbitralny sposób będzie decydować o tym, które projekty ustaw będą blokowane – choćby poprzez nienadanie im odpowiedniego numeru druku – a które znajdą się na szybkiej ścieżce legislacyjnej. Sam, jednoosobowo, zdecyduje, które projekty są populistyczne – jego zdaniem to te, które służą wyłącznie „grze politycznej czy skłóceniu obywateli" – a które są konieczne i postępowe. Te pierwsze to projekty prezydenta RP, te drugie – jego lewicowego, postkomunistycznego środowiska. Wszak są to – jak się wyraziła poseł Anna Maria Żukowska, serdeczna koleżanka Czarzastego z Lewicy – ideowi spadkobiercy rewolucji francuskiej i październikowej w Rosji.

Czarzasty – komunista, członek PZPR od 1983 r. – jako marszałek Sejmu to ponury obraz Polski za rządów Tuska i realne zagrożenie naszych wolności, stąd to stare *ante portas*.

eprasa.pl 0bd28120fa

OGNIEM NA WPROST

Nowy porządek świata

Andrzej Rafał Potocki

Serwis społecznościowy Truth Social Donalda Trumpa napisał, że „pierwotny 28-punktowy plan pokojowy opracowany przez Stany Zjednoczone został dopracowany dzięki dodatkowym konsultacjom z obiema stronami i pozostało tylko kilka punktów spornych". Pośrednio potwierdzają to Ukraińcy. Szef biura prezydenta Zełenskiego Andrij Jermak zaznaczył, że pierwotny 28-punktowy plan pokojowy USA, który uznał za nie do przyjęcia, został zmieniony i zawiera 19 punktów. Ocenił też, że obecny tekst gwarancji bezpieczeństwa wygląda „bardzo solidnie".

W zasadzie plan jest nie tyle planem pokojowym, ile próbą stworzenia przez jego autorów nowej, światowej architektury bezpieczeństwa. Tym, co bije w oczy, jest zmiana roli USA, które oprócz tego, że są członkiem NATO, według planu stają się *de facto* podmiotem rozgrywek międzynarodowych w kwestii Ukrainy. Ale po kolei. Pojawiają się informacje (agencja Bloomberga), że plan miał powstać w Moskwie. Być może. Jednak według autorów tej rubryki zawiera on więcej rozwiązań korzystnych dla Ukrainy niż odwrotnie. Zdaniem ukraińskiego specjalistycznego portalu militaryland.net warunki na polu bitwy wciąż zmieniają się na korzyść wroga, a Ukraina zmaga się z najpoważniejszym niedoborem personelu. Siły obronne pilnie potrzebują przerwy, aby się przegrupować, skonsolidować jednostki, zbudować wielowarstwowe systemy obronne i przygotować do kolejnej fazy wojny – zwłaszcza pod wodzą nowego naczelnego dowódcy. Choć Moskwa również odniosłaby korzyści z zawieszenia broni, przerwa jest konieczna, aby uniemożliwić wojskom rosyjskim zajęcie korzystnych pozycji w pobliżu Zaporoża i dalsze wkraczanie na Ukrainę.

Najważniejsze założenia planu w skrócie to: 1. Ukraińska suwerenność zostanie potwierdzona (jest to kluczowy punkt uderzający w aspiracje Moskwy, kwestionującej prawo Ukrainy do niezależności). 2. Całościowe porozumienie o nieagresji zostanie zawarte między Rosją, Ukrainą a Europą. Wszystkie sporne kwestie z ostatnich 30 lat zostaną uregulowane (również bardzo ważny zapis, bo Moskwa cały czas chce porozumiewać się ponad głowami Ukraińców i państw europejskich. Ten punkt wyklucza taką możliwość). 3. Rosja nie będzie najeżdżać sąsiednich krajów, a NATO nie będzie się rozszerzać (państwa europejskie wraz z Ukrainą odrzuciły ten punkt) – wymusza to na Kremlu wyrzeczenia się przemocy w stosunkach z innymi państwami, oznacza to *de facto* początek likwidacji imperium, bo przecież dominacja Kacapii bazuje na przemocy zbrojnej i interwencjach militarnych. 5. Ukraina otrzyma wiarygodne gwarancje bezpieczeństwa (państwa UE i Ukraina zmieniają „wiarygodne" na „zdecydowane"), ale diabeł tkwi w szczegółach. Co to znaczy „wiarygodne"? 6. Rozmiar ukraińskiej armii zostanie ograniczony do 600 tys. żołnierzy (państwa europejskie i Ukraina podbijają do 800 tys.) – po zakończeniu działań wojennych Ukraina i tak będzie musiała zredukować armię, bo obecna, licząca (według różnych szacunków) od 800 tys. do nawet 2 mln żołnierzy, jest w warunkach pokojowych niemożliwa do utrzymania. Ludzie są potrzebni w gospodarce. 14. Zamrożone aktywa (Federacji Moskiewskiej) zostaną wykorzystane w sposób następujący: 100 mld dol. zamrożonych aktywów Moskwy zostanie zainwestowanych w amerykańskie wysiłki na rzecz odbudowy i rozwoju inwestycji na Ukrainie – *de facto* mamy tu reparacje wojenne dla Ukrainy i coś dla elektoratu w USA. Ameryka otrzyma 50 proc. zysków z tego projektu. Europa przeznaczy kolejne 100 mld dol. na zwiększenie liczby dostępnych inwestycji na odbudowę Ukrainy. Dumny sponsor „trzydniowej operacji specjalnej" musi ponieść jej konsekwencje. Gdyby nie polityka UE przed 2022 r., szczególnie brak reakcji na kolejne ekscesy Moskwy i mimo tego robienie z nią dealów, nie byłoby wojny. A czemu my mamy się do tego dokładać, skoro ostrzegaliśmy i byliśmy przeciw? 21. Terytoria: Krym, Ługańsk i Donieck zostaną uznane za rosyjskie, w tym przez USA. W Chersoniu i Zaporożu (chodzi o obwody, nie miasta) dojdzie do zamrożenia na linii kontaktu, co oznacza *de facto* uznanie linii kontaktu. To chyba jasne. Obie strony nie mają sił na zajęcie reszty obu obwodów. 24. Wszyscy jeńcy i polegli zostaną wymienieni między stronami na zasadzie wszyscy za wszystkich. Ważne przede wszystkim dla Ukrainy. To jej ludzie stanowią większość jeńców i są trzymani w skandalicznych warunkach. I na koniec: wszyscy cywilni więźniowie i zakładnicy, w tym dzieci, zostaną zwróceni. Trudno przewidzieć, jakie będą dalsze losy planu, ale pierwszy krok został zrobiony. „To może nie jest początek końca, ale koniec początku" – jak powiedział niegdyś premier Winston Churchill.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0bd28120fa

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Chciwość elit

Aleksander Nalaskowski

Od czasu do czasu moje zdziwienie budzą rozmaite wieści na temat naszej elity politycznej. Mam na myśli zarówno rządzących, jak i parlamentarzystów.

Jest czymś niesłychanie bulwersującym, że nie uchylono immunitetu Tomaszowi Grodzkiemu. Dlaczego jego opcja polityczna nie chce tego zbadać do dna? Wszak sąd zdecydował, że Tomasz Sakiewicz może go nazywać łapówkarzem. Czyli coś jest na rzeczy. Po co więc kryć Grodzkiego? Ziobro i Romanowski mogą być ścigani pod absurdalnymi zarzutami, a Grodzki, były marszałek Senatu, ukrywa się za immunitetem, którego jego kolesie nie pozwalają uchylić. Określony przez Sakiewicza jako pospolity łapówkarz jeszcze niedawno, z gębą pełną frazesów, pouczał naród w swoich orędziach, narcystycznie podkreślał swoją ważność i celebrował samego siebie. Teraz skarlał, zmalał, zbladł i chowa się za immunitetem. Skądinąd uważam, że immunitet to przeżytek. Skoro król Niderlandów Wilhelm-Aleksander może pomykać po Hadze rowerem, to parlamentarzyści mogą płacić mandaty i odpowiadać za swe rozmaite występki – jak każdy obywatel Rzeczypospolitej.

Chciwość uzbrojona we władzę niszczy państwo, rujnuje homeostat i w końcu doprowadza do upadku

Ale to nie jest tylko kwestia zapisów prawnych, lecz także zwyczajnej przyzwoitości. A tej naszej klasie politycznej coraz dotkliwiej brakuje. Nie brakuje jej jednak chciwości, prostackiej pazerności. Czym jak nie chciwością wytłumaczyć znaną historię małżeństwa Myrchów? Mając dom pod Warszawą, pobierali ryczałt mieszkaniowy należny posłom zamiejscowym. Siemoniak z Koalicji Obywatelskiej stwierdził, że to zgodne z prawem. Może i tak, ale czy zgodne z poczuciem zwykłej sprawiedliwości jest dorzucanie do sutych zarobków poselskich dodatku mieszkaniowego, jeśli nie jest on konieczny? Czy takie dojenie państwa, czyli podatników, jest fair? Czy na tym polega poselska misja? Parlamentarne apanaże znacząco przekraczają średnią krajową. Ich wysokość ustalono zapewne po to, aby poseł był na tyle niezależny finansowo, by nie ulegać pokusom korupcyjnym. Efektem ubocznym jest nienasycenie. Mam wrażenie, że występuje syndrom: „Mam dużo i chcę jeszcze więcej". Część posłów stanowią ludzie bardzo majętni i dla nich poselska dieta to tylko niewielki dodatek do posiadanego majątku. Ale dla innej części parlamentarzystów przychody posła są niebotyczne w porównaniu z ich poborami jako nauczycieli, biurokratów czy aktywistów, bo stanowią szansę na odkucie się i na wygodne życie. Można ciężko pracować w parlamencie, ale można się też obijać, opuszczać posiedzenia albo markować pracę. Można także zasiadać w komisjach sejmowych, nic w nich nie robić, a kasować krocie. W ten sposób karmi się ludzką chciwość, która nie zna nasycenia. Przykład Kluzik-Rostkowskiej, która w komisji ds. Pegasusa przyznała, że nie rozumie, o co pyta, jest znamienny. Ale dyszka na konto poleciała.

Szokującym przypadkiem jest *casus* Żurka. Jego chciwość wydaje się bezgraniczna. Pozwał własne dziecko o zwrot alimentów. Przypominam, że mowa o ministrze sprawiedliwości (!). Bodaj jako jedyny w historii urzędnik obejmujący bardzo wysokie stanowisko państwowe utajnił swoje oświadczenie majątkowe. I co? I nic – „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi?".

Wprawdzie posłom co do zasady nie wolno zasiadać w radach nadzorczych i spółkach czy zarządach przedsiębiorstw, ale mogą oni nieoficjalnie lobbować na rzecz tego czy innego zleceniodawcy i to się zdarza. Istnieje nawet swoisty i oczywiście nieoficjalny ranking skutecznych pod tym względem posłów. Czy naprawdę mamy wierzyć, że robią to w czynie społecznym? Niekiedy honorarium za taką przysługę może być nader osobliwe, jak w przypadku Niesiołowskiego –to tyleż zabawne, co tragiczne.

To chciwość rodzi zazdrość, która każe drwić i wyszydzać tych, którzy dostają 800+.

Chciwość widziałem w oczach kandydatów ubiegających się o mandat posła w Brukseli. To już wyższy poziom, bo mierzony nie w złotówkach, lecz w euro. Europarlament jest synekurą, jak w przypadku Bartłomieja Sienkiewicza czy Scheuring-Wielgus. W tym pierwszym przypadku to nagroda za podłość, a w drugim – za głupotę.

Chciwość rodzi korupcję, łapownictwo i przestępczość. Rodzi Grodzkich, Gawłowskich i Nowaków. Chciwość racjonalna to oszczędność, a charakterologiczna – sknerstwo. Chciwość uzbrojona we władzę niszczy państwo, rujnuje homeostat i w końcu doprowadza do upadku. To chciwość elit zniszczyła Rzeczpospolitą w XVIII w. Nie pozwólmy, aby się to powtórzyło. Odeślijmy współczesnych Ponińskich do piekła.

eprasa.pl 0bd28120fa

Michał Korsun prezentuje:
Wojciech Czuchnowski, „Dziennikarz – żart”

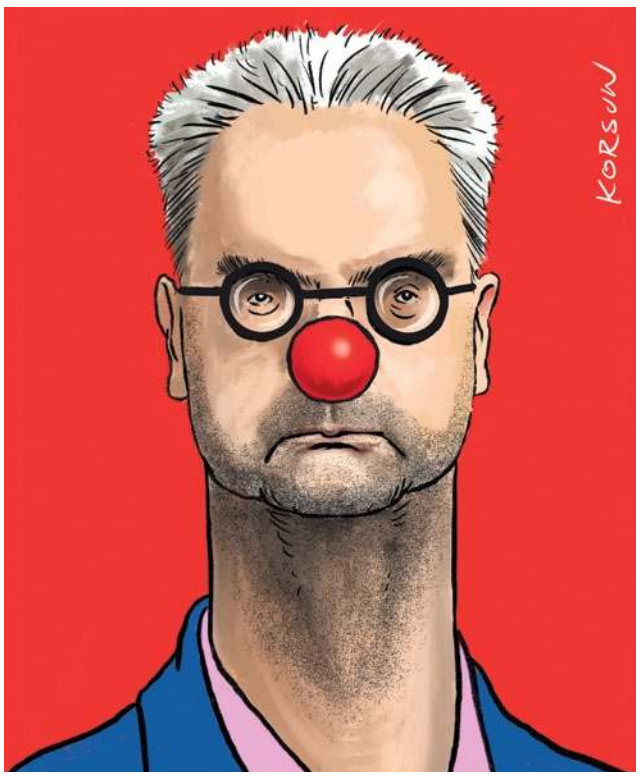

Wycinki z przeszłości

W dawnych czasach różnie próbowano zapobiegać rozwodom. „Dzień Pomorza” w 1937 r. opisywał sprawę wiedeńskiego kupca, który oskarżył żonę o kontakty z mężczyzną mającym „zamiar rozbicia zgodnego dotychczas pożycia małżonków”. Sąd zakazał jej wszelkich kontaktów, grożąc grzywną lub więzieniem. „Za flircik pozamałżeński lub liścik miłosny można teraz w uroczym Wiedniu [...] powędrować za kratki” – pisała gazeta.

(sp)

Dzień Pomorza

Dwie wstrząsające katastrofy lotnicze w Turcji
Czterech lotników poniosło śmierć

Jak w Wiedniu chronią małżeństwa przed rozbiciem?

Grzywna lub areszt za telefon lub list miłosny

Przed jednym z sądów wiedeńskich toczył się niedawno niezwykle charakterystyczny proces.

Pewien zamożny kupiec wiedeński oskarżył swą żonę, że nawiązała kontakt z osobnikiem, którego zachowanie wskazuje niedwuznacznie na zamiar rozbicia zgodnego dotychczas pożycia małżonków. Sąd podzielił stanowisko powoda i zabronił jego żonie utrzymywania dalszych kontaktów z danym osobnikiem. Zakaz ten obejmuje nie tylko wymianę listów, ale nawet rozmowy telefoniczne i t. p.

Wyrok ten wydany został na mocy zarządzenia ministerstwa sprawiedliwości, upoważniającego sądy do wydawania wyroków „zapobiegawczych celem ochrony małżeństwa”. O ile osoba zainteresowana nie zastosuje się do orzeczenia sądu, może być skazana na karę pieniężną, której wysokość jest praktycznie nieograniczona, a nawet na więzienie.

Za flircik pozamałżeński lub liścik miłosny można teraz w uroczym Wiedniu i innych krajach Austrii powędrować za kratki.

Z WOLEJA

Sportowcy, szpiedzy, handlarze bronią

Ryszard Czarnecki

Czy sport może mieć coś wspólnego z akcjami z filmów szpiegowskich? Równo trzy lata temu po raz kolejny okazało się, że tak. 8 grudnia 2022 r. amerykańska koszykarka Brittney Griner, która siedziała w rosyjskim więzieniu za posiadanie olejku haszyszowego, została wymieniona za Rosjanina Wiktora Buta, słynnego handlarza bronią. Ona spędziła w rosyjskim więzieniu 9 miesięcy, on w amerykańskim 12 lat (wcześniej 2 lata siedział w Tajlandii). Nazywano go „Merchant of Death” („Handlarz śmierci”). Przez kilkanaście lat szmuglował głównie sowiecką i rosyjską broń na Bliski Wschód i do Afryki. W USA dostał wyrok 25 lat więzienia i grzywnę w wysokości 15 mln dol. W Rosji powitano go jak bohatera: został lokalnym posłem z listy partii Putina.

Najsłynniejszym polskim szpiegiem sportowcem był Jerzy Pawłowski – najbardziej utytułowany szermierz w naszej historii. Był mistrzem olimpijskim w szabli indywidualnie w Meksyku w 1968 r. Miał wtedy 36 lat, ale pierwsze medale olimpijskie zdobył już 12 lat wcześniej, podczas IO w Melbourne (srebro indywidualnie i srebro w drużynie). Do tego dołożył kolejny srebrny medal podczas igrzysk w Rzymie w 1960 r. i brązowy w Tokio cztery lata później. Był też siedmiokrotnym (!) mistrzem świata, z czego aż trzy razy indywidualnie (Paryż 1957 i 1965 oraz Moskwa 1966), sześciokrotnym wicemistrzem świata i pięć razy zdobywał medale brązowe. Gdy był jeszcze czynnym szermierzem – jednym z najlepszych na świecie – został zwerbowany przez Amerykanów. Stało się to w 1964 r. – tym samym, w którym zdobył dla Polski medal olimpijski w Japonii...

Przekazywał CIA informacje o ludziach z kręgów polityczno-wojskowych PRL. Aresztowano go po 11 latach szpiegowania. Siedział w więzieniu 10 lat (dostał wyrok taki sam jak Wiktor But: ćwierć wieku) i też został wymieniony – tyle że na legendarnym „moście szpiegów” Glienicke, który łączył Poczdam z Berlinem Zachodnim. W zamian Amerykanie przekazali wówczas m.in. Mariana Zacharskiego (który jednak w amerykańskim więzieniu siedział „tylko” cztery lata).

Mistrz Jerzy Pawłowski wprawił w osłupienie Amerykanów, gdy po wyjściu z więzienia w PRL odrzucił możliwość mieszkania w USA – wolał żyć w Polsce. Ówczesne władze sportowe zabroniły mu zawodowo pracować w szermierce – a chciał szkolić młodzież. Napisał książkę. Zajął się malowaniem. Był dwa razy żonaty i miał synów, starszy był kajakarzem (zmarł cztery lata temu). Jego dwóch wnuków to aktorzy (o tym samym nazwisku co on).

Jak widać, życiorysy sportowców bywają czasem jeszcze bardziej fascynujące niż ich dokonania sportowe – nawet tak wielkie jak Jerzego Pawłowskiego.

eprasa.pl 0bd28120fa

OD A DO ZYBERTOWICZA

Substancje czy smartfony?

Co jest bardziej społecznie niebezpieczne? Uzależnienie od substancji czy od smartfonów?

Nie pytam teraz, co jest lepiej zbadane przez naukowców. Ani co jest mocniej nagłośnione. Ani jakich zagrożeń jesteśmy bardziej świadomi. Czy nawet – jakie środki zaradcze już zostały podjęte. Interesuje mnie, co jest bardziej szkodliwe w wymiarze społecznym – inaczej mówiąc, strukturalnym lub systemowym – zarówno już dzisiaj, jak i patrząc pod kątem szybko nadchodzących przyszłych konsekwencji.

Ale jak to zmierzyć? Jak zmierzyć nadchodzącą przyszłość? Jak demokratyczne społeczeństwo ma ustawić priorytety zmagania się z zagrożeniami obecnymi i nadchodzącymi?

KRYTERIUM: STOPIEŃ UPOWSZECHNIENIA

Powyższy śródtytuł wskazuje, jakie kryterium proponuję zastosować. Nie – nie takie, które skupia się na tym, na ile brutalne czy szybkie są szkody czynione przez jedno i drugie zagrożenie. Proponuję kryterium powszechności czy rozległości tego zagrożenia.

SZKODLIWE SUBSTANCJE

Z jednej strony mamy zbyt wczesne rozpoczęcie picia alkoholu, palenia, eksperymentowania z narkotykami, łączenie wielu substancji. Do czego nierzadko to prowadzi? Eksperci mówią o trwałych szkodach neurologicznych, psychicznych i fizycznych, dużym ryzyku trwałego uzależnienia, kiepskich wyników w szkole, zepsuciu relacji społecznych. W razie łączenia substancji występuje natomiast bezpośrednie zagrożenie życia. W tych sprawach eksperci, politycy i szersza opinia publiczna nieźle się orientują.

Dlaczego? Po pierwsze dlatego, iż problemy z nadużyciem takiego typu substancji towarzyszą ludzkości od bardzo dawna. Po drugie – teraz uwaga: tu będzie coś mało oczywistego – wódka i narkotyki nie komunikują się z ludźmi (jeśli pominiemy niektórych artystów) i nie próbują zaburzać procesu społecznej diagnozy szkód, jakie mogą nam przynosić. A smartfony owszem – podsuwając nam ideologię technoentuzjazmu, już potrafiły znieczulić wiele osób na negatywne skutki technologii cyfrowych.

Smartfony to „cyfrowy azbest" XXI w. Nie zabijają natychmiast, ale powoli duszą nasz potencjał intelektualny na masową skalę

SZKODLIWE EKRANY

Ze smartfonami i innymi technologiami ekranowymi jest inaczej niż z wódeczką czy narkotykami. Tu tak raz-dwa nie dostrzegamy efektu upicia się albo wciągnięcia przez nos kokainy. Tu negatywne efekty kumulują się przez dłuższy czas, ale gdy już narosną, jest ich cała kaskada. Oto niektóre z nich:

- zaburzenia koncentracji i pamięci – trudności w uczeniu się, fragmentaryzacja uwagi;
- problemy ze snem – wieczorna stymulacja dopaminowa pogarsza jakość snu;
- problemy psychiczne – większe ryzyko depresji, lęku, obniżenie samooceny przez media społecznościowe;
- izolacja społeczna – ograniczenie kontaktów twarzą w twarz, trudności w budowaniu relacji w świecie analogowym;
- spadek aktywności fizycznej – siedzący tryb życia, ryzyko otyłości i chorób cywilizacyjnych;
- szkody edukacyjne – rozproszenie uwagi, gorsze wyniki w nauce, trudności w skupieniu się na zadaniach wymagających dłuższego wysiłku.

Nie chodzi o liczbę złych efektów. Chcę skupić uwagę czytelników na porównaniu liczby osób dotkniętych nadużywaniem substancji oraz tych, które stały się niewolnikami swoich „telefoników".

Otóż tych drugich jest znacznie więcej, i to we wszystkich grupach wiekowych.

WNIOSKI?

Dziś smartfonów używają miliardy ludzi, a twardych narkotyków – promil. Skala zniszczeń staje się nieporównywalna. Uzależnienie od substancji to zazwyczaj dramat jednostki i jej bliskich, uzależnienie od ekranów – to cicha erozja całego społeczeństwa.

Wyobraźmy sobie cywilizację, w której 90 proc. obywateli jest stale lekko „pijanych" cyfrowo – niezdolnych do skupienia, głębokiej relacji czy krytycznego myślenia. To właśnie ta wszechobecność w połączeniu z pełną społeczną akceptacją czyni smartfony „cyfrowym azbestem" XXI w. Nie zabijają natychmiast, ale powoli duszą nasz potencjał intelektualny na masową skalę. I to jest to prawdziwe, strukturalne zagrożenie, którego wciąż nie traktujemy serio.

Pierwszy wniosek jest prosty: zero smartfonów w szkole! Pora, by zrozumiało to szefostwo resortu edukacji.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 0bd28120fa

Mocne tematy.
Najważniejsze wydarzenia.
Rzetelne informacje.

wPolsce24.tv

Do czytania:

- to, co **naprawdę ważne** z Polski i ze świata
- **mocna publicystyka** – bez tematów tabu
- teksty o gospodarce i zdrowiu – przydatne dla każdego
- **dobra rozrywka** i **sport**

Do oglądania:

- telewizja wPolsce24 – oglądaj **LIVE**
- odcinki ulubionych programów:
  bez spiny, bez cenzury*, POLITYKA NA DESER i wiele innych
- **program telewizji wPolsce24** – zaplanuj, co chcesz oglądać

wPolsce24.tv

PORTAL DO CZYTANIA I OGLĄDANIA

eprasa.pl 0bd28120fa

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce 24

Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 0bd28120fa